

AGATHA CHRISTIE

MORDERSTWO W MEZOPOTAMII

PRZEŁOŻYLI: JAN ZAKRZEWSKI, EWA KRASNODĘBSKA
TYTUŁ ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO „MURDER IN MESOPOTAMIA”

PRZEDMOWA DOKTORA GILESA REILLY

Niniejsza opowieść dotyczy wydarzeń sprzed czterech lat. W moim przekonaniu opublikowanie jej stało się konieczne, by wyjaśnić i sprostować pewne fakty. Krążą bowiem monstrualne i po prostu śmieszne plotki o zatajaniu dowodów, i tym podobne bzdury. Podobne sugestie pojawiły się głównie w prasie amerykańskiej.

Z oczywistych powodów wskazane było, by opis przebiegu wydarzeń nie wyszedł spod pióra żadnego z członków ekspedycji, mógłby bowiem zawierać osobiste uprzedzenia.

Dlatego też zaproponowałem pannie Amy Leatheran, aby podjęła się tego zadania. Była ona idealną kandydatką. Reprezentuje wysoki poziom etyki zawodowej, nie ma żadnych uprzedzeń i nie stoi po niczyjej stronie, gdyż nic jej nie łączyło z przedsięwzięciem znanym jako: Ekspedycja do Iraku Uniwersytetu Pittstown. Ponadto panna Leatheran okazała się inteligentnym świadkiem o żywym zmyśle obserwacyjnym.

Niełatwo ją było jednak namówić, by podjęła się tego trudu. A nawet, kiedy już osiągnąłem cel i dokument powstał, panna Leatheran wykazywała przedziwne opory, by mi pokazać manuskrypt. Odkryłem, że jednym z powodów były krytyczne uwagi w tekście, dotyczące mojej córki, Sheili. Z tą przeszkodą uporałem się szybko, zapewniając pannę Leatheran, że skoro w dzisiejszych czasach dzieci tak ochoczo krytykują rodziców, ci z kolei mogą mieć jedynie satysfakcję, gdy ktoś skrytykuje ich pociechy.

Inna jej obawa wynikała z wielkiej skromności — miała zastrzeżenia co do własnego stylu pisania. Wyraziła też nadzieję, że „poprawię jej gramatykę i inne rzeczy”. Okazało się, że nie musiałem zmienić nawet przecinka. W moim przekonaniu panna Leatheran wykazuje dużą indywidualność stylu, pisze żywo i bardzo trafnie ocenia fakty. Jeśli nawet Herkulesa Poirota w jednym akapicie nazywa „Poirotem”, a w następnym „Panem Poirot”, to jedynie pobudza myślenie. W pewnych momentach autorka wydaje się być bardzo uczulona na, jakby to określić, „formy zachowania” (trzeba pamiętać, że szpitalne pielęgniarki zwracają dużą uwagę na etykietę), w innych zaś pogrąża się w głęboko „ludzki” opis i pochłonięta nim zapomina o wykrochmalonym pielęgniarskim czepeczku z dystynkcjami siostry oddziałowej.

Pozwoliłem sobie jedynie napisać pierwszy rozdział, korzystając z listu, który grzecznościowo dostarczyła mi osoba z kręgu przyjaciół panny Leatheran. Założyłem, że będzie on miał charakter frontyspisu — to znaczy stanie się opisem narratorki.

FRONTYSPIS

W hallu bagdadzkiego hotelu „Tygrys”, noszącego imię rzeki, pielęgniarka kończyła pisanie listu. Stalówka wiecznego pióra wędrowała szybko po papierze.

...a więc, moja droga, to już chyba wszystkie wiadomości. Muszę przyznać, że przyjemnie było zobaczyć kawałek świata — chociaż dla mnie nie ma jak Anglia! Dziękuję za wszystko inne. Nie uwierzyłybyś, jak w tym Bagdadzie brudno. To wcale nie jest romantyczne miasto, jakbyś mogła sądzić z arabskich „Opowieści z tysiąca i jednej nocy”. Owszem, ładnie położone nad rzeką, ale ulice okropne. I właściwie nie ma żadnych prawdziwych sklepów. Major Kesley obwiał mnie po bazarach. Nie można zaprzeczyć, że niezwykle. Bardzo osobliwe. Ale właściwie to sama tandeta. Poza tym nieustannie wałam w miedziane gary, aż uszy puchną i głowa boli — a ja to bym nigdy takich naczyń nie używała, no bo wiesz — jak to czyścić! Przy miedzianych naczyniach zawsze są kłopoty z grynszpanem.

Jeśli coś wyjdzie z tej pracy, o której mi mówił doktor Reilly, zaraz Ci napiszę. Powiedział, że ten amerykański dżentelmen już przyjechał do Bagdadu i może nawet jeszcze dziś po południu przyjdzie się ze mną zobaczyć. Chodzi o jego żonę — doktor Reilly powiedział, że ma „przywidzenia”. Już ja wiem, moja kochana, co to naprawdę oznacza (choć mam nadzieję, że nie chodzi o narkotyki!). Doktor Reilly nie zdradził się słowem, ale jak spojrział! A ty wiesz, co to znaczy. Ten doktor Leidner jest archeologiem. Dla jakiegoś amerykańskiego muzeum rozkopyje pagórek gdzieś na pustyni.

Teraz to już naprawdę kończę! Dosłownie aż mnie zatkało, kiedy przeczytałam, coś mi napisała o tym Stubbinsie! Co na to siostra przełożona?

Naprawdę skończyłam, ściskam,

Twoja
Amy Leatheran

Włożyła list do koperty, którą zaadresowała do siostry Curshaw, na adres Szpitala Świętego Krzysztofa w Londynie.

Gdy zakręcała wieczne pióro, podszedł do niej śniady chłopiec hotelowy.

— Pewien dżentelmen chce się z panią widzieć. Doktor Leidner.

Siostra Leatheran odwróciła głowę i ujrzała mężczyznę w średnim wieku, o nieco spadzistych ramionach, łagodnych, zmęczonych oczach i rudobrazowej brodzie.

Doktor Leidner natomiast ujrzał kobietę koło trzydziestki — o energicznej, pewnej siebie postawie. Dostrzegł też wesołą z natury twarz, okoloną ciemnymi, błyszczącymi włosami. Oczy ciut wyłupiaste. Pomyślał sobie, że wygląda dokładnie tak, jak powinna wyglądać pielęgniarka nerwowo chorej osoby. Pogodna, krzepka, praktyczna.

Tak, siostra Leatheran taka właśnie była.

AMY LEATHERAN

Nie pretenduję do miana pisarki i nie znam się na pisaniu. Robię to tylko dlatego, że prosił mnie doktor Reilly, a jest to człowiek, któremu trudno odmówić.

Mimo to szczerze mu powiedziałam, kiedy mi to zaproponował:

— Nie jestem tam żadną literatką, panie doktorze. Na pewno nie jestem literatką!

— To żadna sztuka — odparł. — Niech to siostra potraktuje jako robienie szpitalnych notatek albo historii choroby.

Oczywiście można i tak na to spojrzeć.

Doktor Reilly mówił dalej. Tłumaczył, że bardzo jest potrzebny prosty, nieubarwiony opis wszystkich wydarzeń w Tell Jarimdża!

— Jeśli autorem będzie ktoś z osób bezpośrednio zainteresowanych, to relacja okaże się nieprzekonywająca — stwierdził. — Wszyscy powiedzą, że jest stronnicza.

Trudno było temu zaprzeczyć. Mimo że tkwiłam w całej sprawie po uszy, nie należałam do nich.

— A dlaczego pan tego nie opisze, doktorze? — spytałam.

— Mnie tam nie było. Siostra zaś tak. A poza tym — dodał wzdychając — córka mi nie pozwoli.

To oburzające, jak on się pozwala wodzić za nos tej dziewczynie. Już miałam ochotę mu to powiedzieć, kiedy zobaczyłam jakieś chochliki w jego oczach. To właśnie jest w nim okropne. Nigdy nie wiadomo, kiedy żartuje, a kiedy jest poważny. Zawsze mówi w ten sam, jakby melancholijny sposób, ale często ma te iskierki w oczach.

— Bo ja wiem — odparłam z powątpiewaniem. — Może bym i dała radę...

— Jestem pewien, że siostra potrafi.

— Tylko zupełnie nie wiem, jak się do tego zabrać.

— Istnieją wypróbowane metody. Trzeba zacząć od początku, pisać aż do samego końca i dopiero wtedy przestać.

— Kiedy ja nawet nie wiem, gdzie to się zaczęło. I kiedy...

— Proszę mi wierzyć, siostro, że znacznie łatwiej jest zacząć pisać niż skończyć. W każdym razie ja mam zawsze takie kłopoty, kiedy przygotowuję odczyt lub przemówienie. Ktoś musi mnie łapać za połą marynarki, żebym wreszcie zamilkł i usiadł.

— Pan żartuje, doktorze...

— Mówię bardzo poważnie, siostro. No i co, zgoda? Napisze siostra?

Dreńczyła mnie jeszcze jedna sprawa. Po chwili zastanowienia spytałam:

— A co będzie, jeśli... Bo pan wie, doktorze, że mogę wydać się czasami, niestety, jak to nazwać, obcesowa? Robić bardzo osobiste uwagi.

— Niech mnie anioły, kobieto droga! Im więcej osobistych uwag, tym lepiej! To ma być historia, która rozegrała się wśród żywych ludzi, a nie w gabinecie figur woskowych. Osobiste uwagi, docinki, zjadliwe obserwacje, wszystko! Czego dusza zapragnie! Niech siostra pisze po swojemu. A potem przeczytamy i wytniemy to, co mogłoby narazić nas na proces o zniesławienie! A więc do dzieła! Jest siostra kobietą rozsądną, więc napisze rozsądną wersję tego, co się wydarzyło.

Tak to się stało. Obiecałam, że spiszę wszystko jak najdokładniej.

I teraz właśnie zaczynam, ale, jak to już powiedziałam doktorowi, zupełnie nie wiem, od czego należy zacząć.

Chyba parę słów powinnam powiedzieć o sobie. Mam trzydzieści dwa lata i nazywam się Amy Leatheran. Szkolenie przesłam w szpitalu u Świętego Krzysztofa, a potem przez dwa lata byłam na położniczym. Trochę pracowałam prywatnie, a cztery lata spędziłam w lecznicy panny Bendix przy Devonshire Place. Do Iraku przyjechałam z panią Kelsey, którą

opiekowałam się po porodzie. Właściwie nie tyle nią, co noworodkiem. Pani Kelsey wybierała się z mężem na dłuższy pobyt w Iraku. Miała tam już zamówioną niankę, która przez wiele lat była u mieszkających w Bagdadzie przyjaciół pani Kelsey. Dzieci tych przyjaciół wyjeżdżały do szkół w Anglii i niania zgodziła się pójść po ich wyjeździe do pani Kelsey. Pani Kelsey jest osobą bardzo delikatną i bała się wybrać w daleką drogę z malutkim dzieckiem, więc major Kelsey zorganizował wszystko tak, żebym ja mogła z nimi jechać i w drodze zajmować się panią Kelsey i maleństwem, a potem pan major miał zapłacić mi za drogę powrotną do Anglii, chyba żebym znalazła kogoś, kto potrzebowałby opieki pielęgniarskiej w czasie podróży.

Właściwie to nie ma po co szczegółowo opisywać Kelseyów. Dzidzius był prześlizchny, a pani Kelsey całkiem miła, chociaż z gatunku kapryśnych. Podróż wspaniała. Nigdy nie płynęłam tak długo po morzu.

Na statku poznałam doktora Reilly. Miał czarne włosy, smutną twarz i opowiadał śmieszne historyjki bardzo ponurym głosem. Cichutko. Chyba lubił ze mnie żartować, bo wygadywał nieprawdopodobne historie, żeby zobaczyć, czy dałam się nabrać. Był lekarzem w Hassanieh, o półtora dnia drogi z Bagdadu.

Spotkałam go przypadkowo niecałe cztery tygodnie po przybyciu do Bagdadu i doktor Reilly spytał mnie wtedy, jak długo jeszcze będę u Kelseyów. Powiedziałam mu, że to zabawne, że on mnie o to pyta, bo właśnie Wrightowie (ci od niani) zdecydowali się wyjechać wcześniej i ona mogła wcześniej przyjść do Kelseyów.

Na to doktor Reilly odparł, że słyszał o wcześniejszym wyjeździe Wrightów i właśnie dlatego zadał mi to pytanie.

— I jest bardzo prawdopodobne, siostrzo, że mam dla siostry propozycję pracy.

— Przy chorym?

Skrzywił twarz zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Trudno to nazwać chorobą. Chodzi o opiekę nad damą, która ma, nazwijmy to... przywidzenia.

— Ooo? — wyrwało mi się.

(Przeważnie wiadomo, o co chodzi — alkohol albo narkotyki!) Doktor Reilly nic więcej nie powiedział. Bardzo był powściągliwy. Natomiast wspomniał, o kogo chodzi.

— To pani Leidner. Mąż Amerykanin. Dokładnie mówiąc — amerykański Szwed. Stoi na czele amerykańskiej ekspedycji. Wielkie wykopaliska...

I wyjaśnił mi, że doktor Leidner prowadzi prace na terenie ruin asyryjskiego miasta wielkości, no, powiedzmy, Niniwy. Dom, w którym mieszkają członkowie ekspedycji, położony jest nawet niedaleko Hassanieh, ale stoi w odosobnieniu. Od pewnego czasu doktor Leidner niepokoi się zdrowiem żony.

— Niezbyt dokładnie to wyjaśnił, ale z jego słów wynika, że ma ona częste napady lęku.

— Czy ona spędza całe dni jedynie z tubylcami? — spytałam.

— Na pewno nie. Jest tam ich chyba osiem osób w tej ekspedycji. Wątpię, żeby kiedykolwiek była zupełnie sama. Bez wątpienia jednak jej stan budzi niepokój. Leidner pracuje jak szaleniec, ale również jak szaleniec kocha żonę. Zamartwia się jej stanem. Pomyślał sobie, że byłby znacznie spokojniejszy, gdyby ona znalazła się pod stałą opieką fachowej osoby.

— On tak pomyślał, a co na to jego żona? Doktor Reilly odparł z wielką powagą:

— Pani Leidner jest wyjątkowo uroczą kobietą. Na każdy temat ma codziennie inne zdanie. Jednakże w zasadzie pomysł męża jej odpowiada. I doktor dodał:

— To bardzo dziwna osoba. Niesłychanie uczuciowa, a ponadto, jak mi się wydaje, straszna kłamczucha. Leidner chyba uwierzył, że z jakiegoś powodu ona obawia się o swoje życie...

— Ale co ona panu powiedziała, doktorze?

— Ooo! Nie zasięgała mojej porady. Poza tym z wielu powodów mnie nie lubi. To Leidner do mnie przyszedł. No i co siostra na to? Dzięki temu mogłaby siostra obejrzeć kraj przed powrotem do Anglii. Bo oni tu mają jeszcze zostać przez dwa miesiące. A wykopaliska to bardzo interesująca sprawa.

Po chwilowym zastanowieniu odpowiedziałam z wahaniem:

— No cóż, mogłabym chyba spróbować.

— Wspaniale! — oświadczył doktor Reilly wstając. — Leidner jest obecnie w Bagdadzie. Powiem mu, żeby wpadł do hotelu i porozmawiał z siostrą o warunkach.

Doktor Leidner przyszedł tego samego popołudnia. Był to mężczyzna w średnim wieku, o niezbyt pewnym sobie i dość nerwowym sposobie bycia. Na jego twarzy malowała się dobroć, a oprócz tego jakaś bezradność.

Wydał się bardzo oddany żonie, lecz strasznie mętnie mówił o tym, co jej dolega.

— Bo widzi siostra — wyjaśniał szarpiąc w zakłopotaniu brodę (później dopiero zorientowałam się, że zawsze tak robi, kiedy czuje się zagubiony) — moja żona jest w stanie ciągłego napięcia nerwowego. Ja... Mnie to bardzo martwi.

— A jak się czuje fizycznie? — spytałam.

— Ooo! Fizycznie? Cóż, chyba dobrze. Nie, nie sędzę, żeby miała jakieś fizyczne dolegliwości. Ona tylko, jak to powiedzieć, wyobraża sobie rzeczy, których nie ma...

— Jakie rzeczy? — spytałam.

Nie odpowiedział mi wprost, tylko z wielkim niepokojem wymamrotał:

— Przed czym, doktorze Leidner?

— Ooo, wie siostra, takie nerwowe lęki — odparł mało precyzyjnie.

Założę się, pomyślałam, że to narkotyki. A ten biedak nawet nie ma pojęcia co się dzieje! Bardzo wielu mężczyzn jest ślepych na takie sprawy. Tylko się dziwią, dlaczego ich żony robią się nerwowe i popadają w nagłe zmiany nastrojów.

Spytałam wprost, czy pani Leidner aprobuje pomysł mojego zatrudnienia.

Twarz mu się rozjaśniła.

— Tak, tak. Nawet byłem zdziwiony. Bardzo mile zdziwiony. Powiedziała, że to doskonały pomysł. Powiedziała, że będzie się czuła znacznie bezpieczniejsza.

Uderzyło mnie to słowo. Bezpieczniejsza? W tym kontekście bardzo dziwne słowo. Zaczęłam się zastanawiać, czy pani Leidner nie jest przypadkiem umysłowo chora.

Doktor Leidner, nagle dziwnie rozgorączkowany, ciągnął dalej:

— Jestem pewien, że siostra doskonale się zrozumie z moją żoną. Ona jest urocza. — Uśmiechnął się rozbijając. — I wierzy, że siostra będzie dla niej wielkim wsparciem. Ja to samo poczułem od razu, jak tylko siostrę zobaczyłem. Siostra wygląda, jeśli wolno mi tak rzec, na niezwykle zdrową i bardzo, bardzo rozsądną. Takiej osoby potrzeba Luizie...

— No cóż, możemy spróbować, doktorze Leidner — odparłam wesoło. — Mam nadzieję, że będzie to z korzyścią dla pańskiej żony. A może ją denerwują kolorowi tubylcy...?

— Ach, nie! — Pokręcił przecząco głową, wydał się wprost rozbawiony moim przypuszczeniem. — Moja żona bardzo lubi Arabów, ich bezpośredniość i poczucie humoru. Jest tu dopiero drugi raz, pobraliśmy się niespełna dwa lata temu, ale już nieźle mówi po arabsku.

— Czy nie mógłby mi pan precyzyjniej określić, doktorze, czego właściwie boi się pańska małżonka?

Chwilę się wahał, a potem odparł:

— Mam nadzieję, a właściwie jestem pewien, że ona sama siostrze to powie.

I nic już więcej nie mogłam od niego wyciągnąć.

PLOTKI

Ustaliliśmy, że do Tell Jarimdża pojedę w następnym tygodniu.

Pani Kelsey urządzała się w nowym domu w Alwiyah. Byłam zadowolona, że mogę jej jeszcze przed wyjazdem pomóc.

W czasie tych dni u pani Kelsey dowiedziałam się paru rzeczy o ekspedycji doktora Leidnera. Znajomy domu, młody major lotnictwa, wydał ze zdumieniem wargi i wykrzyknął:

— Piękna Luiza! Więc to jest jej ostatni wyczyn! A raczej pomysł. — Obrócił się do mnie: — Tak ją nazywamy, siostrze. „Piękna Luiza”. Zawsze ją tak nazywano.

— Rzeczywiście jest taka ładna? — spytałam.

— Ona tak uważa. To jej własna opinia.

— Nie bądź złośliwy, John! — powiedziała pani Kelsey. — Wiesz przecież dobrze, że nie tylko ona tak uważa. Bardzo wielu mężczyzn zachwyca się jej urodą.

— Może masz i rację. Chociaż dla mnie odrobinę przechodzona. Ale przyznam, że owszem, ma pewien urok.

— Ty też byłeś pod jej wrażeniem. I to jak! — odparła pani Kelsey śmiejąc się głośno.

Major zaczerwienił się i z pokorniejszą już miną stwierdził:

— Rzeczywiście, ona ma w sobie „coś”. Leidner po prostu ją uwielbia. A pozostali członkowie ekspedycji też mają obowiązek składać jej hołdy. To wymaganie szefa. No nie, może raczej szefowej.

— Ile osób liczy ekspedycja? — spytałam.

— Sporo i to różnych narodowości, droga siostrze — odparł ochotczo major. — Jest wśród nich angielski architekt, francuski *padre* z Kartaginy... zajmuje się napisami. No, na tych glinianych tabliczkach, wie siostra! I jest tam panna Johnson, też Angielka, taka osoba do wszystkiego, do mycia butelek i tym podobne. I jeszcze niski tłuścioch, który zajmuje się fotografią. Amerykanin. I pewne małżeństwo. Nazywają się Mercado. Bóg jeden wie, jakiej są narodowości. W każdym razie jacyś Latynosi. Pani Mercado jest jeszcze zupełnie młoda. Cwana sztuka. A jak nienawidzi kochanej Luizy! Jest jeszcze para żółtodziobów i to chyba wszystko. Osobliwa zbieranina, ale w sumie znośna gromadka, prawda, Pennyman?

Z powyższym pytaniem major zwrócił się do starszego mężczyzny, który, głęboko zamyślony, bawił się binoklami. Usłyszawszy pytanie podniósł głowę.

— Tak, tak, rzeczywiście mili ludzie. To znaczy niektórzy z nich. Ten Mercado na przykład, to dziwna postać...

— Ma taką przedziwną brodę — zgodziła się pani Kelsey. — Jakby mu zwiędła.

Major Pennyman nie zwrócił uwagi na jej słowa.

— Tych dwóch młodych, całkiem miła para. Amerykanin prawie nigdy się nie odzywa, za to Anglik mówi za dużo. Śmieszne, prawda? Powinno być na odwrót. Leidner to uroczy człowiek. Skromny, bez pretensji. Tak, tak, biorąc każdego z osobna to naprawdę sympatyczni ludzie. Ale kiedy ostatni raz ich odwiedziłem, miałem takie dziwne wrażenie, może to przywidzenie, że dzieje się tam coś niedobrego. Nie potrafiłbym sprecyzować, o co mi właściwie chodzi. Wszyscy zachowywali się tak jakoś dziwnie. Panowało napięcie, jakby powietrze było naelektryzowane. Ooo, już wiem, jak to powiedzieć. Zachowywali się po prostu nazbyt grzecznie.

— Jeśli ludzie zbyt długo przebywają razem, zamknięci w ograniczonej przestrzeni, to zaczynają sobie grać na nerwach — powiedziałam i zaczerwieniłam się przy tym lekko, ponieważ nie zwykłam wyrażać głośno swoich opinii. — Znam to dobrze z pracy w szpitalach.

— To prawda — zgodził się major Kelsey. — Ale przecież jest dopiero początek sezonu wykopaliskowego, niedawno przyjechali. Za wcześnie na podobne objawy.

— Taka ekspedycja to prawdopodobnie życie w miniaturze — stwierdził major Pennyman.
— Kliki, koterie, rywalizacja i zazdrość.

— Zdaje mi się, że w tym roku doszło kilku nowych ludzi — wtrącił major Kelsey.

— No, zobaczmy — major lotnictwa zaczął liczyć na palcach. — Młody Coleman jest tu po raz pierwszy. Tak samo Reiter. Emmott był w zeszłym roku, Mercado z żoną też. Nowicjuszem jest również ojciec Lavigny. Przyjechał na miejsce doktora Byrda, który zachorował i zrezygnował. Carey to stara ekipa. Przyjeżdża tu od pięciu lat. A panna Johnson była chyba tyle razy co Carey.

— Zawsze wydawało mi się, że w Tell Jarimdza wszyscy żyją ze sobą bardzo zgodnie — odezwał się major Kelsey. — Sprawiali wrażenie wielkiej szczęśliwej rodziny. Co nawet mnie dziwiło. Biorąc pod uwagę ludzką naturę... Siostra Leatheran na pewno się ze mną zgodzi.

— No cóż — odparłam. — Trudno mi się z panem nie zgodzić. Intrygi i awantury, jakie widywałam w szpitalu... I to często bez powodu. Czasami poszło o głupi czajnik do herbaty.

— Tak, tak, ludzie stają się strasznie małostkowi w zamkniętych środowiskach — stwierdził major Pennyman. — Jednakże sądzę, że w tym wypadku chodzi o coś zupełnie innego. Leidner jest takim łagodnym, skromnym człowiekiem, ma wiele taktu. Zawsze mu się udawało utrzymać dobry nastrój i znakomite stosunki między wszystkimi członkami ekspedycji. A jednak ostatnim razem zauważyłem objawy jakiegoś napięcia.

Pani Kelsey roześmiała się.

— I nie domyśla się pan, dlaczego, majorze? Przecież to jasne.

— Co pani ma na myśli?

— Panią Leidner, oczywiście.

— Dajże spokój, Mary! — wykrzyknął jej mąż. — To urocza kobieta. Zupełnie nie z gatunku kłótliwych.

— Ja nie powiedziałam, że ona jest kłótliva. Ona jest źródłem kłótni.

— W jaki sposób? Dlaczego miałyby wywoływać niesnaski?

— Pytasz, dlaczego? Bo jej się nudzi. Sama nie jest archeologiem, tylko żoną archeologa. Odcięta od rozrywek, organizuje własne. Bawi się w intrygi.

— Mary, nie opowiadaj takich niedorzeczności. Wcale tego nie wiesz, tylko wymyślasz teoryjkę.

— Oczywiście, ale zobaczysz, że mam rację. Nie na darmo Piękna Luiza przypomina Monę Lizę. Może nawet nie ma nic złego na myśli i nie chce nikomu wyrządzić krzywdy, ale lubi patrzeć na rezultaty swoich eksperymentów.

— Jest bardzo oddana Leidnerowi.

— Ooo, przecież ja nie sugeruję żadnych wulgarnych intryg. Ale mówię ci: ta kobieta to *allumeuse*¹!

— Kobiety są wobec siebie takie słodkie — zauważył major Kelsey.

— Wiem, wiem. Kocica z pazurami. Mężczyźni zawsze tak mówią. Ale po prostu my, kobiety, dobrze siebie znamy.

— Mimo wszystko — odezwał się w zamyśleniu major Pennyman — nawet jeśli mało życzliwe przypuszczenia pani Kelsey miałyby okazać się prawdą, nadal nie tłumaczy to owego dziwnego napięcia. Coś takiego odczuwa się przed burzą. Tak, odniosłem nieodparte wrażenie, że burza może przyjść lada chwila.

— Proszę nie straszyć siostry Leatheran — powiedziała pani Kelsey. — Ona tam jedzie za trzy dni. To znaczy, pojedzie, jeśli jej pan nie zniechęci.

— O nie, ja tak łatwo nie ulegam nastrojom — odparłam ze śmiechem.

¹ *allumeuse* — [fr.] prowokatorka

Niemniej wiele myślałam o tej rozmowie. Przypomniałam też sobie owo dziwne stwierdzenie doktora Leidnera, że jego żona będzie się czuć bezpieczniejsza w moim towarzystwie. Czy to lęki jego żony, nieświadomione lub może okazywane, wpływały tak na członków ekspedycji? A może to napięcie (lub jego nieznaną przyczynę) działało jej na nerwy?

W słowniku szukałam słowa *allumeuse* użytego przez panią Kelsey, ale to, co znalazłam, nie miało najmniejszego dla mnie sensu.

„No cóż, poczekamy, zobaczymy!”, powiedziałam do siebie.

MÓJ PRZYJAZD DO HASSANIEH

W trzy dni później opuściłam Bagdad.

Z przykrością żegnałam panią Kelsey i dziecko, które było naprawdę rozkoszne i wspaniale rosło przybierając co tydzień przepisową ilość gramów. Major Kelsey odwiózł mnie na stację i umieścił w wagonie. Następnego ranka ktoś miał na mnie czekać w Kirkuk.

Źle spałam, nigdy nie śpię dobrze w pociągu. Poza tym męczyły mnie złe sny. Kiedy jednak rano wyrzałam przez okno wagonu i zobaczyłam, jaki piękny jest dzień, odzyskałam humor i z niecierpliwością oczekiwałam spotkania z ludźmi, do których jechałam.

Stałam na peronie i zaczęłam się niepewnie rozglądać. Ujrzałam idącego w moim kierunku młodego mężczyznę. Miał owalną różową twarz i daję słowo, że w życiu jeszcze nie widziałam osoby, która byłaby tak podobna do młodzieńca z książek pana P. G. Wodehouse'a.

— Dzień dobry, dobry, dobry! — odezwał się młody człowiek — Czy siostra Leatheran? To znaczy, na pewno tak. Widzę przecież. Ha, ha! Któż by inny. Nazywam się Coleman. Przysłała mnie doktor Leidner. Jak się pani ma? Pewno źle, straszna podróż, prawda? Znam dobrze te pociągi. No, ale już jesteśmy na miejscu, prawda? Śniadanie pani jadła? To cały pani bagaż, siostrze? No no, jaki skromny. Pani Leidner miała cztery walizy i jeden kufer. Że już nie wspomnę pudła na kapelusze, nadmuchiwaną poduszki i co tam było jeszcze. Czy nie mówię za dużo? No to chodźmy do naszego starego grata.

Zobaczyłam pojazd podobny trochę do furgonetki, ale przypominał też samochód. Wyjaśniono mi potem, że jest to typowy amerykański samochód używany przez farmerów. Pan Coleman pomógł mi wsiąść radząc przedtem, żebym zajęła miejsce koło kierowcy, bo tam mniej trzęsie.

Mniej! Wolne żarty. Jeszcze się dziwię, że cała ta machina nie rozpadła się na drobne kawałki. A droga? To nie była żadna droga — po prostu trakt składający się z dziur i wybojów. Cudowny romantyczny Wschód! Kiedy sobie przypominałam nasze wspaniałe szosy, od razu poczułam wielką tęsknotę za Anglią.

Pan Coleman pochylił się ku mnie z tylnego siedzenia i przez cały czas coś mi wykrzykiwał w ucho.

Z tonu jego głosu wnioskowałam, że mówi zupełnie poważnie:

— Taki masaż jest wprost doskonały na wątrobę. Siostra powinna dobrze o tym wiedzieć.

— Wymasowana wątroba niewiele mi pomoże, jeśli będę miała rozłupaną głowę! — odkrzyknęłam mu.

— Trzeba, żeby siostra przejechała się tędy po deszczach! Ależ poślizgi. Przeważnie jedzie się bokiem.

Na to już nic nie odpowiedziałam.

Następnie musieliśmy przeprowić się na drugą stronę rzeki promem nie zasługującym na taką nazwę. Cud boski, że się udało, chociaż wszyscy dokoła uważali, że wszystko jest, jak być powinno.

Cztery godziny trwała nasza podróż do Hassanieh, które, ku mojemu zdziwieniu, okazało się sporym miasteczkiem. Od strony rzeki wyglądało wcale ładnie — białe domki z bajkowymi minaretami. Prawda była mniej romantyczna, gdy po pokonaniu mostu wjechaliśmy w wąskie uliczki. Straszny odór, jedna wielka zaniedbana ruina, brud i błoto.

Pan Coleman zawiózł mnie do domu doktora Reilly twierdząc, że oczekują mnie tam z obiadem.

Doktor Reilly był miły, jak zawsze, mieszkał w uroczym domu z łazienką, gdzie wszystko błyszczało czystością. Zaraz się wykapałam i kiedy zeszałam na dół w świeżym pielęgniarskim stroju, czułam się już świetnie.

Poszliśmy od razu do jadalni, bo obiad był gotów. Doktor przeproszał za córkę, która — jak mnie poinformował — zawsze się spóźnia. Byliśmy już po znakomitych jajkach w sosie, kiedy przyszła. Doktor zwrócił się do mnie:

— Sostro, to jest moja córka, Sheila!

Podaliśmy sobie ręce, dziewczyna wyraziła nadzieję, że miałam dobrą podróż, zrzuciła z głowy kapelusz, chłodno skinęła głową panu Colemanowi i usiadła.

— No i co, Bill, jak tam idzie?

Coleman zaczął opowiadać o jakiejś zabawie organizowanej w klubie, a ja się przyglądałam Sheili.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że poczułam do niej większą sympatię. Jak na moje wycucie, była chłodna i zbyt bezceremonialna, chociaż wcale przystojna. Ciemne włosy i niebieskie oczy, twarz bladawa i uszmińkowane usta. Raczej denerwował mnie jej zimno-sarkastyczny sposób mówienia. Miałam raz u siebie taką praktykantkę — dziewczyna dobrze pracowała, to muszę przyznać, ale zawsze złościło mnie jej zachowanie.

Wyglądało mi na to, że ona bardzo się podoba panu Colemanowi, który zaczął się trochę jąkać i mówił jeszcze większe głupstwa niż w rozmowie ze mną. Jeśli w ogóle można jeszcze bardziej pleść! Robił na mnie wrażenie wielkiego głupawego psa, który macha ogonem, żeby się przypodobać.

Po obiedzie doktor Reilly udał się do szpitala, a pan Coleman miał do załatwienia jakieś sprawy w mieście. Panna Reilly spytała mnie, czy chciałabym trochę pozwiedzać okolicę, czy też wolę zostać w domu. Dodała, że pan Coleman przyjdzie po mnie za jakąś godzinę.

— A czy jest tu coś do obejrzenia? — spytałam.

— Mamy kilka malowniczych zakątków — odparła panna Reilly — ale nie wiem, czyby siostrę interesowały. Wszystko jest strasznie brudne.

Jej uwaga dziwnie mnie ubodła. Nigdy nie uważałam, że brud przekreśla malowniczość.

W końcu zabrała mnie do klubu położonego bardzo przyjemnie nad rzeką. Były tam angielskie gazety i periodyki.

Kiedy wróciliśmy do domu, pana Colemana jeszcze nie było, więc usiadłyśmy i zaczęłyśmy rozmawiać. Z początku szło nam opornie.

Sheila zapytała czy poznałam już panią Leidner.

— Nie — odparłam. — Tylko pana Leidnera.

— Ooo! — wyrwało się jej. — Ciekawa jestem, co siostra o niej powie. — Ponieważ milczałam, ciągnęła dalej: — Bardzo lubię doktora Leidnera. Wszyscy bardzo go lubią.

Mogłam łatwo z tego wywnioskować, że panna Reilly nie lubi pani Leidner.

Nadal się nie odzywałam, więc po chwili milczenia panna Reilly zapytała znienacka:

— Co jej właściwie jest? Doktor Leidner nic nie powiedział? Nie miałam zamiaru plotkować na temat pacjentki, której nawet jeszcze nie poznałam, więc wykręciłam się:

— Chyba jest przemęczona i trzeba się nią zająć.

Panna Reilly roześmiała się. Był to śmiech bardzo nieprzyjemny. Taki jakiś ostry i złośliwy.

— Boże drogi! — powiedziała. — Czyż mało osób już się nią zajmuje? Dziewięć! Jeszcze i to nie wystarczy?

— Pewno każdy ma coś do roboty...

— Oczywiście, że mają wiele do roboty. Ale Luiza jest najważniejsza! Już ona tego zawsze dopilnuje!

„O nie, ty jej złotko, nie lubisz!”, powiedziałam do siebie.

— Mimo wszystko naprawdę nie rozumiem — ciągnęła panna Reilly — po co jej zawodowa pielęgniarstwo. Sądziłabym raczej, że bardziej by jej odpowiadał jakiś opiekun-amator, a nie osoba wtykająca do ust termometr, mierząca puls i sprowadzająca opiekę do prozaicznych czynności.

Muszę przyznać, że zaczęło mnie to wszystko bardzo interesować.

— Sądzi pani, że nic jej nie jest?

— Oczywiście, że nie! Ta kobieta jest zdrowa jak koń. „Biedna Luiza źle spała”, „Biedna Luiza ma podkrążone oczy!” Oczywiście, że ma! Podmalowane szminką! Wszystko byle zwrócić na siebie uwagę, byle wszyscy tańczyli dokoła, nieustannie się troszczyli.

Coś w tym mogło być. Miałam do czynienia z wieloma hipochondrykami (która pielęgniarka tego nie doświadcza!) czerpiącymi radość życia z tego, że wszyscy dokoła nich skaczą. I gdyby jakiś lekarz albo pielęgniarka im powiedzieli: „Nic wam nie jest, jesteście zdrowi”, to po pierwsze by nie uwierzyli, a po drugie ich oburzenie byłoby absolutnie autentyczne.

Istniała możliwość, że pani Leidner należy do tej kategorii „pacjentów”. A mąż, oczywiście, pierwszy we wszystko by uwierzył. Stwierdziłam, że mężowie są strasznie łatwowierni, jeśli idzie o choroby. Z drugiej strony to jednak niezupełnie pasowało do wszystkiego, co poprzednio słyszałam. Nie pasowało, na przykład, do owego słowa „bezpieczniejsza”!

Śmieszne, prawda, jak podobne słowo potrafi utkwic człowiekowi w głowie!

Po głębszym zastanowieniu, spytałam:

— Czy pani Leidner jest bardzo nerwowa? Czy, na przykład, denerwuje się tym, że musi mieszkać na pustkowiu?

— A dlaczegoż miałyby być nerwowa z tego powodu? Jest ich tam dziesięcioro! I mają strażników. To są cenne wykopaliska. Nie, nie, samotność jej nie doskwiera, chyba że...

Pod wpływem jakiejś myśli zamilkła, by dopiero po paru minutach odezwać się zupełnie innym głosem:

— To bardzo znamienne, co siostra powiedziała.

— Dlaczego?

— Któregoś dnia pojechaliśmy tam z kapitanem Jarvisem. Większość z nich pracowała przy wykopalisku. Luiza została w domu i pisała list. Nie słyszała, jak weszliśmy. Nie było posługacza, który zwykle wprowadza gości. Udaliśmy się prosto na werandę. Luiza najwidoczniej zobaczyła na murze cień sylwetki kapitana Jarvisa. Krzyknęła ze strachu. Oczywiście zaraz przeprosiła. Wydawało jej się, że to ktoś obcy. Dziwne, prawda? Dlaczego wejście nawet obcej osoby miałoby ją tak przestraszyć?

W zamyśleniu pokiwałam głową.

Panna Reilly długo milczała, potem nagle popłynął z jej ust potok słów:

— Co się z nimi wszystkimi stało w rym roku? Wszyscy mają kota, są jacyś nienormalnie pobudzeni, nerwowi! Johnsonka chodzi ponura i ledwo otwiera usta. Dawid, jeśli tylko może, to się w ogóle nie odzywa. Bill, oczywiście, nie przestaje paplać, ale to tylko pogarsza sytuację. Carey chodzi jakby lada chwila miało mu coś spaść na głowę. Wszyscy wzajemnie siebie pilnują... Ooo, już nic nie wiem, ale to jest po prostu nienormalne.

I bardzo dziwne, pomyślałam sobie, że dwie tak różniące się od siebie osoby, jak panna Reilly i major Pennyman, odniosły podobne wrażenie.

W tym momencie pojawił się pan Coleman. Właściwie wpadł — to jest znacznie lepsze określenie. I wcale bym się nie zdziwiła, gdyby nagle wywalil język i zaprezentował psi ogon, którym zacząłby machać.

— Dzień dobry, dobry, dobry! — obwieścił. — Jak zwykle okazałem się najlepszym na świecie klientem tutejszych sklepów. Czyś pokazała naszej drogiej siostrze całe piękno naszego miasta?

— Nie była nim nadmiernie poruszona — powiedziała panna Reilly sucho.

— Wcale jej się nie dziwię — odparł ochoczo pan Coleman. — Ze wszystkich najpodlejszych wiosek całego świata...

— Malowniczość i przeszłość niezbyt cię jakoś interesują, Bill — powiedziała panna Reilly. — Zupełnie nie rozumiem, jak mogłeś zostać archeologiem.

— To naprawdę nie moja wina, tylko mojego opiekuna. Uczony osobnik, wykładowca na uniwersytecie, w jego domu brodzi się po kostki w książkach, taki z niego mądry typ. Bardzo przejmował się, kiedy dostał mnie pod opiekę.

— Uważam, że to bardzo głupio z twojej strony dać się wciągnąć w coś, co ci nie odpowiada — powiedziała cierpko Sheila.

— Nikt mnie nie wciągał ani nie zmuszał. Opiekun zapytał, czy upatrzyłem sobie jakąś profesję, ja mu odpowiedziałem, że nie, a on mi wtedy załatwił jeden sezon tutaj pośród staroci.

— I naprawdę zupełnie nie wiesz, co chciałbyś w życiu robić?

— Oczywiście, że wiem. Najchętniej chciałbym mieć dużo pieniędzy i brać udział w wyścigach samochodowych.

— Kompletna bzdura! — oświadczyła panna Reilly. Z jej głosu wyczułam, że jest bardzo zła.

— Oczywiście, przecież wiem, że to nie wchodzi w grę — zgodził się ochoczo pan Coleman. — Skoro więc sytuacja wymaga, bym jednak coś robił, gotów jestem robić cokolwiek, byleby to nie polegało na wysiadaniu przez cały dzień za jakimś biurkiem. I pomyślałem sobie, że może warto tu przyjechać i zobaczyć kawałek świata. Niech będzie, pomyślałem, no i przyjechałem.

— Ha! Wątpię, żebyś się do czegokolwiek przydawał.

— Aaa! Nie masz racji, rozropne stworzenie. Potrafię stanąć na skraju wykopaliska i krzyknąć „Jalla! Dalej!” nie gorzej od innych. I chyba nieźle daję sobie radę z rysunkami. Moją specjalnością w szkole było podrabianie cudzego pisma. Byłby ze mnie doskonały fałszerz. Kto wie, może jeszcze się zdecyduję. Jeśli któregoś dnia mój rolls-royce opryska cię błotem, kiedy będziesz czekała na autobus, to znaczy, że uległem pokusie.

— Czy nie uważasz, że zamiast tyle mówić, powinieneś już ruszyć w drogę? — powiedziała zimno panna Reilly.

— Gościnnie osóbką, prawda, siostrze?

— Jestem pewna, że siostra Leatheran chciałaby już znaleźć się na miejscu — odparła Sheila.

— Jesteś zawsze wszystkiego absolutnie pewna — odciął się pan Coleman z uśmiechem na twarzy.

Zgodziłam się z tym w myślach. Zarozumiała impertynentka.

— Chyba czas ruszyć w drogę, panie Coleman — powiedziałam sucho.

Pożegnałam się z panną Reilly i pojechaliśmy.

— Piekielnie ładna dziewczyna ta Sheila — stwierdził pan Coleman. — Tylko musi zawsze dociąć człowiekowi.

Po opuszczeniu miasteczka wjechaliśmy na trakt wiodący wśród zielonych pól. Był bardzo wyboisty i pełen kolein.

Po pół godzinie jazdy pan Coleman wskazał na spory pagórek nad rzeką i powiedział:

— Tell Jarimdża!

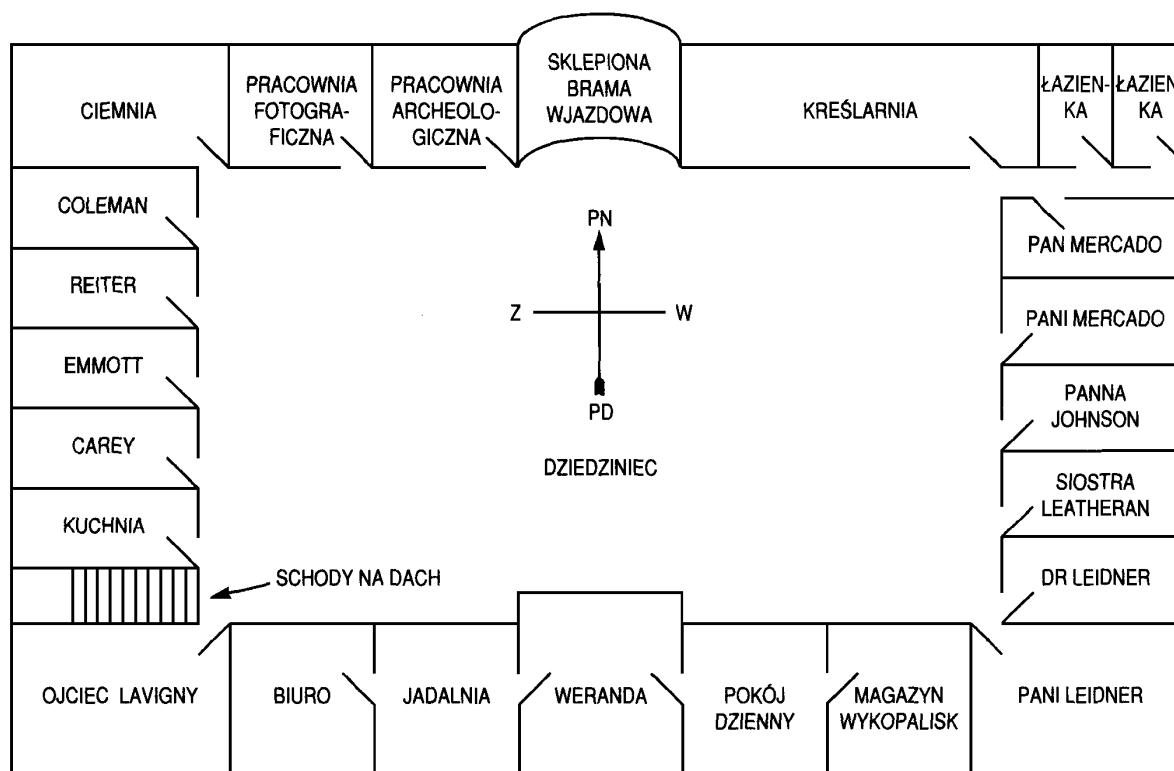
Na zboczku pagórka zobaczyłam czarne punkciki kręcące się jak mrówki po mrowisku. Nagle wszystkie zaczęły zbiegać z boczkiem w dół.

— Arabscy kopacze — wyjaśnił pan Coleman. — Koniec pracy. Przerwywamy roboty na godzinę przed zachodem słońca.

Baza ekspedycji znajdowała się nieco dalej od rzeki.

Kierowca skręcił ostro i samochód podskakując na pełnym wybojów podejździe wjechał w wąziutką, sklepioną łukiem bramę. Byliśmy na miejscu.

Budynki ekspedycji otaczały dziedziniec. Niegdyś zajmowały tylko stronę południową. Powoli zaczęto stację powiększać i w ten sposób powstał czworobok. Ponieważ plan całości będzie miał znaczenie w dalszej części opowiadania, dołączam sporządzony przeze mnie szkic.



Wszystkie pokoje miały wyjście na dziedziniec. Podobnie większość okien z wyjątkiem tych w głównym skrzydle, gdzie były także okna na otwarty teren, ale zabezpieczone kratami. W południowo-zachodnim rogu dziedzińca znajdowały się schody wiodące na płaski dach południowego skrzydła, nieco wyższego niż trzy pozostałe. Wzdłuż dachu, na jego skraju biegł niski murek.

Pan Coleman poprowadził mnie do wielkiej otwartej werandy zajmującej cały środek centralnej części kompleksu. Otworzył boczne drzwi i weszliśmy do pokoju, gdzie dość liczne grono siedziało wokół stołu przy herbacie.

— Witam, witam, witam! — wykrzyknął pan Coleman. — Oto nasza pielęgniarska dusza! Dama siedząca u szczytu stołu wstała i ruszyła w moim kierunku. Tak to po raz pierwszy ujrzałam Luizę Leidner.

TELL JARIMDŹA

Nie wstydę się przyznać, że moją pierwszą reakcją było wielkie zdziwienie. Człowiek buduje sobie obraz osoby na podstawie opowiadań innych ludzi, a potem okazuje się, że to nie tak. Nie wiem dlaczego wbiłam sobie do głowy, że pani Leidner jest brunetką niechętnie spoglądającą na świat i ludzi, że jest wyraźnie rozstrojona i nerwowa, a ponadto spodziewałam się, szczerze mówiąc, osoby nieco wulgarnej z wyglądu.

Zupełnie nie była taka, jak sobie wyobrażałam! Po pierwsze — miała zupełnie jasne włosy. Choć nie była Szwedką, jak jej mąż, śmiało mogłaby nią być. Miała właśnie taką bardzo rzadką, typowo skandynawską urodę. I wcale nie była taka młoda. Tak między trzydziestką a czterdziestką. Twarz nieco zmizerowana, między włosami blond pojawiały się już siwe. Oczy miała naprawdę piękne. Pierwsze oczy, które z czystym sumieniem mogłam nazwać fiołkowymi. Były wielkie i naprawdę podkrążone. Pani Leidner sprawiała wrażenie wiotkiej i delikatnej. Może to zabrzmiało głupio, ale wydawała mi się znużona a zarazem niesłychanie żywotna. Tak to odebrałam. A poza tym od pierwszej chwili wiedziałam, że mam do czynienia z prawdziwą damą. To coś znaczy! Nawet w dzisiejszych czasach!

Uśmiechając się wyciągnęła do mnie dłoń.

— Bardzo się cieszę z pani przyjazdu, siostrze! Napije się siostra herbaty? Czy woli siostra najpierw iść do swego pokoju?

Mówiła głosem przyciszonym, melodyjnym, z amerykańskim akcentem.

Powiedziałam, że chętnie napiję się herbaty, a pani Leidner przedstawiła mnie siedzącym przy stole.

— Panna Johnson... i pan Reiter. Pani Mercado. Pan Emmott, ojciec Lavigny. Mój mąż wkrótce tu przyjdzie. Proszę usiąść między ojcem Lavigny a panną Johnson.

Panna Johnson zaczęła mnie wypytywać o podróż i tym podobne.

Spodobała mi się. Przypominała siostrę przełożoną z lat mojej szpitalnej praktyki. Bardzo ją lubiliśmy i byliśmy gotowe wszystko dla niej zrobić.

Panna Johnson, nieco męska w zachowaniu, miała około pięćdziesiątki i siwe krótko przycięte włosy. Mówiła urywanymi zdaniami, głosem miłym, dość niskim. Zdecydowanie brzydka twarz o nieregularnych rysach, z prześmiesznie zadartym nosem, który nerwowo pocierała, ilekroć coś ją dziwiło lub niepokoiło. Miała na sobie tweedowy kostium o wyraźnie męskim kroju. W czasie rozmowy dowiedziałam się, że pochodzi z Yorkshire.

Natomiast ojciec Lavigny raczej wytrącił mnie z równowagi. Był to wysoki mężczyzna z wielką czarną brodą i w binoklach. Słyszałam od pani Kelsey, że wśród członków ekspedycji jest francuski zakonnik. I rzeczywiście miał na sobie biały wełniany strój zakonny. Jego obecność raczej mnie zdziwiła, bo zawsze myślałam, że zakonnicy mieszkają w klasztorach, których nigdy nie opuszczają.

Pani Leidner rozmawiała z nim głównie po francusku, ale on odzywał się do mnie zupełnie poprawną angielszczyzną. Zauważyłam, że miał bystre, przenikliwe spojrzenie. Przenosił je nerwowo z jednej twarzy na drugą.

Pozostała trójka siedziała naprzeciwko mnie, po drugiej stronie stołu. Pan Reiter był tęgim jasnowłosym młodzieńcem w okularach. Włosy miał dość długie i kręcone, oczy zupełnie okrągłe, niebieskie. Pomyślałam sobie, że musiał być uroczy jako niemowlę, teraz nie było na co patrzeć. Właściwie to przypominał prosiaka. Drugi młodzieniec, pan Emmott, był ostrzyżony bardzo krótko. Miał nieco wydłużoną, raczej wesołą twarz i ładne zęby. Kiedy się uśmiechał, był bardzo przystojny. Zarówno on jak i pan Reiter pochodzili z Ameryki. Ostatnią osobą przy stole była pani Mercado. Właściwie to nie mogłam dobrze jej się przyjrzeć, ilekroć bowiem zerkałam w jej kierunku, napotykałam wlepiony we mnie wzrok.

Jakby chciała mnie przejrzeć na wylot. Poczulałam się niezręcznie. Patrzyła na mnie tak, jakby pielęgniarzka stanowiła ciekawy okaz zoologiczny. Co za maniery!

Miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, smagłą cerę i jakąś przebiegłość w twarzy, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć. Owszem, wcale przystojna, ale w taki sposób, który moja mama określała jako „muśnięcie ciemną farbą”. Miała na sobie bardzo jaskrawy pulower i tego samego koloru lakier na paznokciach. Do tego wszystkiego wąska, ptasia twarz o dużych oczach i zaciśniętych, podejrzliwych ustach.

Herbata była bardzo smaczna. Aromatyczna, mocna mieszanka, a nie jakaś chińska słabizna, którą ku mojemu utrapieniu zawsze podawała pani Kelsey.

Były też tosty, dżem, talerz bułeczek i ciasto. Pan Emmott z niezwykłą grzecnością wszystko mi podsuwał. Zawsze widział, kiedy mam pusty talerzyk.

Zjawił się też pan Coleman, a właściwie wpadł jak burza. Usiadł po drugiej stronie panny Johnson. Na nim żadne napięcia nie robiły najmniejszego wrażenia. Znow zaczął pleść piąte przez dziesiąte.

Pani Leidner westchnęła głęboko i znacząco spojrzała w jego kierunku, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Nie przejmował się również faktem, że pani Mercado, do której głównie się zwracał, niemalże go ignorowała wpatrując się bez ustanku we mnie.

Kiedy już prawie kończyliśmy, pojawił się doktor Leidner w towarzystwie pana Mercado.

Doktor Leidner przywitał się ze mną grzecznie. Zauważyłam, że z niepokojem spojrzął w stronę żony, ale wyraźnie go uspokoił wyraz jej twarzy. Zajął miejsce na przeciwnym końcu stołu, pan Mercado zaś usiadł na wolnym krześle koło pani Leidner. Mercado był wysokim, chudym mężczyzną o smutnej twarzy, bladej, niezdrowej cerze i dość dziwnej, miękkiej i bezkształtnej brodzie. Był dużo starszy od żony. Z zadowoleniem powitałam jego przyjście, ponieważ natychmiast pani Mercado przestała się we mnie wpatrywać przenosząc uwagę na męża. Spoglądała na niego z jakimś niespokojnym wyczekiwaniem, co wydało mi się dość dziwne. W zamyśleniu mieszał łyżeczką herbatę nie odzywając się do nikogo ani słowem. Ciasto leżało na jego talerzyku nietknięte.

Pozostało jeszcze jedno wolne miejsce. Wkrótce otworzyły się drzwi i wszedł jeszcze jeden mężczyzna.

Gdy go ujrzałam, pomyślałam, że Richard Carey jest najprzystojniejszym mężczyzną ze wszystkich, których ostatnio widziałam. Czy jednak naprawdę był taki urodziwy? To dość ryzykowne twierdzenie, że ktoś, kto przypomina trupią czaszkę, jest przystojny. A jednak! Cała jego głowa sprawiała wrażenie czerepu ciasno obciągniętego skórą. Była jednak niezwykle kształtna. Szczęki, skronie, czoło rysowały się wydatnie, przypominając rzeźbę w brzozi. Ze szczupłej, smagłej twarzy wyzierała para nieprawdopodobnie błyszczących niebieskich oczu. Miał około 180 centymetrów wzrostu i chyba nie dobiegał jeszcze czterdziestki.

— To pan Carey, nasz architekt — przedstawił go doktor Leidner.

Pan Carey wymruczał coś cicho miłym głosem z angielskim akcentem i usiadł obok pani Mercado.

— Obawiam się, że herbata już nieco ostygła, panie Carey! — odezwała się pani Leidner.

— Nic nie szkodzi. To moja wina, że się spóźniłem. Chciałem skończyć kreślenie murów — odparł.

— Trochę dżemu, panie Carey? — spytała pani Mercado. Pan Reiter przysunął tosty.

Przypomniałam sobie słowa majora Pennymana: „zbyt grzecznie podawali sobie masło”.

W istocie, było w tym coś ze sztucznej grzeczności.

Jakby przy tym stole spotkało się grono zupełnie obcych ludzi, a nie wieloletnich — w większości wypadków — współpracowników.

PIERWSZY WIECZÓR

Po herbacie pani Leidner zabrała mnie do mojego pokoju.

Może warto, bym teraz opisała układ wszystkich pomieszczeń. Był bardzo prosty i łatwo się w nim zorientować za pomocą dołączonego przeze mnie szkicu.

Po obu stronach otwartej werandy znajdowały się drzwi do dwu głównych pomieszczeń. Drzwi po prawej prowadziły do jadalni, gdzie piliśmy herbatę. Drzwi po przeciwnej stronie prowadziły do pokoju identycznej wielkości (który na planie określiłam mianem pokoju dziennego) wykorzystywanego zarówno jako miejsce odpoczynku, jak i pracy. Tam właśnie sporządzano niektóre rysunki (z wyjątkiem architektonicznych) oraz klejono co delikatniejsze skorupy. Tamtędy przechodziło się również do magazynu wykopalisk. Znoszono tu wszystko z terenu i układano na półkach z przegródkami lub rozkładano na ławach i stołach. Magazyn wykopalisk miał tylko jedno wyjście — przez pokój dzienny.

Za magazynem wykopalisk znajdowała się sypialnia pani Leidner, dostępna jedynie od strony dziedzińca. Podobnie jak inne pokoje od strony południowej, miała dwa zakratowane okna z widokiem na zorańe pola. Tuż za rogiem, dotykając sypialni pani Leidner, ale nie łącząc się z nim, był pokój doktora Leidnera. W tym samym skrzydle były jeszcze cztery pokoje, z których trzy miały wejścia również od dziedzińca. Pierwszy — mój, następnie pokoje panny Johnson i pani Mercado. Ostatni pokój w tym rzędzie należał do pana Mercado i wchodziło się do niego od korytarzyka oddzielającego dwie tak zwane łazienki należące już do północnego skrzydła czworoboku.

(Kiedy raz nazwałam te pomieszczenia „tak zwanymi łazienkami” w rozmowie z doktorem Reilly, on roześmiał się i powiedział, że łazienka albo jest łazienką, albo nią nie jest. A ja uważam, że kiedy człowiek przyzwyczai się do kurków, umywalek i wanien, to trudno mu potem nazywać łazienką cztery gliniane ściany z blaszaną wanienką po pepepek i mulistą wodą przynoszoną w puszkach po nafcie. Też mi łazienka!)

Całe skrzydło, w którym mieszkałam, zostało dobudowane przez doktora Leidnera i dotykało pierwotnej arabskiej budowli od strony południowej. Wszystkie sypialnie były jednakowe, z podobnymi drzwiami i miały po jednym oknie od strony dziedzińca. Tylko wejście do pokoju pana Mercado, jak już to powiedziałam, znajdowało się od strony korytarzyka. W skrzydle północnym oprócz owych niby-łazienek mieściły się jeszcze: kreślarnia, pracownia archeologiczna, pracownia fotograficzna i na końcu ciemnia.

W zachodnim skrzydle znajdowały się rzędem sypialnie w podobnym układzie, jak we wschodnim.

Powróćmy jeszcze do głównego budynku od strony południowej. Z jadalni prowadziły drzwi do pomieszczenia biurowego, gdzie znajdowała się cała dokumentacja i gdzie katalogowano wykopaliska oraz pisano na maszynie. Tuż za ścianą biura, na przeciwległym skraju od sypialni pani Leidner, znajdowała się sypialnia ojca Lavigny. Było to jedno z największych pomieszczeń, które służyło ojcu Lavigny za pracownię. Odcyfrowywał tam, czy jak to się tam nazywa, tabliczki.

W południowo-zachodnim narożniku znajdowały się schody wiodące na dach. Za nimi, już w zachodnim skrzydle, w pierwszym pomieszczeniu mieściła się kuchnia, a w czterech następnych sypialnie „młodzieży”: Careya, Emmotta, Reitera i Colemana.

Za sypialnią Colemana zaczynało się już skrzydło północne. Poczynając od wymienionej już przeze mnie ciemni z wejściem do sąsiadującej z nią pracowni fotograficznej, następnym pomieszczeniem była pracownia archeologiczna, dotykająca sklepionej bramy, ponad jedynym wjazdem na dziedziniec. Na zewnątrz czworoboku, za bramą, znajdowały się pomieszczenia miejscowej służby, strażnica dla żołnierzy, stajnie dla koni wożących wodę i

coś tam jeszcze. Z drugiej strony przylegała do bramy kreślarnia zajmująca całą przestrzeń do szeroko omówionych „łazienek”.

Dość szczegółowo wszystko to opisałam, ponieważ nie chcę już do tego wracać.

Jak wspomniałam, pani Leidner osobiście oprowadziła mnie po wszystkich zakamarkach i wreszcie wskazała mi mój pokój wyrażając nadzieję, że będzie mi tu wygodnie.

Pokój był miły, choć bardzo skromnie umeblowany: łóżko, komoda, miednica na stojaku i krzesło.

— Przed obiadem i kolacją służący przynoszą gorącą wodę — wyjaśniła. — No i oczywiście rano. Jeśliby siostra potrzebowała gorącej wody w innej porze, proszę wyjść na dziedziniec, klasnąć w dłonie, a kiedy służący przyjdzie, powiedzieć *dżib maj hor*. Siostra to zapamięta?

Powiedziałam, że chyba tak, i kilka razy powtórzyłam, tylko troszkę się zająknawszy.

— Dobrze — pochwaliła. — I należy krzyczeć. Arabowie nie rozumieją nic wypowiedzianego normalnym „angielskim” głosem.

— Języki to śmieszna rzecz — odparłam. — Dziwne, że jest ich aż tyle.

Pani Leidner uśmiechnęła się.

— W Palestynie jest kościół, w którym Ojciec Nasz wypisano w dziewięćdziesięciu chyba językach — powiedziała.

— Co pani mówi? — zdziwiłam się. — Muszę o tym napisać mojej ciotce. Bardzo ją to zainteresuje.

Pani Leidner w zamyśleniu obróciła nieco dzbanek z wodą, dotknęła miednicy i przesunęła mydelniczkę.

— Mam nadzieję, że będzie tu siostrze dobrze — powiedziała. — I że siostra się nie zanudzi.

— Bardzo rzadko się nudzę — odparłam. — Życie jest na to za krótkie.

Nic na to nie odpowiedziała. Nadal bawiła się bezmyślnie umywalką.

W pewnej chwili utkwiała swoje fiołkowe oczy w mojej twarzy.

— Co właściwie powiedział siostrze mój mąż? — spytała.

— Z jego słów zrozumiałam, że jest pani trochę wyczerpana. I że chciała pani mieć przy sobie kogoś, kto by się panią zaopiekował i po prostu pomógł w bieżących sprawach — odparłam rutynowo.

W zamyśleniu pochyliła powoli głowę.

— Tak — potwierdziła. — Mniej więcej o to chodzi.

Było to nieco tajemnicze, ale nie prosiłam o wyjaśnienie. Natomiast dodałam:

— Mam nadzieję, że pozwoli mi pani zająć się wszystkim w domu? Nie znoszę bezczynności. Uśmiechnęła się blade.

— Oczywiście, siostro! Bardzo siostrze dziękuję. Następnie usiadła na moim łóżku i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zaczęła mnie dokładnie wypytywać. Powiedziałam, że ku mojemu zdziwieniu, bo od pierwszej chwili uznałam, że pani Leidner jest damą. A z własnego doświadczenia wiem przecież, że damy bardzo rzadko ciekawi prywatne życie innych.

Pani Leidner chciała jednak wiedzieć o mnie wszystko. Gdzie się uczyłam zawodu i jak dawno temu. Co mnie sprowadziło na Bliski Wschód. Jak to się stało, że doktor Reilly mnie polecił. Spytała nawet, czy kiedykolwiek byłam w Ameryce, i czy mam tam krewnych. Zadała mi też parę pytań, które wówczas wydawały mi się bez sensu, ale ich znaczenie zrozumiałam później.

Nagle jej zachowanie zupełnie się zmieniło. Uśmiechnęła się — ciepły, słoneczny uśmiech wykwitł niespodziewanie na jej twarzy — i słodkim głosem powiedziała, że jest bardzo zadowolona z mojego przyjazdu, i że z pewnością będę dla niej dużą pomocą.

Wstała z łóżka i spytała, czy chciałabym wejść na dach i zobaczyć cudowny zachód słońca.

Chętnie się zgodziłam.

Gdy wychodziłyśmy z pokoju, zadała następujące pytanie:

— Czy było wielu podróżnych w pociągu z Bagdadu? Może jacyś mężczyźni?

Odparłam, że nikogo specjalnie nie zauważyłam. Tamtego wieczoru siedziało w wagonie restauracyjnym dwóch Francuzów i trzech mężczyzn, z których rozmowy wywnioskowałam, że mają coś wspólnego z rurociągiem.

Skinęła głową i jakby odetchnęła z ulgą.

Poszłyśmy na dach. Była tam pani Mercado siedząca na murku i doktor Leidner pochylony nad rzędami jakichś skorup i kamieni. Niektóre z tych naczyń były wcale spore i doktor Leidner pokazując mi je kolejno nazywał żarnami, tłuczkami i kamiennymi siekierami. W życiu nie widziałam takiej ilości potłuczonych glinianych skorup. Do tego z najdziwniejszymi wzorami.

— Niech siostra podejdzie! — zawołała pani Mercado. — Czyż to nie przepiękny widok?

Zachód słońca był rzeczywiście bardzo ładny. W oddali na horyzoncie widniało Hassanieh jak gród z bajki z czerwoną tarczą słońca w tle. Rzeka Tygrys, rozlana szeroko, też bardziej przypominała bajkowe rozlewisko niż prawdziwą rzekę.

— Jakież to cudowne, Eryku! — powiedziała do męża pani Leidner.

Doktor podniósł głowę, spojrzał nieprzytomnie, wymruczał zdawkowo „cudowne, cudowne” i zajął się układaniem skorup.

— Archeologowie patrzą jedynie na to, co mają pod stopami — powiedziała z uśmiechem pani Leidner. — Niebiosa dla nich nie istnieją.

— Archeologowie to dziwacy. Wkrótce się o tym siostra przekona — zachichotała pani Mercado.

Milczała przez chwilę, a później zwróciła się do mnie po raz wtóry:

— Jesteśmy wszyscy bardzo zadowoleni z przyjazdu siostry. Okropnie się martwiliśmy o naszą drogą panią Leidner. Prawda, Luizo?

— Czyżby?

Pani Leidner wypowiedziała to jedno słowo tonem mało zachęcającym do dalszej rozmowy.

— O tak! Pani Leidner była naprawdę w złej formie, siostrze. Mielśmy wiele powodów do niepokoju. Bo siostra wie, że jak mi ktoś mówi „to tylko nerwy”, to ja zaraz pytam: „co może być gorszego?” Nerwy to sam rdzeń i głębia ludzkiej istoty, prawda, siostrze?

„Tere fere”, pomyślałam sobie.

— Od tej chwili możesz się mną więcej nie martwić, Mario — powiedziała sucho pani Leidner. — Siostra się mną zajmie.

— Oczywiście — odparłam wesoło.

— Jestem pewna, że to pomoże — powiedziała pani Mercado. — Wszyscy byliśmy zdania, że panią Leidner powinien zbadać doktor albo ktoś w tym rodzaju. Jej nerwy były w strasznym stanie. Prawda, droga Luizo?

— W takim stanie, że aż tobie się to udzieliło. Może porozmawiamy o czymś innym niż o moich żalonych dolegliwościach.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że pani Leidner łatwo przysparza sobie wrogów. Mówiła tonem tak chłodnym, że prawie niegrzecznym (mając zresztą po temu powody), aż na blade policzki pani Mercado wystąpiły rumieńce. Coś tam wyjąkała, ale pani Leidner wstała i dołączyła do męża na drugim końcu dachu. Chyba nawet jej nie zauważył, póki mu nie położyła dłoni na ramieniu. Wtedy dopiero podniósł szybko głowę. W jego oczach widać było czułość i nieme pytanie.

Pani Leidner skinęła łagodnie głową. Ujęła męża pod rękę i oboje ruszyli w kierunku odległej części murku, a potem zeszli schodami na dół.

— Jest jej bardzo oddany, nieprawdaż? — powiedziała pani Mercado.

— Tak. Bardzo to miło widzieć — odparłam.

Pani Mercado dość natrętnie spoglądała na mnie z ukosa.

— Czy siostra potrafi powiedzieć co jej właściwie jest? — spytała.

— Nie sędzę, aby coś poważnego — odparłam lekko. — Po prostu jest trochę wyczerpana.

Pani Mercado świdrowała mnie oczami zupełnie jak podczas popołudniowej herbaty.

— Siostra się specjalizuje w chorych umysłowo? — odezwała się nagle.

— Drogi Boże, nie! Skąd pani to przyszło do głowy? Długo milczała. Wreszcie odpowiedziała pytaniem:

— Doktor Leidner nie mówił siostrze, jak się dziwnie zachowywała? Nic siostra nie wie?

Nie mam zwyczaju plotkować o moich chorych. Wiem jednak z doświadczenia, jak trudno dowiedzieć się prawdy od rodziny. A póki się nie zna prawdy, pracuje się często po omacku, bez żadnego pożytku dla chorego. Kiedy chorym zajmuje się bezpośrednio lekarz, to inna sprawa. On mówi pielęgniarce, co trzeba robić. Ale w tym przypadku go nie było. Doktora Reilly nie proszono o konsultację. I tak naprawdę, to wcale nie byłam pewna, czy doktor Leidner powiedział wszystko, co powinien powiedzieć. Mężowie są często instynktownie bardzo powściągliwi, co oczywiście zasługuje na szacunek. Jednakże wiedząc więcej na pewno bardziej potrafiłabym pomóc. Pani Mercado (którą zaliczyłam do kategorii wstrętnych żmij) aż się paliła do rozmowy. Przyznaję, że zarówno ze względów zawodowych, jak i osobistych chciałam usłyszeć co ma do powiedzenia. Cóż, jestem równie ciekawa, jak każdy.

— Rozumiem, że ostatnio pani Leidner nie była w dobrej formie? — spytałam.

Pani Mercado roześmiała się zjadliwie.

— W dobrej formie! Z pewnością nie. Śmiertelnie nas wystraszyła. Co też ona wygadywała. Pewnej nocy jakieś palce stuknęły w jej okno. To znów ręka, a raczej sama dłoń. Kiedy zaczęła opowiadać o żółtej twarzy przyklejonej do szyby, wtedy dopiero ciarki nas przeszły! Oczywiście kiedy podbiegła do okna, nie było tam nikogo.

— Może ktoś jej specjalnie robi kawały — podsunęłam.

— O nie! Wszystko to wymyśliła. A trzy dni temu podczas kolacji! Rozległy się jakieś strzały w wiosce. Prawie półtora kilometra stąd. Zerwała się i zaczęła krzyczeć. Wystraszyła nas okropnie. Doktor Leidner podbiegł do niej i też zachowywał się jak postrzelonec. „To nic, kochanie! To nic, kochanie!” powtarzał w kółko. Wie siostra, co myślę? Że mężczyźni czasami zachęcają kobiety do hysterii. A histeryczne wybuchy nikomu dobrze nie służą. Przywidzenia trzeba tępić.

— Chyba że to nie są przywidzenia — odparłam sucho.

— A cóż innego to mogło być?

Na to nie znalazłam odpowiedzi. Wszystko to było dziwne. Strzały i potem krzyki. Rzecz normalna, gdy chodzi o osobę w złym stanie nerwów. Natomiast ta historia z twarzą i dłonią, to zupełnie inna sprawa. Albo pani Leidner wszystko wymyśliła (tak jak czasami dziecko chwali się opowiadając wierutne kłamstwa na temat czegoś, co nigdy nie miało miejsca, po to, żeby znaleźć się w centrum zainteresowania), albo — tak jak już to powiedziałam — był to czyjś głupi żart. Pomyślałam sobie, że takie kawały pasowałyby, na przykład, do nie posiadającego zbytnej wyobraźni pana Colemana. Byłby przekonany, że jest strasznie dowcipny. Postanowiłam bliżej się przyjrzeć panu Colemanowi. Nerwowego pacjenta można na śmierć przestraszyć głupim żartem.

Spoglądając na mnie z ukosa pani Mercado powiedziała:

— Ona wydaje się bardzo romantyczną osobą, prawda, siostrze? Należy do kobiet, którym przytrafia się wiele rzeczy.

— A czy dużo rzeczy przytrafiło się pani Leidner?

— No cóż, jej pierwszy mąż zginął podczas wojny, kiedy miała zaledwie dwadzieścia lat. To bardzo patetyczne i romantyczne, prawda, siostró?

— Jak kto chce, dostrzeże w kacze łabędzia — odparłam sucho.

— Siostró! Co za oryginalna uwaga!

I jaka prawdziwa. Ileż to słyszy się kobiet, które mówią: „Ach, gdyby Donald — a może Artur, czy jak tam mu na imię — żył!” A ja sobie myślę, że gdyby Donald żył, to byłby otyłym, zawsze wściekłym i mało romantycznym panem w średnim wieku.

Ściemniało się, więc zaproponowałam, byśmy zeszły na dół. Pani Mercado spytała, czy chciałabym zwiedzić pracownię, gdzie zastaniemy jeszcze jej męża.

Chętnie się zgodziłam i poszłyśmy w tamtym kierunku. W pracowni paliło się światło, ale nie było nikogo. Pani Mercado pokazała mi sprzęt oraz miedziane ozdoby, które poddawano właśnie renowacji, a także kości powleczone woskiem.

— Gdzie też podział się Józef? — rozmyślała głośno pani Mercado.

Poszłyśmy sprawdzić, czy nie ma go w kreślarni. Pracował tam jeszcze pan Carey, który ledwo spojrział w naszym kierunku. Uderzyło mnie jakieś olbrzymie napięcie widoczne na jego twarzy. Nagle pomyślałam: „Ten człowiek jest u kresu wytrzymałości! Wkrótce coś w nim pęknie.” I przypomniałam sobie, że ktoś inny już zauważył ten stan rzeczy wcześniej.

Wychodząc z kreślarni raz jeszcze rzuciłam nań okiem: siedział pochylony nad jakimś dokumentem. Usta miał zaciśnięte, a twarz jeszcze bardziej niż poprzednio przypominała maskę. Być może to zbyt wybujała wyobraźnia podsuwała mi obraz dawnego rycerza, który szykuje się do bitwy, wiedząc, że nie wyjdzie z niej żywy.

Odniosłam jednocześnie wrażenie, że ten człowiek dysponuje jakąś olbrzymią siłą magnetyczną, z której nie zdaje sobie nawet sprawy.

Znaleźliśmy pana Mercado w pokoju dziennym. Wyjaśniał pani Leidner tajniki nowej technologii konserwacji zabytków. Pani Leidner siedziała na prostym drewnianym krześle i jedwabną nitką haftowała kwiaty. Uderzył mnie jej dziwny, uduchowiony wygląd. Przypominała bardziej zjawę, niż istotę z krwi i kości.

— Ooo, tu jesteś, Józefie! Miałeś być w pracowni! — wykrzyknęła pani Mercado piskliwym głosem.

Zerwał się na równe nogi, zaskoczony i zmieszany, jakby wejście żony zakłóciło jakieś odbywające się tu misterium.

— Ja... Ja muszę już iść... — odparł jękając się. — Jestem w trakcie... w trakcie...

Nie skończywszy nawet zdania, ruszył ku drzwiom.

— Opowie mi pan o tym następnym razem! To bardzo interesujące! — zawołała za nim pani Leidner miękkim, melodyjnym głosem.

Spojrzała na nas, jakby nieobecny wzrokiem, uśmiechnęła się słodko w przestrzeń i powróciła do swojego haftu.

— Tam na półce leżą książki, siostró — odezwała się po paru minutach. — Mamy sporą bibliotekę. Proszę sobie coś wybrać i usiąść.

Podeszłam, żeby przejrzeć książki. Pani Mercado stała jeszcze przez parę chwil, potem obróciła się na pięcie i wyszła. Dostrzegłam, kiedy mnie mijała, wyraz jej twarzy. Nie podobał mi się. Biła z niej dzika wściekłość.

Aczkolwiek niechętnie, przywołałam z pamięci słowa pani Kelsey dotyczące pani Leidner. Wolałabym nie dawać im wiary, ponieważ polubiłam panią Leidner. Niemniej głęboko się zastanowiłam, czy przypadkiem w opiniach pani Kelsey nie tkwiło źdźbło prawdy.

Zapewne nie wszystko było winą pani Leidner, lecz fakt pozostawał faktem, że dalece przewyższała urodą kochaną brzydulę, pannę Johnson, oraz tę ognistą prostaczkę, panią Mercado. Nie tylko urodą, ale ogładą. A mężczyźni pozostają zawsze mężczyznami. Napatrzyłam się na to w moim zawodzie.

Mercado nie był wart zachodu. Wątpię, aby pani Leidner cokolwiek na nim zależało. Jego atencje w ogóle jej nie obchodziły. Najwidoczniej jednak obchodziły jego żonę. I to jak! Pani Mercado chętnie by spletała jakiegoś dotkliwego psikusa pani Leidner.

Przyglądałam się uważnie pani Leidner pochylonej nad haftem, zamkniętej w sobie, chłodnej, traktującej otoczenie z rezerwą. Przyszło mi do głowy, że powinnam ją ostrzec. Pomyślałam sobie, że może ona nie wie, jak daleko potrafią zaprowadzić zazdrość i nienawiść. I może nie wie również, jak niewiele potrzeba, by je rozniecić.

A potem powiedziałam sobie: „Moja droga Amy Leatheran, jesteś głupia. Pani Leidner nie jest niewinnym dziewczątkiem. Jak nic ma czterdziestkę. Życie zna na wylot.”

A może wcale dobrze nie zna życia?

Ma taki przedziwnie nieskalany wygląd.

Zaczęłam się zastanawiać, jakie też mogła mieć życie. Podobno wyszła za doktora Leidnera dopiero przed dwoma laty. Pani Mercado powiedziała, że pierwszy mąż pani Leidner umarł piętnaście lat wcześniej.

Usiadłam blisko niej z książką w ręku.

Po krótkiej chwili wstałam, aby umyć ręce przed zbliżającą się kolacją. Posiłek był smaczny. Podano curry. Niedługo potem wszyscy poszli spać. Bardzo mi to odpowiadało, gdyż czułam się nieco zmęczona.

Pan Leidner odprowadził mnie do pokoju, żeby sprawdzić, czy mam wszystko, co potrzeba.

Uścisnął mi serdecznie dłoń.

— Ona siostrę lubi. Naprawdę! — powiedział zadowolony. — Polubiła siostrę od pierwszej chwili. Strasznie się cieszę. Wiem, że teraz wszystko ułoży się już dobrze.

Zachowywał się zupełnie jak uradowany chłopak.

Mnie się też wydawało, że pani Leidner mnie polubiła, i cieszyłam się z tego.

Natomiast nie podzielałam pewności doktora Leidnera co do drugiej sprawy. Zaczęłam podejrzewać, że cała ta historia jest bardziej skomplikowana.

Coś się za tym wszystkim kryło, coś, czego nie potrafiłam zrozumieć.

Łóżko okazało się bardzo wygodne, ale spałam źle, gdyż zbyt wiele mi się śniło.

Przez głowę przelatywały mi fragmenty jednego z wierszy Keatsa. Uczylałam się go jako dziecko. Jednak słowa wciąż mi się plątały, co mnie bardzo martwiło. Był to poemat, którego szczególnie nie lubiłam. Prawdopodobnie dlatego, że kazano mi się go wykuć na pamięć. Ale kiedy w środku nocy nagle się obudziłam i słowa poematu stały się bardziej wyraziste, po raz pierwszy dostrzegłam jego piękno,

„Rzecz proszę, co ci dolega, rycerzu mój, któryś samotnie (i co dalej?) z licem bladym...”?
Po raz pierwszy miałam przed oczami twarz rycerza, twarz pana Careya. Sroga, zacięta, lecz wcale nie blada, a opalona. I bardzo mi przypominała twarze tych biednych młodych ludzi, których jako dziewczynka widywałam podczas wojny... Zrobiło mi się go bardzo żal, znów zasnęłam i wtedy zobaczyłam, że *La Belle Dame sans Merci* jest panią Leidner, która pochyła się na koniu trzymając w rękach swoje haftowane kwiaty. Koń się potknął i rozsypały się wszędzie kości powleczone woskiem, a ja się obudziłam przerażona i roztrzęsiona. Od razu pomyślałam, że nie powinnam była jeść na noc curry. Nigdy mi to nie służyło.

MEŹCZYŻNA POD OKNEM

Lepiej, żebym na samym wstępie wyraźnie zaznaczyła, że w mojej opowieści nie będzie żadnej egzotyki. Na archeologii nic się nie znam i nie bardzo mnie ona pociąga. W ogóle szperanie w kościach i w tym, co już zostało pogrzebane nie ma dla mnie sensu. Pan Carey często mi powtarzał... Aha, że nie mam archeologicznej żyłki. Bez wątpienia miał rację.

Pierwszego ranka po moim przyjeździe pan Carey spytał mnie, czy mam ochotę obejrzeć pałac, który, jak oświadczył, właśnie rozplanowuje. Zupełnie nie rozumiem, jak można robić plany czegoś, co istniało tak dawno temu. Powiedziałam mu, że chętnie obejrzę. Nawet mnie to zainteresowało, bo ten pałac miał być sprzed trzech tysięcy lat. Zastanawiałam się, jakie to mogli mieć wtedy pałace i czy trochę podobne do komnat z meblami w grobowcu Tutenchamona, które oglądałam na zdjęciach. Wierzyć nie chciałam, kiedy zobaczyłam, że do oglądania jest tylko glina! Murek z brudnej gliny na trzy czwarte metra wysoki i to wszystko! Pan Carey prowadził mnie opowiadając, gdzie był wielki podwórzec, komnaty, nad niektórymi wyższe piętra, dalej jeszcze jakieś izby z wyjściami na centralny dziedziniec. Przez cały czas zadawałam sobie pytanie, skąd on to wszystko wie, ale jestem zbyt grzeczna, żeby go wprost zapytać. Całe to wykopalisko wyglądało po prostu jak rozkopana glinianka. Żadnego marmuru ani złota. Po prostu nic ładnego.

Dom mojej ciotki w Criclewood stanowiłby znacznie ciekawszy obiekt. A ci dawni Asyryjczycy, bo tak się chyba nazywali, mieli czelność nazywać się „królami”! Kiedy pan Carey już pokazał mi swoje „pałace”, oddał mnie w ręce ojca Lavigny, który oprowadził mnie po reszcie wykopaliska. Troszkę się bałam ojca Lavigny, bo to i osoba duchowna, i w dodatku cudzoziemiec, miał przy tym taki tubalny głos. Okazał się jednak bardzo uprzejmy, chociaż mówił dziwnie ogólnikowo. Chwilami miałam wrażenie, że dla niego wszystko jest równie mętne jak dla mnie.

Pani Leidner później mi to wyjaśniła. Powiedziała, że ojciec Lavigny interesuje się jedynie „dokumentacją spisaną”, tak to nazwała. Ci Asyryjczycy zapisywali wszystko na glinie. Ryli dziwne pogańskie znaki, ale dość wyraźne. Były nawet gliniane tabliczki, na których po jednej stronie nauczyciel pisał zdanie, a po drugiej uczeń dawał odpowiedź. Przyznam się, że to mnie nawet zainteresowało.

Ojciec Lavigny oprowadził mnie po całym terenie i pokazał, gdzie stały świątynie i pałace, a gdzie prywatne domy. Zobaczyłam też miejsce, które podobno miało być wczesnym akadyjskim cmentarzem, jak to określił ojciec Lavigny. Tak jakoś chaotycznie mówił — rzucał skrawek informacji to o tym, to o tamtym i zaraz wracał do ogólnej rozmowy.

— Dziwne, że siostra tu przybyła — mruknął. — A więc pani Leidner jest naprawdę chora?

— Trudno to określić mianem choroby — odparłam ostrożnie.

— Bardzo dziwna kobieta. I sądzę, że niebezpieczna — zauważył.

— Jak mam to rozumieć? Niebezpieczna? W jakim sensie?

— Wydaje mi się, że potrafi być bezwzględna. — W zamyśleniu pokiwał głową. — Tak, tak, chyba jest bezlitosna.

— Bardzo ojca przepraszam, ale ojciec mówi głupstwa! — odparłam.

Potrząsnął przecząco głową.

— Siostra nie zna tej kobiety tak jak ja — powiedział.

Pomyślałam sobie, że to dość zabawne słyszeć coś podobnego z ust zakonnika. Czyżby tyle się nasłuchał podczas spowiedzi? Bardzo mnie to zdziwiło, poza tym nie byłam pewna, czy zakonnicy spowiadają, czy też wolno to robić tylko księżom. On chyba był zakonnikiem, bo chodził w białym habitie zamiatając kurz. No i miał też różaniec.

— Tak, ona potrafi być bezlitosna — powtórzył w zamyśleniu. — Jestem tego pewien. Ale chociaż jest twarda jak kamień, jak marmur, to czegoś bardzo się boi. Ale czego?

Ba! Wszyscy chcielibyśmy to wiedzieć!

Możliwe, że doktor Leidner wiedział, lecz chyba nikt inny.

Ojciec Lavigny spojrział na mnie badawczo.

— No i co siostra myśli? Wszystko tu jest normalnie? Czy też coś dziwnego wisi w powietrzu?

— Jest coś niepokojącego — odparłam po chwili zastanowienia. — W zasadzie wszystko toczy się, jak powinno, bardzo składnie, ale człowiek ma takie dziwne uczucie...

— Dziwne uczucie i mnie ogarnęło! Myśl mnie taka naszła — ojciec Lavigny zaczął nagle używać obcej składni — że coś się święci. I doktor Leidner też chodzi osowiały. Coś go bardzo martwi.

— Może po prostu zdrowie żony — podsunęłam.

— Prawdopodobnie. Ale jeszcze coś więcej. Jakby to powiedzieć... w powietrzu wisi coś dziwnego...

Ojciec Lavigny chyba utrafił w sedno.

Już więcej nic sobie nie powiedzieliśmy, bo właśnie nadszedł doktor Leidner i pokazał mi dopiero co odkopany grób dziecka. Bardzo wzruszające. Malutkie kości i parę naczyń z jakimiś okruchami. Doktor Leidner powiedział, że to szczątki naszyjnika z koralików.

Bardzo mnie rozśmieszyli tutejsi robotnicy. Trudno wprost wyobrazić sobie taką bandę straszyleń. W koszulinach i jakichś szmatach, głowy zaś mieli tak obwiązane, jakby ich bolały zęby. I raz po raz, kiedy tak chodzili tam i z powrotem dźwigając te swoje koszyki z ziemią, zaczęli śpiewać. To znaczy, mnie się wydawało, że śpiewają. Było to przedziwne, monotonne zawodzenie, które się nagle urywało i rozlegało na nowo. Zauważyłam, że większość miała oczy w okropnym stanie. Ropiały, a niektórzy chyba byli na pół ślepi. Właśnie sobie pomyślałam, jacy oni są biedni, kiedy doktor Leidner odezwał się: — Prawda, że oni są wspaniali?

Dziwny jest ten świat, kiedy dwoje ludzi zupełnie odwrotnie ocenia to, co widzi. Może niezręcznie to sformułowałam, ale chyba można zrozumieć, co miałam na myśli.

Po pewnym czasie doktor Leidner powiedział, że wraca do domu na popołudniową herbatę. Poszliśmy więc razem i doktor wiele mi opowiadał. A kiedy on wyjaśniał, cały obraz wydał mi się nagle inny. Zupełnie jakbym wszystko widziała! Jak tu dawniej było. Ulice i domy. Doktor pokazał mi nawet piec, w których pieczono chleb. Powiedział też, że do dzisiaj Arabowie pieką chleb w prawie takich samych piecach.

Po powrocie do domu stwierdziliśmy, że pani Leidner już wstała. Wyglądała dziś znacznie lepiej — nie była taka wymizerowana i zmęczona. Herbatę podano prawie natychmiast. Gdy ją piliśmy, doktor Leidner opowiedział żonie, co tego poranka znaleziono podczas kopania. Potem wrócił do pracy, a pani Leidner spytała mnie, czy chciałabym obejrzeć, co dotychczas znaleziono. Odpowiedziałam, że bardzo chętnie. Pani Leidner zaprowadziła mnie do magazynu wykopalisk. Stało tam bardzo dużo przedmiotów — głównie skorup, chociaż i sporo posklejanych i powiązanych garnków. Według mnie wszystko to można było z czystym sumieniem wyrzucić.

— Ojej! — powiedziałam. — Jaka szkoda, że wszystko jest potłuczone. Czy to warto trzymać?

Pani Leidner lekko się uśmiechnęła.

— Całe szczęście, że Eryk nie słyszy siostry — powiedziała. — Najbardziej go interesują właśnie te naczynia. To najstarsze nasze wykopaliska. Niektóre mają z siedem tysięcy lat.

Następnie pani Leidner wyjaśniła mi, że część tych skorup wydobyto z dużych głębokości, prawie z dna pagórka i że przed tysiącami lat, kiedy się takie naczynie rozbiło, to je

reperowano sklejjając ziemną smołą, co wskazuje, jak bardzo wówczas ludzie cenili swe sprzęty, nie mniej niż obecnie.

— A teraz — zapowiedziała — pokażę siostrze coś niezwykle interesującego!

Zdjęła z półki pudło i moim oczom ukazał się złoty sztylet z rękojeścią wysadzaną szafirowymi kamieniami. Wydałam okrzyk zachwytu. Pani Leidner się roześmiała.

— Tak, każdy kocha złoto. Z wyjątkiem mego męża.

— Dlaczego pan Leidner nie lubi złota? — spytałam.

— Między innymi dlatego, że jest bardzo kosztowne. Robotnikom, którzy znajdą złoty przedmiot trzeba zapłacić równowartość jego wagi w złocie.

— Dobry Boże! — wykrzyknęłam. — A dlaczegoż to?

— Taki zwyczaj. Zapobiega kradzieżom. Bo widzi siostra, jeśli oni ukradli taki przedmiot, to nie dla jego wartości zabytkowej, ale dla wartości samego kruszcu. Taki sztylet po prostu by stopili. Płacąc, dajemy im szansę zachować uczciwość.

Pani Leidner zdjęła z półki tackę, na której stał przepiękny pucharek, także ze złota, zdobiony głowami baranów.

I znów nie mogłam powstrzymać okrzyku zachwytu.

— Piękne, prawda? Mąż to znalazł w grobie księcia. Odkryliśmy liczne królewskie groby, ale w większości były splądrowane. Ta czarka to nasze najlepsze znalezisko. Jeden z najpiękniejszych przedmiotów tego typu dotychczas odkrytych. Wczesnoakadyjski. Unikatowy.

Marszcząc brwi pani Leidner podniosła nagle czarzkę bliżej oczu i poskrobała złoty skraj paznokciem.

— Bardzo dziwne! — powiedziała. — Kropla wosku. Był tu ktoś ze świecą. — Oderwała woskowy sopelek i odstawiła czarzkę.

Następnie pani Leidner pokazała mi cudaczne figuynki z terakoty, przeważnie bardzo nieprzyzwoite. Muszę przyznać, że ludzie tamtych czasów mieli bardzo sprośne myśli.

Gdy wróciłyśmy na taras, zastałyśmy tam panią Mercado malującą paznokcie u rąk. Daleko przed siebie wystawiła dłoń, aby podziwiać efekt. Pomyślałam sobie, że chyba nie ma okropniejszego koloru, niż ten pomarańczowy, jakiego używała.

Z magazynku pani Leidner przyniosła bardzo delikatny spodek w kilku częściach i zabrała się do klejenia. Przez parę minut przyglądałam się, a potem spytałam, czy mogłabym pomóc.

— Naturalnie! Jest ich znacznie więcej. — Przyniosła sporo kawałków i zaczęłyśmy obie sklejać. Bardzo szybko się zorientowałam, jak to trzeba robić i pani Leidner mnie pochwaliła.

— Najwidoczniej pielęgniarce mają zręczne palce — powiedziała.

— Wszyscy są dziś strasznie zapracowani — odezwała się pani Mercado. — Okropnie się czuję nic nie robiąc. Z natury jestem leniwa.

— Dlaczego nie miałabyś być, moja droga, skoro ci to sprawia przyjemność — odparła pani Leidner zupełnie obojętnym tonem.

Lunch był o dwunastej w południe. Po posiłku doktor Leidner i pan Mercado czyścili gliniane naczynia polewając je roztworem kwasu solnego. Jedno z naczyń odzyskało nagle prześlizyczny śliwkowy kolor, a na drugim pojawiły się bycze rogi. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zasnęta glina, której nie usunęłoby żadne szorowanie i zmywanie, nagle spieniła się i spłynęła.

Pan Carey i pan Coleman powrócili na wykopaliska, a pan Reiter poszedł do pracowni fotograficznej.

— Co zamierzasz robić, Luizo? — doktor Leidner spytał żonę. — Może sobie trochę odpoczniesz?

Domyśliłam się, że pani Leidner ma zwyczaj kładzenia się po południu.

— Może z godzinę — odparła. — A potem wybiorę się na krótki spacer.

— Świetnie. Pójdziecie razem z siostrą, prawda?

— Oczywiście! — odezwałam się.

— Nie, nie! — zaprotestowała pani Leidner. — Lubię chodzić sama. Siostra nie musi być cały czas przy mnie.

— Miałabym ochotę na spacer — powiedziałam.

— Nie, nie! Wolę iść sama. — Pani Leidner była bardzo stanowcza, więcej: apodyktyczna. — Czasami muszę być sama. Jest mi to potrzebne.

Nie nalegałam dłużej. Ale kiedy szłam do pokoju na drzemkę, pomyślałam, że to bardzo dziwne: pani Leidner czegoś się boi, a jednocześnie nie czuje zagrożenia idąc na spacer bez opieki.

Kiedy wyszłam z pokoju o wpół do czwartej dziedziniec był pusty. Tylko jakiś chłopiec przemywał gliniane naczynia w miedzianej wanience, a obok pan Emmott sortował i układał skorupy. Idąc w ich kierunku zobaczyłam, że pani Leidner wchodzi na podwórzec z bramy. Najwidoczniej wracała ze spaceru. Jeszcze jej nie widziałam takiej ożywionej — roziskrzona oczy, mina zadowolona, prawie wesoła.

Z pracowni wyszedł doktor Leidner i podszedł do żony. Pokazał jej spore naczynie zdobione rogami byka.

— Na poziomach prehistorycznych zaczęliśmy znajdować wiele ciekawych okazów — powiedział. — Dotychczas mamy świetną passę. A odkrycie tego grobu już na samym początku było szczęśliwym trafem. Jediną osobą, która może narzekać, jest ojciec Lavigny. Tabliczek jak na lekarstwo.

— Ale z tymi paroma, które znaleźliśmy, jakoś się zbyt nie posunął — odparła sucho pani Leidner. Być może jest doskonałym epigrafistą, ale leń z niego straszny. Przesypia wszystkie popołudnia.

— Tak, bardzo nam brakuje Byrda — zgodził się doktor Leidner. — Lavigny zadziwia mnie... odbiega od utartych wzorów...

Nie jestem na tyle znawcą, by ocenić jego przekłady. Chociaż parę z nich bardzo mnie zaskoczyło. Wprost trudno uwierzyć w znaczenie tekstu na cegle, ale przecież Lavigny wie, co mówi.

Po popołudniowej herbacie pani Leidner spytała, czy miałabym ochotę przejść się nad rzekę. Prawdopodobnie obawiała się, że jej wcześniejsza odmowa troszkę mnie uraziła.

Nie chciałam wyjść na osobę obrażalską, więc bez wahania się zgodziłam.

Zbliżał się cudowny wieczór. Ścieżka nad rzekę wiodła przez obsiane jęczmieniem pola, a następnie wśród kwitnących drzew owocowych. Wreszcie dotarliśmy nad brzeg rzeki Tygrys. Po naszej lewej ręce był Tell, skąd dobiegało monotonne zawodzenie robotników. Nieco po prawej znajdowało się skrzeczące koło wodne. Z początku od tego skrzeko-pisku bolały mnie uszy, ale — rzecz ciekawa — wkrótce polubiłam ów odgłos, który w przedziwny sposób uspokajał. Trochę dalej za kołem wodnym zaczynała się wioska, z której w większości pochodzili robotnicy pracujący na terenie wykopaliska.

— Prawda, że jest tu bardzo pięknie? — spytała pani Leidner.

— I kojąco — dodałam. — Mam dziwne uczucie, że znajduję się z dala od wszystkiego.

— Z dala od wszystkiego! — powtórzyła pani Leidner. — Tak. Tutaj człowiek ma nadzieję, że jest bezpieczny.

Spojrzałam na nią bacznie, ale doszłam zaraz do wniosku, że powiedziała to raczej do siebie niż do mnie, a może nawet nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedziała tę myśl głośno.

Ruszyliśmy w drogę powrotną.

Już w pobliżu domu, gdzie ścieżka skręcała ku zabudowaniom, pani Leidner ścisnęła mnie za ramię tak gwałtownie, że niemal krzyknęłam.

— Kto to jest, siostrze? Co on robi?

W pobliżu muru od strony południowej stał mężczyzna w europejskim ubraniu. Wspiął się na palcach i próbował zajrzeć przez któreś okno.

Gdy tak stałyśmy, przyglądając mu się, obrócił głowę i widząc nas bez chwili wahania ruszył ścieżką w naszym kierunku. Poczułam wpijające się w ramię palce pani Leidner.

— Sostro! — wyszeptała. — Sostro...!

— Wszystko w porządku, droga pani, wszystko w porządku — odparłam pokrzepiająco.

Mężczyzna zbliżył się i obojętnie nas minął. Był to Irakijczyk. Gdy tylko pani Leidner to zobaczyła, natychmiast rozluźniła uścisk.

— To tylko tubylec — powiedziała.

Poszłyśmy dalej. Przechodząc w pobliżu południowej ściany stwierdziłam, że okna są nie tylko okratowane, ale znajdują się zbyt wysoko, by nawet stojąc na palcach można było cokolwiek zobaczyć, ponieważ dom stał na pagórku i teren, którym wiodła ścieżka, znajdował się o wiele poniżej poziomu podwórza.

— Jakiś ciekawski — powiedziałam. Pani Leidner skinęła głową.

— Chyba tak. Chociaż przez chwilę myślałam, że to... Zamilkła, a ja pomyślałam sobie: „Że kto, że co? Chciałabym to bardzo wiedzieć. O czymże pani Leidner myślała? A raczej o kim?”

Teraz już byłam pewna, że pani Leidner bała się żywego człowieka z krwi i kości, a nie żadnych duchów.

NOCNA TRWOGA

Właściwie nie wiem, co powinnam jeszcze zapisać z wydarzeń pierwszego tygodnia pobytu w Tell Jarimdza.

Wspominając ten czas z perspektywy dnia dzisiejszego i tego wszystkiego co zaszło, dostrzegam pewne znamienne wskazówki i na pozór drobne fakty, które wówczas lekceważyłam.

Aby jednak wszystko opowiedzieć, jak należy, powinnam zachować ten punkt widzenia, jaki miałam wówczas. Byłam zaintrygowana, niespokojna i coraz bardziej przekonana, że coś złego wisi w powietrzu.

Co do jednego nie miałam wątpliwości: istniało napięcie i pewne skrępowanie, realne i niewydumane. Nawet Bill Coleman to zauważył.

— Zalażło mi to już za skórę — powiedział. — Czy oni zawsze są tacy ponurzy?

Rozmawiał wtedy z drugim asystentem, panem Emmottem, którego wieczne milczenie wcale nie wynikało z wrogości do ludzi. Przeciwnie, emanowały z niego pewność i spokój, co łatwo wyczuwało się w tej atmosferze, w której człowiek nigdy nie był pewien, co kto czuje i co myśli.

— Nie — odparł pan Emmott na pytanie pana Colemana. — W ubiegłym roku wszyscy byli zupełnie inni.

Nie rozbudował jednak tej odpowiedzi i w ogóle nie powiedział nic więcej.

— Nie mogę zrozumieć, o co tutaj chodzi — powiedział pełnym pretensji głosem pan Coleman.

Emmott wzruszył tylko ramionami.

Miałam dość ciekawą rozmowę z panną Johnson. Bardzo polubiłam tę praktyczną i inteligentną kobietę. Zauważyłam też, że ona po prostu uwielbia doktora Leidnera.

Opowiedziała mi jego historię począwszy od młodych lat. Znała, na pamięć miejsca, gdzie kiedykolwiek pracował. Znała dokładnie rezultaty każdej z jego wypraw. Byłabym gotowa przysiąc, że zna na pamięć każdy z jego wykładów. Powiedziała mi wręcz, że jest on najwspanialszym archeologiem wszechczasów.

— I jest — taki bezpośredni. Bezpretensjonalny. Nie zna pojęcia zarozumiałość. Tylko wielki człowiek, naprawdę wielki, potrafi tak się zachowywać.

— Święta prawda — odparłam — Wielcy ludzie nie muszą się puszyć.

— I jaki on potrafi być pogodny! Mogłabym siostrze opowiadać, a opowiadać, jak myśmy się bawili... Doktor Leidner, Richard Carey i ja... podczas pierwszych lat naszego tu pobytu. Jaki to był zgrany, szczęśliwy zespół ludzi. Richard Carey jeszcze wcześniej pracował z doktorem Leidnerem w Palestynie. Przyjaźnią się od ponad dziesięciu lat. Ja go znam od siedmiu.

— Cóż to za przystojny mężczyzna z tego pana Careya — zauważyłam.

— Taak... chyba tak — odparła dość sucho.

— Tylko troszkę za spokojny, nie uważa pani?

— Przedtem wcale taki nie był — odparła szybko panna Johnson. — To dopiero od... — urwała nagle.

— Od kiedy? — nalegałam.

— O, mój Boże! — panna Johnson znacząco wzruszyła ramionami. — Wiele zaszło zmian.

Nie odezwałam się, mając głęboką nadzieję, że panna Johnson powie coś jeszcze. Tak się też stało. Zachichotała, jakby to, co miała dodać, nie było aż takie ważne.

— Chyba jestem starą konserwatywną babą — powiedziała. — Tak czasami sobie myślę, że jeśli żona archeologa nie interesuje się jego pracą, to powinna zostawać w domu, kiedy

mąż jedzie na wykopaliska. Tak podpowiada rozsądek. W przeciwnym wypadku można spodziewać się tarć...

— Pani Mercado? — podesunęłam.

— Ona? — Panna Johnson zbyła dość lekceważąco moją sugestię. — Myślałam w tym wypadku o pani Leidner. Jest bardzo uroczą kobietą i łatwo można zrozumieć, dlaczego doktor Leidner „polecał na nią”, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Niemniej, moim zdaniem, ona tu nie pasuje. Jakby... Wytrąca wszystkich z rytmu.

A więc panna Johnson była tego samego zdania, co pani Kelsey, że to pani Leidner winna jest ogólnemu napięciu. No dobrze, ale skąd w takim razie biorą się lęki pani Leidner?

— Wytrąca z rytmu! — dodała panna Johnson. — Wiem, że przemawia przeze mnie wierna, ale i zazdrosna pomocnica. Jestem mu bardzo oddana i przykro mi się robi, gdy widzę jego znużenie i niepokój. Przecież powinien móc się skoncentrować na pracy. A nie myśleć ciągle o głupich przywidzeniach swojej żony. Jeśli ona tak źle się czuje wśród obcych, to powinna była zostać w Ameryce. Nie cierpię ludzi, którzy z własnej woli gdzieś wyjeżdżają, a potem tylko narzekają, że jest im źle.

Po chwili, jakby zaniepokojona, że powiedziała więcej, niż powinna była powiedzieć, dodała:

— Ja ją oczywiście podziwiam. To przemiła kobieta, która potrafi oczarować, jeśli tylko chce.

Na tym temat został wyczerpany.

Pomyślałam sobie, że zawsze tak bywa, ilekroć kilka kobiet zmuszonych jest przebywać razem. Powstają spięcia i budzą się zazdrości. Było dla mnie jasne, że panna Johnson nie lubi żony swego szefa (co należy uznać za normalny objaw), a pani Mercado wręcz jej nienawidzi.

Jeszcze jedna osoba nie darzyła sympatią pani Leidner — Sheila Reilly. Parokrotnie odwiedzała teren wykopalisk. Raz przyjechała samochodem i dwa razy konno z młodym człowiekiem. To znaczy, przyjechali na dwóch koniach. Coś mi podpowiadało, że wpadł jej w oko młody milczący Amerykanin — Emmott. Jeśli pracował w terenie, to spędzała z nim sporo czasu na rozmowie. Miałam wrażenie, że i on jest nią zachwycony.

Któregoś dnia pani Leidner bardzo niefortunnie zrobiła na ten temat uwagę podczas lunchu.

— Ta młoda Reilly nadal ugania się za Dawidem — zauważyła ze śmiechem. — Biedny chłopcze, ona cię nawet ściga na wykopalisku. Jakież te dziewczęta są niemądre!

Pan Emmott nic nie powiedział, ale zauważyłam, że poczerwieniał pod opalenizną. Podniósł wzrok i spoglądał bardzo dziwnie na panią Leidner — prosto w oczy, poważnie i jakby z wyzwaniem.

Pani Leidner słabo się uśmiechnęła i odwróciła wzrok.

Ojciec Lavigny coś zamruczał, ale kiedy go spytałam: słucham? potrząsnął głową i nie powtórzył swej uwagi.

Tego samego dnia po południu zwrócił się do mnie pan Coleman:

— Prawdę mówiąc na początku to wcale nie przepadałem za panią L. Ilekroć otworzyłem usta, skakała mi do gardła. Ale teraz znacznie lepiej ją rozumiem. To wspaniała kobieta. Nie spotkałem drugiej takiej. Człowiek łapie się na tym, że ni stąd, ni zowąd zaczyna jej opowiadać o sobie i swoich przygodach. Ja wiem, że jest cięta na Sheilę Reilly, ale Sheila też nie takie niewiniątko. Parokrotnie zachowała się bardzo niegrzecznie wobec pani L. Właśnie mam to za złe Sheili. Jest wprost niewychowana. A język ma diabło ostry.

Byłam skłonna się z tym zgodzić. Doktor Reilly rozpuścił córeczkę jak dziadowski bicz.

— Oczywiście Sheilę usprawiedliwia fakt, że będąc jedyną młodą kobietą w całej paczce, uważa... — zaczął wyjaśniać pan

Coleman. — No, może nie uważa, ale trochę to jej uderzyło do głowy. Właściwie to Sheili też nie usprawiedliwia. Niby z jakiej racji odnosi się do pani Leidner jak do jakiejś starej

baby. Pani L. kociakiem nie jest, zgoda, ale to nadal piękna kobieta. Zupełnie jak rusalka, co zjawia się nagle cała świetlista w oparach mgły nad bagnami, a potem znika wraz z tym, którego zwabiła. Nie wyobrażam sobie Sheili tak kogoś wabiącej. Ona tylko zalicza facetów. Jednego po drugim.

Przypominam sobie jeszcze tylko dwa incydenty, które mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Pierwszy wydarzył się wtedy, kiedy poszłam do pracowni, żeby wziąć trochę acetonu i zmyć sobie klej z palców po reperowaniu garnków. W końcu pracowni siedział pan Mercado i ponieważ trzymał głowę na złożonych ramionach, pomyślałam, że śpi. Wzięłam butelkę z acetonem i wyszłam.

Ku memu ogromnemu zdumieniu wieczorem pani Mercado po prostu na mnie napadła:

— Czy siostra zabierała aceton z pracowni?

— Tak — odparłam. — Wzięłam.

— Siostra dobrze wie, że w magazynie wykopalisk jest mała buteleczka acetonu?

— Naprawdę? Nie wiedziałam.

— A ja myślę, że siostra dobrze wiedziała! — pani Mercado była wściekła. — Siostra poszła na przeszpiegi. Dobrze ja znam szpitalne pielęgniarki!

Patrzyłam na nią zdumiona.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pani mówi! — odparłam z godnością. — Nie mam absolutnie zamiaru nikogo szpiegować!

— Czyżby! Nie ma siostra zamiaru! To ja niby nie wiem, po co siostra tu przyjechała?

Przez dłuższą chwilę myślałam, że pani Mercado jest po prostu pijana. Odeszłam nie mówiąc nic więcej. Ale pomyślałam sobie, że to wszystko było bardzo dziwne.

Drugi incydent był właściwie bez znaczenia. Kawałkiem chleba chciałam znieść kundlowate szczenię, ale było strasznie nieufne, jak wszystkie arabskie psy, i myślało, że mam wobec niego złe zamiary. Szczenię zawróciło, a ja poszłam za nim — przez bramę i za róg frontowego budynku. Nim się spostrzegłam, wpadłam niemal na ojca Lavigny, który stał z jakimś mężczyzną. Po chwili zdałam sobie sprawę, że był to ten sam mężczyzna, którego zauważyliśmy wracając z panią Leidner ze spaceru. Ten, który chciał zajrzeć przez okno.

Przeprosiłam ojca Lavigny. Uśmiechnął się, pożegnał krótko mężczyznę i wrócił ze mną na dziedziniec.

— Wie siostra, co? — powiedział. — Strasznie mi wstyd. Jestem niby uczony w językach Wschodu, a nie mogę się porozumieć z żadnym z robotników na wykopalisku. Prawda, że to upokarzające? Wypróbowałam moją arabszczyznę na tym człowieku; tutejszy, ale lepiej wykształcony. I też nie powiodło mi się o wiele lepiej. Leidner mówi, że mój arabski jest zbyt literacki.

I to wszystko. Przemknęło mi tylko przez głowę, że to dość dziwne, iż ten sam człowiek kręci się od dłuższego czasu koło naszego domu.

Tej nocy najedliśmy się strachu.

Musiała już być druga nad ranem. Śpię bardzo lekko i czujnie, tak jak powinna spać pielęgniarka. Kiedy uchyliły się drzwi mego pokoju, natychmiast obudziłam się i usiadłam na łóżku.

— Siostro! Siostro! — usłyszałam stłumiony i przestraszony głos pani Leidner.

Potarłam zapalną i zapaliłam świecę.

Ubrana w niebieski szlafrok pani Leidner stała w drzwiach, zdrewniała z przerażenia.

— Ktoś jest...! Ktoś się kręci w pokoju za ścianą... Słyszałam... Skrobanie...

Wyskoczyłam z łóżka i podeszłam do pani Leidner mówiąc:

— Już wszystko w porządku. Jestem przy pani. Niech się pani nie boi!

— Trzeba zawołać Eryka! — wyszeptała.

Skinęłam głową, wybiegłam z pokoju i zastukałam do drzwi doktora. Zjawił się po minucie. Pani Leidner siedziała na moim łóżku, oddychała urywanie.

— Ja go słyszałam — powiedziała. — Skrobał cicho w ścianę.

— Ktoś w magazynie wykopalisk? — wykrzyknął doktor Leidner i szybko wybiegł. Uderzyło mnie, jak każde z nich odmiennie reagowało. Pani Leidner bała się o siebie, doktor Leidner natychmiast pomyślał o swych cennych skarbach.

— Magazyn wykopalisk! — wyszeptała pani Leidner. Jakże głupio z mojej strony, że od razu o tym nie pomyślałam.

Wstała, otuliła się szlafrokiem i skinęła na mnie, bym też poszła. Wszelkie ślady przerażenia zniknęły.

W magazynie znaleźliśmy doktora Leidnera w towarzystwie ojca Lavigny, który też usłyszał jakieś szmery i wstał, żeby sprawdzić co się dzieje. Wydawało mu się nawet, że w magazynie błyska światelko. Chwilę go zatrzymało wkładanie nocnych pantofli i szukanie latarki. Kiedy nadszedł, nikogo już w magazynie nie zastał. Co więcej, drzwi były zamknięte, tak jak powinny na noc.

Ojciec Lavigny zaczął sprawdzać, czy coś nie zginęło. Przyłączył się do niego doktor Leidner.

I niczego więcej już się nie dowiedzieliśmy. Brama z dziedzińca była też zamknięta. Strażnik przysięgał, że nikt nie zauważony nie mógł koło niego przejść, ale ponieważ pewno spał jak zabity, trudno było w pełni uwierzyć jego słowom.

Było rzeczą zupełnie możliwą, że panią Leidner zaniepokoił ojciec Lavigny — zdejmował z półek pudła, by stwierdzić, czy wszystko jest.

Z drugiej strony ojciec Lavigny był pewien, że (a) słyszał jakieś kroki za swoim oknem oraz (b) widział błysk światła, może latarki, w magazynie.

Nikt inny nic nie słyszał i nic nie widział.

Ten incydent jest o tyle istotny, że pośrednio sprowokował następnego dnia panią Leidner do zwierzeń.

OPOWIEŚĆ PANI LEIDNER

Ważnie skończyliśmy lunch. Pani Leidner jak zwykle poszła do swego pokoju odpocząć. Ułożyłam ją wygodnie na łóżku okładając poduszkami i podałam książkę.

— Proszę zostać — powstrzymała mnie w chwili, gdy miałam wyjść. — Coś chcę siostrze powiedzieć.

Odwrociłam się.

— Proszę zamknąć drzwi. Posłuchałam.

Wstała z łóżka i zaczęła się przechadzać po pokoju. Wiedziałam, że się nad czymś zastanawia i w milczeniu czekałam aż podejmie decyzję. Była wyraźnie niezdecydowana.

Wreszcie nabrała odwagi. Obróciła się do mnie.

— Proszę usiąść — powiedziała.

Nic nie mówiąc usiadłam przy stoliku.

— Pewno się siostra zastanawia, co to wszystko ma znaczyć — zaczęła dość nerwowo.

Skinęłam głową.

— Postanowiłam wszystko siostrze powiedzieć. Muszę to komuś wyznać, bo inaczej oszaleję.

— To chyba słuszna decyzja. Znacznie łatwiej postanowić, co i jak robić, kiedy sprawę się przedtem uporządkuje.

Przerwała spacer po pokoju i stanęła naprzeciwko mnie.

— Czy siostra wie, czego się boję?

— Jakiegoś człowieka.

— Tak, ale ja nie spytałam kogo, tylko czego. Czekałam na dalszy ciąg.

— Boję się, że ktoś mnie zamorduje — powiedziała.

Sprawa stała się jasna. Nie chciałam nic po sobie dać poznać, pani Leidner bowiem i tak już była bliska hysterii.

— Boże drogi! Więc o to chodzi! — powiedziałam tylko.

I wtedy pani Leidner zaczęła się śmiać. Śmiała się i śmiała, aż łzy zaczęły spływać jej po policzkach.

— Sposób, w jaki to siostra powiedziała! — wykrztusiła. — Sposób, w jaki to siostra...

— Spokojnie, spokojnie — odparłam. — Tak nie wolno. — Staralam się mówić surowo. Pchnęłam ją lekko na krzesło, podeszłam do umywalki, wzięłam gąbkę, zmoczyłam ją w zimnej wodzie i obmyłam pani Leidner czoło i nadgarstki.

— Dość tych głupstw! Proszę mi wszystko opowiedzieć od początku.

To jej dobrze zrobiło. Usiadła prosto i zaczęła mówić zupełnie spokojnym głosem:

— Siostra jest prawdziwym skarbem. Poczulałam się jak sześciolatka. Zaraz siostrze wszystko opowiem.

— Bardzo dobrze — odparłam. — Spokojnie, nie ma żadnego pośpiechu.

Zacząła mówić wolno i z namysłem:

— Miałam dwadzieścia lat, kiedy wyszłam za męża. Za młodego człowieka, który pracował w ministerstwie. Było to w 1918 roku.

— Wiem — odrzekłam. Pani Mercado mi opowiedziała. Zginął na wojnie.

Pani Leidner przecząco pokręciła głową.

— Ona tak myśli. Tak wszyscy myślą. Prawda jest nieco inna. Byłam niesłuchaną patriotką, pełną zapału. Po paru miesiącach małżeństwa odkryłam, zupełnie przypadkowo, że mój mąż jest niemieckim szpiegiem. Dowiedziałam się, że informacje przez niego dostarczone spowodowały zatopienie amerykańskiego transportu wojskowego na morzu. Zginęły setki, setki ludzi. Nie wiem, co zrobiłby kto inny... Powiem siostrze, co ja zrobiłam. Poszłam prosto do mojego ojca, który pracował w Departamencie Wojny i wszystko mu

opowiedziałam. Fryderyk zginął w czasie wojny. Ale zginął w Ameryce. Rozstrzelany jako szpieg.

— Boże drogi! Boże drogi! — wykrzyknęłam. — To straszne!

— Tak, to rzeczywiście straszne — powtórzyła. — On był dobry, łagodny i serdeczny... A przez cały ten czas... Ale się nie zawahałam. Może postąpiłam źle.

— Trudno powiedzieć — odparłam. — Pojęcia nie mam, co ja bym zrobiła na pani miejscu.

— To, co siostrze opowiedziałam, nie było wiadome nikomu poza kilkoma pracownikami Departamentu Wojny. Oficjalnie mój mąż pojechał na front i tam zginął. Jako „wojennej wdowie” okazywano mi wiele sympatii i serdeczności.

Pani Leidner mówiła to wszystko z wielką goryczą. Kiwałam głową ze zrozumieniem.

— Wielu mężczyzn prosiło mnie o rękę, ale wszystkim odmawiałam. Przeżyłam zbyt wielki szok. Wydawało mi się, że nie potrafię już nigdy więcej zaufać żadnemu.

— Świetnie panią rozumiem.

— Ale któregoś dnia zdałam sobie sprawę, że żywię poważne uczucia do pewnego młodego człowieka. I zdarzyła się wówczas nieprawdopodobna rzecz. Otrzymałam list. Od Fryderyka! Napisał, że mnie zabije, jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż.

— Od Fryderyka? Od tego rozstrzelanego męża?

— Tak. Z początku myślałam, że zwariowałam, albo że to jakiś straszny żart... Wreszcie jednak poszłam do ojca. Powiedział mi wtedy prawdę. Mój mąż nie został rozstrzelany. Uciekł. Ale ta ucieczka — wiele mu nie pomogła. W kilka tygodni potem zginął w katastrofie kolejowej. Znalezione jego ciało wraz z innymi ofiarami. Mój ojciec trzymał przede mną w tajemnicy ucieczkę Fryderyka, a potem, kiedy po wypadku zidentyfikowano ciało, nie widział potrzeby o tym w ogóle wspominać. Jednakże list, który otrzymałam, zmienił całkowicie stan rzeczy. Czy to możliwe, aby mój mąż nadal żył? Ojciec bardzo skrupulatnie zbadał całą sprawę. A następnie powiedział, że pogrzebane ciało było ponad wszelką wątpliwość ciałem Fryderyka. Jednakże nie można było mieć stuprocentowej pewności ze względu na obrażenia. Niemniej ojciec zapewniał mnie solennie, bez najmniejszych wątpliwości: Fryderyk nie żyje, a list jest okrutnym żartem.

— I zdarzyło się to kilka razy — kontynuowała pani Leidner po chwili milczenia. — Ilekroć nawiązałam z kimś romans, otrzymywałam list z groźbami.

— Pisany ręką pani męża?

— Trudno powiedzieć — odparła powoli. — Nie zachował się żaden jego list. Musiałam polegać jedynie na pamięci.

— I w tych listach nie było żadnych aluzji lub słów, które by pani pomogły nabrać pewności?

— Nic takiego nie było. Mieliśmy oczywiście pewne zwroty znane tylko nam. Gdyby któregoś użył, to bym wiedziała...

— No tak — odparłam w zamyśleniu. — Bardzo dziwna sprawa. Ale wszystko wskazuje, że listy nie są od niego. Czy to mógłby być ktoś inny?

— To możliwe. Był jeszcze młodszy brat Fryderyka. Chłopiec miał dziesięć, może dwanaście lat, gdy braliśmy ślub. Uwielbiał mojego męża, a Fryderyk też bardzo go kochał. Nie mam pojęcia, co się z chłopcem stało. Na imię miał Wiliam. Teoretycznie jest możliwe, że fanatycznie wielbiąc brata dorastał w nienawiści do mnie, obarczając winą za jego śmierć. Wiliam był zawsze o mnie zazdrosny i mógł wymyślić historię z listami, żeby mnie ukarać.

— Bardzo możliwe — odparłam. — Zdziwiający jak dzieci potrafią zapamiętać przeżyty szok.

— Wiem. Chłopiec mógł z zemsty uczynić cel życia.

— Proszę mówić dalej — zachęciłam.

— Wiele już nie pozostało do opowiedzenia. Eryka poznałam przed trzema laty. Nie miałam w ogóle zamiaru wychodzić za męża. Eryk wpłynął na zmianę tego postanowienia. Do samego dnia ślubu czekałam na kolejny list z pogrozkami. Nie nadszedł. Pomyślałam sobie, że ich autor albo już nie żyje, albo zmęczył się tym okrutnym procederem. W dwa dni po ślubie otrzymałam ten oto anonim...

Sięgnęła po małą teczkę leżącą na stole, otworzyła ją i wyjęła list. Podała mi go.

Litery były już nieco wyblakłe. Powiedziałabym, że charakter pisma był raczej kobiecy, pochyły.

Nie posłuchałaś. Już mi nie umkniesz. Byłaś żoną Fryderyka Bosnera. Teraz musisz umrzeć.

— Złękłam się — ciągnęła pani Leidner. — Chociaż nie tak bardzo, jak przy poprzednich listach. Mając obok siebie Eryka czułam się bezpieczniejsza. Po miesiącu otrzymałam następny list.

Nie zapomniałem. Czynię przygotowania. Musisz umrzeć. Czemu byłaś nieposłuszna?

— Czy pani mąż o tym wie? — spytałam.

— Wie, że otrzymuję groźby — zaczęła mówić wolno. Dwa pierwsze listy mu pokazałam. Był skłonny sądzić, że to jedynie głupi żart. Albo też, że ktoś próbuje szantażu. Niby że pierwszy mąż żyje, a ja wychodzę za męża.

Przez chwilę milczała.

— W parę dni po otrzymaniu drugiego listu — podjęła wątek — niemalże zatruliśmy się gazem. Gdy spaliliśmy, ktoś dostał się do mieszkania i odkręcił gaz. Na szczęście w porę się obudziłam. Ale to mnie zupełnie wytrąciło z równowagi. Wtedy dopiero opowiedziałam Erykowi wszystko. Że od lat jestem prześladowana, że z pewnością ten szaleniec naprawdę chce mnie zabić.

I chyba po raz pierwszy pomyślałam wówczas, że to naprawdę jest Fryderyk. Za jego dobrocią zawsze wyczuwałam coś bezlitosnego.

— Eryk nadal przejmował się tym mniej ode mnie — ciągnęła pani Leidner. — Zaproponował, żeby z całą sprawą iść na policję. Nie chciałam o tym słyszeć. Ustaliliśmy wreszcie, że przyjadę z nim tutaj, a na lato wrócę do Ameryki, ale pozostanę w Paryżu lub Londynie. To wydawało się najrozsądniejsze. Tak też zrobiliśmy i wszystko układało się świetnie. Byłam pewna, że wreszcie będę już miała spokój. Pół świata dzieliło mnie przecież od mego prześladowcy. — Umilkła na chwilę, by następnie obwieścić:

— I niespodziewanie ponad trzy tygodnie temu nadszedł kolejny list. Na kopercie widniał iracki znaczek.

Podała mi zapisaną kartkę.

Myślałaś, że uda ci się umknąć. Myliłaś się. Nie możesz żyć, skoro mnie zdradziłaś. Wielokrotnie cię ostrzegałem. Śmierć wkrótce nadejdzie.

— A po tygodniu jeszcze to! Znalazłam tu, na stoliku. Nawet nie musiałam odbierać z poczty!

Podała mi kartkę z nabazgranym jednym zdaniem:

Już tu jestem.

Pani Leidner wpatrywała się intensywnie w moją twarz.

— Widzi siostra? Rozumie siostra? On mnie zabije. Może to Fryderyk, może mały Wiliam. Jeden albo drugi mnie zabije! — mówiła coraz bardziej rozhisteryzowanym głosem.

— Spokojnie, spokojnie, proszę! — powiedziała ostrzegawczo, chwytając ją za nadgarstek. — Proszę nie poddawać się panice. Pilnujemy panią. Ma pani tutaj *sal volatilis*²? Skinęła głową wskazując na umywalkę. Zaaplikowałam jej odpowiednią dawkę.

— No, już lepiej, prawda? — spytałam, gdy kolory wróciły jej na twarz.

— Tak, czuję się nieźle. Ale rozumie teraz siostra, dlaczego jestem w takim stanie? Kiedy zobaczyłam tego człowieka pod oknem — pomyślałam sobie: już się zjawił... Z początku podejrzewałam nawet siostrę myśląc, że to mężczyzna w przebraniu...

— Cóż za pomysł!

— Wiem, wiem, że to brzmi absurdalnie. Ale pomyślałam też, że siostra może jest jego współniczką, nie żadną pielęgniarką...

— To przecież nonsens!

— Być może, ale zaczęłam już tracić rozsądek.

— Czy rozpoznałaby pani własnego męża? — spytałam uderzona nagłą myślą.

— Nie jestem tego pewna — odparła mówiąc powoli. — Minęło ponad piętnaście lat. Mogłabym go nie poznać.

Zadygotała.

— Którejś nocy zobaczyłam jego twarz! Ale to była maska śmierci. Usłyszałam pukanie w szybę. Puk, puk, puk. Spojrzałam i ujrzałam za oknem trupią, wykrzywioną, wyszczerzoną maskę. Zaczęłam bardzo głośno krzyżeć... Powiedziano mi, że nikogo tam nie było...

Przypomniałam sobie opowieść pani Mercado.

— Czy nie mogło się to pani przyśnić? — spytałam.

— Z całą pewnością nie!

A ja wcale nie byłam tego taka pewna. W opisanych okolicznościach było to bardzo prawdopodobne. Napięcie, zdenerwowanie. Ja jednak nigdy nie zaprzeczam temu, co mówi pacjent. Uspokoiliam panią Leidner, jak tylko mogłam najlepiej, a ponadto zwróciłam jej uwagę, że każdy obcy pojawiający się na terenie ekspedycji byłby natychmiast przez kogoś zauważony.

Myślę, że udało mi się nieco ją pocieszyć. Poszłam poszukać doktora Leidnera i powtórzyłam moją rozmowę z panią Leidner.

— Bardzo dobrze, że ona tę całą historię siostrze opowiedziała — skomentował. — Okropnie mnie to wszystko martwi. Jestem pewien, że te twarze i pukania to wytwory wyobraźni. Nie miałem pojęcia, co trzeba robić w podobnej sytuacji. Co siostra o tym myśli?

Nie bardzo zrozumiałam o co mu właściwie chodzi, ale odpowiedziałam bez wahania:

— Jest prawdopodobne, że te wszystkie listy są po prostu okrutnym żartem.

— To rzeczywiście prawdopodobne — zgodził się. — Ale co powinniśmy w takiej sytuacji zrobić? Listy doprowadzają ją do szaleństwa. Nie mam pojęcia, co myśleć i co robić.

Ja również tego nie wiedziałam. Pomyślałam sobie tylko, że być może w całą sprawę jest zamieszana jakaś kobieta. W tych pogroźkach było coś, co wskazywało na kobietę. Przemknęła mi przez myśl pani Mercado.

Przypuśćmy, że pani Mercado dowiedziała się przypadkowo o okolicznościach towarzyszących pierwszemu małżeństwu pani Leidner. I przypuśćmy, że daje ujście swojej nienawiści doprowadzając do szaleństwa drugą kobietę?

Postanowiłam jednak nie dzielić się moimi przypuszczeniami z doktorem Leidnerem. Nie wiadomo, jakby zareagował.

— No cóż — powiedziała z udaną wesołością. — Musimy mieć nadzieję, że wszystko się ułoży. Pani Leidner już czuje się lepiej, kiedy wyrzuciła z siebie całą tę historię.

² *sal volatilis* — [łac.] sole trzeźwiące

Podzielenie się z kimś problemami zawsze pomaga. Tłamszenie wszystkiego w sobie pogarsza tylko stan nerwów.

— Jestem naprawdę niesłychanie szczęśliwy, że Luiza zwierzyła się siostrze — powtórzył raz jeszcze. — To bardzo dobry znak. Pokazuje, że ona siostrę lubi i że jej ufa. Już zupełnie nie wiedziałem, co mam robić.

Na końcu języka miałam pytanie, czy nie przyszło mu do głowy dyskretnie dać znać tutejszej policji, ale go nie zadałam i później byłam z tego bardzo zadowolona.

Coś się bowiem wydarzyło. Następnego dnia pan Coleman udawał się do Hassanieh po pieniądze na wypłaty dla robotników. Zabierał również na pocztę do wysłania nasze listy. Wrzucało się je do drewnianej skrzynki stojącej na parapecie okna w jadalni. W przeddzień, późnym wieczorem, pan Coleman wyjął ze skrzynki wszystkie listy i układał je w małe paczki, zakładając gumowe opaski.

Nagle wydał krótki okrzyk.

— Co się stało? — spytałam.

Z uśmiechem na twarzy podał mi list.

— Nasza piękna Luiza najwyraźniej dostaje fisia. Zaadresowała do kogoś list: 42-ga ulica, Paryż, Francja. Pomieszał się jej Nowy Jork z Paryżem. Czy siostra byłaby łaskawa pójść do niej i spytać, co to ma być? Dopiero co poszła do swojego pokoju.

Poszłam do pani Leidner, która natychmiast poprawiła adres.

Po raz pierwszy widziałam jej pismo. Przemknęło mi przez głowę, że już je gdzieś widziałam. Wydawało się bardzo znajome.

Obudziłam się w nocy pewna, gdzie je widziałam. Tylko nieco powiększone i jakby wypracowane. Pismo pani Leidner było niesłychanie podobne do pisma w tajemniczych listach.

Zupełnie nowe myśli przemknęły mi przez głowę.

Czyż było możliwe, by pani Leidner sama do siebie pisała te pogróżki? I czy doktor Leidner to podejrzewał?

SOBOTNIE POPOŁUDNIE

Pani Leidner opowiedziała mi swoją historię w piątek. W sobotę rano nastąpiła zmiana w nastrojach. Zwłaszcza pani Leidner zachowywała się wobec mnie wręcz ozięble i wyraźnie unikała tête-à-tête. To mnie wcale nie zdziwiło. Już wielokrotnie mi się przydarzała taka sytuacja. Pacjenci często opowiadają swoim pielęgniarkom różne rzeczy pod wpływem jakiegoś rozczulenia czy pragnienia zwierzeń, a potem się tego wstydzą i żałują. Już taka jest ludzka natura.

Bardzo się pilnowałam, aby jej niczym nie przypomnieć o tym, co mi powiedziała, żadnym słowem do tego nie nawiązywać. Rozmowy dotyczyły wyłącznie bieżących spraw.

Pan Coleman wyjechał z samego rana ciężarówką do Hassanieh z listami w plecaku. Miał jeszcze załatwić kilka spraw dla członków ekspedycji. Był to dzień wypłat, więc czekała go wizyta w banku, skąd miał odebrać pieniądze w bilonie i banknotach o niskim nominale. Wszystko to wymagało czasu i dlatego spodziewano się jego powrotu późnym popołudniem. Podejrzywałam, że będzie jadł lunch w towarzystwie Sheili.

W sobotę po lunchu praca na wykopalisku posuwała się w zwolnionym tempie. O trzeciej trzydzięci rozpoczynała się wypłata.

Abdullah, chłopiec, który zmywał naczynia, jak zwykle siedział pośrodku dziedzińca wyśpiewując przez nos swoją pieśń podobną do zawodzenia.

Pan Emmott i doktor Leidner postanowili zająć się skorupami aż do powrotu pana Colemana, pan Carey zaś udał się w stronę wykopaliska.

Pani Leidner poszła do swego pokoju odpocząć. Jak zwykle ułożyłam ją wygodnie i udałam się do siebie zabierając książkę, gdyż nie byłam senna. Była wtedy za kwadrans pierwsza. Dwie godziny minęły bardzo przyjemnie. Czytałam powieść „Śmierć w sanatorium”, nadzwyczaj ciekawą, wciągającą historię, chociaż o prowadzeniu sanatorium autor nie miał wielkiego pojęcia. W każdym razie sanatoria, które ja widziałam w życiu, różniły się znacznie od opisanego przez niego. Miałam ochotę napisać w tej sprawie do autora i wytknąć mu kilka błędów.

Kiedy wreszcie odłożyłam książkę (zbrodnię popełniła ruda pokojówka, której w ogóle nie podejrzewałam) i spojrzałam na zegarek, stwierdziłam ze zdumieniem, że zrobiła się już za dwadzieścia trzecia.

Wstałam, poprawiłam mój pielęgniarski strój i wyszłam na dziedziniec.

Abdullah nadal szorował naczynia i wydawał te przygnębiające dźwięki, a Dawid Emmott stał przy nim sortując oczyszczone przedmioty i odkładając potłuczone do oddzielnych pudeł. Podeszłam do nich w chwili, gdy doktor Leidner zaczął schodzić schodami z dachu.

— Niezłe popołudnie — powiedział, gdy się zbliżył. — Zrobiłem trochę porządków na górze. — Był w doskonałym humorze. — Luiza będzie zadowolona. Ostatnio narzekała, że kroku nie może zrobić, żeby na coś nie nadepnąć. Pójdę i powiem jej. Podeszedł do drzwi sypialni żony, zapukał i wszedł.

Chyba upłynęło półtorej minuty, gdy pojawił się z powrotem w drzwiach. Właśnie na nie wtedy patrzyłam. Sama nie wiem, dlaczego. Ujrzałam zjawę. Przed kilkudziesięciu sekundami wchodził do pokoju roześmiany mężczyzna. Teraz wyszedł, zataczając się, ze zmartwiałym wyrazem twarzy.

— Sostro! — zawołał przedziwnym, zachrypłym głosem. — Sostro!

Natychmiast się zorientowałam, że coś się stało i pobiegłam w jego stronę. Wyglądał okropnie. Twarz miał szarą, zniekształconą nerwowym tikiem. Bałam się, że za chwilę upadnie.

— Moja żona! O Boże, moja żona! — wykrztusił. Odepchnęłam go i wpadłam do pokoju. Stałam jak wryta, serce skoczyło mi do gardła. Pani Leidner leżała na ziemi koło łóżka, podobna do zmiętej sterty szmat.

Pochyliłam się nad nią. Nie żyła. Nie żyła co najmniej od godziny. Przyczyna śmierci była oczywista. Silny cios z przodu głowy tuż nad prawą skronią. Musiała wstać z łóżka i w tym momencie została uderzona.

Stwierdziwszy zgon, cofnęłam rękę i więcej jej nie dotykałam. Rozejrzałam się po pokoju sprawdzając, czy nie zobaczę żadnych śladów pobytu mordercy. Wszystko wydawało się być na miejscu, nie poruszone. Okna były zamknięte i zabezpieczone. Nie było miejsca, w którym morderca mógłby się skryć. Dawno już go tu nie było.

Wysłałam zamykając za sobą drzwi.

Doktor Leidner załamał się całkowicie. Dawid Emmott stał obok niego. Odwrócił się do mnie z pobladłą twarzą, z niemym pytaniem w oczach.

Powiedziałam mu w paru słowach, co się stało.

Tak, jak się tego spodziewałam, pan Emmott okazał się niezawodny w trudnej sytuacji. Zachował całkowity spokój i opanowanie.

Przez chwilę się zastanawiał, a potem powiedział:

— Chyba trzeba jak najszybciej zawiadomić policję. Bill powinien lada moment wrócić. Co zrobimy z Leidnerem?

— Może mi pan pomoże zaprowadzić go do pokoju — poprosiłam.

Skinął głową.

— Ale przedtem trzeba zamknąć drzwi... — Przekręcił zamek w drzwiach pokoju pani Leidner, wyjął klucz i oddał go mnie.

— Niech to lepiej ma siostra. Zajmijmy się teraz doktorem.

Razem go prawie zanieśliśmy do pokoju i ułożyliśmy na łóżku. Pan Emmott poszedł po koniak. Gdy wrócił, towarzyszyła mu panna Johnson.

Widać było po wyrazie twarzy, że przeżyła wstrząs, ale zachowywała spokój i była gotowa we wszystkim pomóc. Wiedziała, że mogę pozostawić doktora Leidnera pod jej opieką.

Pośpieszyłam na dziedziniec. Właśnie przez bramę wjeżdżał samochód z panem Colemanem. Było dla nas pewnym szokiem, gdy zobaczyliśmy jego roześmianą różową twarz i usłyszeliśmy wesołe pokrzykiwania:

— Hej tam, wszyscy! Przywozłem forszę. Żadnych bandytów po drodze... — Nagle urwał widząc nasze twarze: — Co się z wami stało? Wyglądacie tak, jakby wam kot zjadł ukochanego kanarka.

— Pani Leidner nie żyje. Zabita — odparł krótko pan Emmott.

— Co takiego? Wyraz twarzy Billa uległ zupełnej zmianie. Jakby mu oczy wyszły nagle z orbit. — Matka Leidner nie żyje? Nabieracie mnie!

— Nie żyje? — usłyszałam za sobą nagle piskliwy krzyk. Obejrzałam się i zobaczyłam tuż— tuż panią Mercado. — Czy ja dobrze słyszę, że pani Leidner nie żyje?

— Tak, zamordowana — odpowiedziałam.

— Nie, nie! — krzyknęła. — Nie wierzę w to. Pewno popełniła samobójstwo.

— Samobójcy nie roztrzaskują sobie sami głów. Nie ma wątpliwości, że to morderstwo, pani Mercado! — odparłam sucho.

Pani Mercado usiadła na obróconej pustej skrzyni, jakby nagle opadła z sił.

— Ależ to straszne, to okropne — powiedziała.

Oczywiście, że to było okropne. Wiedzieliśmy to bez niej. Zastanawiałam się, czy ona nie odczuwa czasem pewnych wyrzutów sumienia z powodu insynuacji, które wygadywała na panią Leidner.

Po paru minutach spytała ni stąd, ni zowąd:

— No i co teraz zrobicie?

Pan Emmott w ten swój nie narzucający się sposób objął przewodzenie.

— Bill, natychmiast wracaj do Hassanieh. Nie znam procedury w takich sprawach. Najlepiej odszukaj kapitana Maitlanda. Chyba on jest szefem tutejszej policji. Ale przedtem zawiadom doktora Reilly. On będzie wiedział, co robić.

Pan Coleman przytakiwał głową. Na jego twarzy nie było nawet cienia uśmiechu. Wyglądał po prostu jak bardzo młody i bardzo przestraszony chłopak. Bez słowa usiadł za kierownicą i odjechał.

Pan Emmott odezwał się do pozostałych niepewnym głosem:

— Chyba powinniśmy zorganizować jakieś poszukiwania, pościg...? — Podniósł głos i zawołał: — Ibrahim!

— Jestem, panie! — przybiegł arabski chłopak.

Pan Emmott zaczął do niego mówić po arabsku. Wkrótce rozwinął się ożywiony dialog. Chłopak wydawał się czemuś energicznie zaprzeczać.

Pan Emmott obrócił się do nas i jakby zdziwiony powiedział:

— On twierdzi, że dziś po południu nikt się tu nie pojawił. Absolutnie żadnych obcych. Pewno mordercy udało się przeniknąć niezauważonym...

— To przecież jasne! — powiedziała pani Mercado. — Skorzystał z chwili, gdy chłopak gdzieś sobie poszedł.

— Chyba tak — zgodził się pan Emmott, ale w jego głosie brzmiało powątpiewanie. Spojrzałam na niego uważnie.

Odwrócił się i znów coś mówił do chłopaka od szorowania wydobytych skorup.

Ibrahim coś mu długo tłumaczył.

Wyraz zdziwienia na twarzy pana Emmotta pogłębił się.

— Nic już z tego nie rozumiem — mruknął tak, że ledwo usłyszałam. — Absolutnie nic nie rozumiem.

Jednakże nie wyjaśnił nam o co chodziło.

BARDZO DZIWNA SPRAWA

Staram się ograniczyć moją opowieść do osobistych obserwacji i doświadczeń opuszczając wydarzenia, których nie byłam świadkiem. Pominę też wszystko, co działo się przez następne dwie godziny — przyjazd kapitana Maitlanda i doktora Reilly. Było wiele zamieszania, rozpytywania i różnych czynności, jak przypuszczam, rutynowych.

Moim zdaniem dopiero koło godziny piątej przystąpiono poważnie do sprawy, gdy doktor Reilly zaprosił mnie do biura. Zamknął drzwi i usiadł za biurkiem w krześle doktora Leidnera, a następnie wskazał mi miejsce po drugiej stronie.

— A więc, siostrze, do rzeczy — powiedział z ożywieniem. — Jest coś bardzo dziwnego w tej całej sprawie.

Poprawiłam sobie mankiety i spojrzałam na niego pytająco. Wyciągnął z kieszeni notatnik.

— Pytam dla zaspokojenia własnej ciekawości. O której godzinie doktor Leidner znalazł ciało żony?

— Była dokładnie za kwadrans trzecia — odparłam.

— Skąd siostra to wie?

— Spojrzałam na zegarek, kiedy wstałam. Była wówczas za dwadzieścia trzecia.

— Proszę mi pokazać zegarek.

Zdjęłam zegarek z ręki i podałam doktorowi.

— Co do minuty. Brawo, siostrze! No dobrze, jedno ustaliliśmy. Idziemy dalej. Jak długo według siostry pani Leidner nie żyła, w chwili kiedy siostra ujrzała ciało?

— Wolałabym nie wyrażać mojej opinii, doktorze. Nie jestem specjalistką.

— Niechże siostra nie będzie taką perfekcjonistką. Chcę po prostu wiedzieć, czy siostry przypuszczenie pokrywa się z moim.

— No dobrze, jestem skłonna uznać, że nie żyła już co najmniej od godziny.

— To by się zgadzało. Zbadałem ciało o wpół do piątej i jestem skłonny przypuszczać, że śmierć nastąpiła między pierwszą piętnaście a pierwszą czterdzieści pięć. A więc najprawdopodobniej o pierwszej trzydzieści. Co całkowicie odpowiada ocenie siostry.

Umilkł i zabębnił palcami po blacie.

— Bardzo dziwna sprawa, bardzo dziwna! — powtórzył. — Niech mi siostra wszystko dokładnie opowie. Po południu siostra odpoczywała? Czy coś siostra słyszała?

— O wpół do drugiej? Nie, doktorze. Nic nie słyszałam ani o wpół do drugiej, ani o innej godzinie. Leżałam w łóżku od za kwadrans pierwsza do za dwadzieścia trzecia i nie słyszałam nic prócz zawodzenia tego arabskiego chłopaka i od czasu do czasu głosu pana Emmotta wołającego coś do doktora Leidnera, który był na dachu.

— Ten młody Arab, tak... Zmarszczył brwi.

Otworzyły się drzwi i wszedł doktor Leidner, a za nim kapitan Maitland. Kapitan Maitland był drobnym, ruchliwym mężczyzną o przenikliwych stalowych oczach.

Doktor Reilly ustąpił miejsca doktorowi Leidnerowi. Właściwie to jakby siłą usadził go na krześle.

— Siadajże, człowieku! — powiedział do niego. — Dobrze, żeś przyszedł. Jesteś nam potrzebny. Muszę ci powiedzieć, że coś tu dziwnie pachnie.

Doktor Leidner tylko pochylił głowę.

— Wiem — powiedział po chwili. — Moja żona zwierzyła się siostrze Leatheran. Siostrze, w tej sytuacji trzeba powiedzieć całą prawdę. Nic nie należy ukrywać. Proszę opowiedzieć o wczorajszej waszej rozmowie doktorowi Reilly i kapitanowi Maitlandowi.

Jak mogłam najdokładniej zreferowałam przebieg rozmowy. Kapitan Maitland parokrotnie wydawał krótkie okrzyki zdumienia. Gdy skończyłam, zwrócił się do doktora Leidnera:

— To wszystko prawda, Leidner, co?

— Każde słowo siostry Leatheran było szczerą prawdą.
— Cóż za niezwykła historia! — wykrzyknął doktor Reilly. — I może nam pan pokazać te listy?

— Na pewno znajdziemy je wśród papierów mojej żony.

— Wczoraj wyjmowała je z teczki — wtrąciłam.

— I tam je pewno znajdziemy — powiedział doktor Leidner. Obrócił się do kapitana Maitlanda. Jego zwykle pogodna twarz była zboląłą maską. — Żadnego tuszowania sprawy, kapitanie! Morderca musi być schwytany i ukarany!

— Czy pan naprawdę wierzy, że mordercą pani Leidner jest jej były mąż? — spytałam.

— Siostra tak nie sądzi? — odezwał się kapitan Maitland.

— Przypuszczam, że mogą być co do tego duże wątpliwości.

— Tak czy inaczej ten, kto napisał te wszystkie listy jest mordercą — powiedział doktor Leidner. — Chory umyslowo osobnik. Należy go złapać! Musi go pan koniecznie złapać, kapitanie Maitland! To nie powinno być trudne.

— To może być trudniejsze, niż myślisz... Prawda, Maitland? — powiedział wolno doktor Reilly.

Kapitan Maitland nerwowo szarpał swój wąs nic nie mówiąc. Coś mi się nagle przypomniało.

— Panowie pozwolą... muszę wam o czymś opowiedzieć!

I opowiedziałam im o Irakijczyku, który usiłował zajrzeć przez okno, i o tym, jak go w dwa dni później ponownie zobaczyłam, kiedy o coś wypytywał ojca Lavigny.

— Świetnie! — oświadczył kapitan Maitland. — Zapamiętamy to. Policja będzie miała cenną wskazówkę. Ten człowiek mógł mieć coś wspólnego z całą tą sprawą.

— Może zapłacono mu za szpiegowanie — podsunęłam. — Miał informować, kiedy najlepiej uderzyć... Kiedy będzie bezpiecznie...

— Hmm. Cały sęk właśnie w tym — odezwał się doktor Reilly pocierając jakby w zatroskaniu nos. — A jeśli nie było bezpiecznie?

Spojrzałam na doktora zdziwiona.

— Niech mnie pan słucha uważnie, Leidner. Oto fakty, które ustaliliśmy do chwili obecnej. Po lunchu, który podano dokładnie o dwunastej, a który skończył się o dwunastej trzydzieści pięć, pańska żona udała się do swojego pokoju w towarzystwie siostry Leatheran, która ułożyła ją, podsunęła poduszki i tak dalej. Pan wszedł od razu na dach, gdzie pan spędził następne dwie godziny, tak?

— Tak.

— Czy w ciągu tych dwu godzin schodził pan na dziedziniec?

— Nie.

— Czy ktoś do pana przychodził na dach?

— Tak. Parokrotnie Emmott. Właściwie kursował między tym chłopakiem na dziedzińcu a dachem. Chłopiec czyścił gliniane garnki.

— Czy spoglądał pan na dziedziniec?

— Parę razy zerkałem. Wtedy, kiedy chciałem coś powiedzieć Emmottowi.

— I chłopiec zawsze siedział pośrodku dziedzińca czyszcząc te naczynia?

— Tak.

— W czasie której ze swych wędrówek na dach Emmott pozostawał z panem najdłużej?

— Nie wiem w czasie której — Leidner się zamyślił. — Ale nigdy nie pozostawał dłużej niż dziesięć minut. A może mniej. Po paru minutach wracał. Chociaż mogło mi się tak tylko wydawać, bowiem z doświadczenia wiem, że zupełnie tracę poczucie czasu, kiedy jestem pogrążony w pracy. Zwłaszcza interesującej.

Kapitan Maitland spojrzał znacząco na doktora Reilly, który skinął głową.

— Trzeba to ostatecznie ustalić — powiedział. Kapitan Maitland wyjął mały notes i otworzył go.

— Niech pan słucha, Leidner. Odczytam panu, co każdy z członków pańskiej ekspedycji robił dziś między pierwszą a drugą po południu.

— Przecież chyba pan...

— Chwileczkę. Zaraz pan zobaczy, do czego zmierzam. Najpierw państwo Mercado. Pan Mercado twierdzi, że był w pracowni. Pani Mercado mówi, że była w swoim pokoju myjąc głowę. Panna Johnson oświadczyła, że czas ten spędziła w pokoju dziennym robiąc woskowe odciski cylindrycznych pieczęci. Pan Reiter oświadczył, że w tym czasie wywoływał w ciemni negatywy. Ojciec Lavigny powiedział, że pracował w swojej sypialni. Jeśli idzie o dwóch pozostałych członków ekspedycji, Careya i Colemana, to pierwszy znajdował się przy wykopalisku, a Co— leman był w Hassanieh. Tyle, jeśli idzie o członków ekspedycji. Teraz służba. Kucharz, ten Hindus, siedział tuż za bramą i skubał drób rozmawiając ze strażnikiem. Ibrahim i Mansur, chłopcy do pomocy, dołączyli do niego o pierwszej piętnaście i razem rozmawiali do godziny drugiej trzydzieści. A o tej porze pańska żona już nie żyła.

Doktor Leidner pochylił się do przodu.

— Nie rozumiem, pan mnie zaskakuje... Co pan insynuuje, kapitanie?

— Czy poza tymi drzwiami na dziedziniec jest inny dostęp do sypialni pańskiej żony?

— Nie ma. W pokoju są dwa okna, ale zakratowane. Poza tym były chyba zamknięte. — Doktor Leidner spojrział na mnie pytająco.

— Tak, były zamknięte na zasuwkę od wewnątrz — odparłam.

— To nieistotne — zauważył kapitan Maitland. — Nawet gdyby były otwarte, nikt nie mógłby tamtędy wejść i wyjść. Moi ludzie już to sprawdzili. To samo dotyczy pozostałych okien wychodzących na zewnątrz zabudowań. Wszędzie są kraty i to w dobrym stanie, nienaruszone. Aby dostać się do pokoju pańskiej żony, każdy obcy musiałby wejść przez bramę na dziedziniec. Ale mamy zgodne oświadczenia strażnika, kucharza i obu chłopców, że nikt tamtędy nie przechodził.

Doktor Leidner zerwał się z krzesła.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Co pan chce powiedzieć, kapitanie?

— Opanuj się, człowieku — odezwał się spokojnie doktor Reilly. — Wiem, że to jest dla ciebie szokiem, ale musisz stawić temu czoło. Morderca nie pojawił się z zewnątrz. On przyszedł z wewnątrz. Wygląda na to, że pani Leidner została zamordowana przez któregoś z członków twojej własnej ekspedycji.

NIE WIERZYŁAM...

— Nie! To niemożliwe!

Doktor Leidner zaczął miotać się po pokoju niesłuchanie wzburzony.

— To niemożliwe, nie wierzę w to, co mówisz, Reilly! Absolutnie niemożliwe! Ktoś z nas? Wszyscy byli niesłuchanie oddani Luizie...

Doktor Reilly skrzywił się. W obecnych okolicznościach trudno mu było cokolwiek powiedzieć, ale jego milczenie wyrażało więcej niż słowa.

— Jest to absolutnie niemożliwe! — powtórzył doktor Leidner.

— Wszyscy bardzo ją lubili. Luiza była taka czarująca. Wszyscy pozostawali pod jej nieodpartym urokiem.

Doktor Reilly odchrząknął.

— Wybacz mi, Leidner, ale to jest tylko twoja opinia. Jeśli któryś z członków ekspedycji nie żywił do twojej żony przyjaznych uczuć, to na pewno się z tym nie afiszował i nie chwalił przed tobą.

Doktor Leidner wyglądał na człowieka zupełnie zdruzgotanego.

— Tak, masz na pewno rację. Niemniej twierdzę, że się mylisz. Jestem przekonany, że wszyscy lubili Luizę.

Przez dłuższą chwilę milczał, by nagle wybuchnąć:

— To haniebne podejrzenie. Absolutnie... nieprawdopodobne.

— Trudno zaprzeczyć faktom — wtrącił kapitan Maitland.

— Faktom? Jakim faktom? Kłamstwom kucharza i paru arabskich chłopców. Znacie tych ludzi nie gorzej ode mnie. Ty ich aż za dobrze znasz, Reilly, i pan, kapitanie, również! Prawda nie ma dla nich najmniejszego znaczenia. Powiedzą wam zawsze to, czego oczekujecie. Bo tak jest grzecznie. Zawsze chcą być grzeczni.

— W tym wypadku mówią to, czego nie chcielibyśmy usłyszeć — odparł doktor Reilly sucho. Poza tym znam dość dobrze obyczaje twojej służby, Leidner. Obszar tuż za bramą jest jakby ich klubem. Miejscem spotkań i rozmów. Ilekroć tu przyjeżdżałem po południu, zawsze zastawałem większość służących przed bramą. Tam koncentruje się ich życie towarzyskie.

— Nadal sądzę, że zbyt wiele suponujesz. Dlaczegożby ów człowiek, ten diabeł wcielony, nie mógł zakraść się wcześniej i gdzieś się schować?

— Zgadzam się, że teoretycznie to jest możliwe — odparł spokojnie doktor Reilly. — Załóżmy, że to zrobił i nikt go nie zauważył, gdy wchodził. Musiałby się gdzieś schować i czekać w ukryciu (a nie mógł tego zrobić w pokoju pani Leidner, bo tam nie ma żadnego schowka) aż można by niepostrzeżenie wyjść, dokonać przestępstwa i umknąć. I w każdym wypadku wiele by ryzykował, gdyż na dziedzińcu prawie przez cały czas był arabski chłopak.

— Chłopak! Właśnie! Zupełnie o nim zapomniałem. Ależ to upraszcza sprawę, kapitanie Maitland — odezwał się doktor Leidner. — Chłopak przecież musiał widzieć mordercę, gdy wchodził do pokoju żony?

— Niestety, to właśnie zostało wyjaśnione. Chłopak czyścił naczynia prawie przez całe popołudnie. Około wpół do drugiej, ściślej tego nie możemy ustalić, Emmott poszedł na dach i przebywał tam z panem około dziesięciu minut. Prawda,

Leidner?

— Tak. Mniej więcej o tej porze.

— Otóż chłopak skorzystał z nieobecności Emmotta i wyskoczył na pogawędkę do swych towarzyszy za bramą. Kiedy Emmott wrócił z dachu, zobaczył, że chłopaka nie ma. Ostro go przywołał i obrugał za opuszczenie pracy. Moim zdaniem pańska żona została zamordowana właśnie w czasie tych dziesięciu minut.

Zapadło milczenie. Doktor Leidner z głębokim jękiem opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

Głos zabrał teraz doktor Reilly.

— To by się zgadzało z moimi ocenami — powiedział rzeczowym tonem. — Kiedy ją badałem, nie żyła już od około trzech godzin. Pozostaje więc tylko to jedno pytanie: kto to zrobił?

Ponownie zapadło milczenie. Doktor Leidner wyprostował się i przeciągnął dłonią po czole. Po dłuższej chwili odezwał się cichym głosem.

— Przyznaję, że rozumujesz logicznie, Reilly. Wygląda rzeczywiście jakby zbrodni dokonał ktoś, jak to się mówi „z wewnątrz”. Niemniej nadal uważam, że popełniacie panowie jakiś błąd. Być może wyciągacie zbyt pochopne wnioski. Wysuwacie interesującą teorię, ale zakładacie nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

— Użyłeś ciekawego słowa, Leidner — odparł doktor Reilly. Doktor Leidner nie zwracając uwagi na ów wtręt ciągnął dalej:

— Moja żona otrzymuje listy z groźbami. Ma podstawy obawiać się konkretnej osoby. I oto zostaje zabita. A wy teraz żądacie, abym uwierzył, że wcale nie została zamordowana przez maniaka, którego się bała, tylko przez kogoś zupełnie innego? Twierdzę, że to wprost śmieszne.

— Tak by się pozornie wydawało — powiedział doktor Reilly w zamyśleniu. Spojrzał na kapitana. — Zbieg okoliczności? Co ty o rym sądzisz, Maitland? Zgadzasz się z tą teorią? Może przedstawimy Leidnerowi naszą propozycję, o której wspomnieliśmy?

Kapitan Maitland skinął głową.

— Proszę, mów!

— Słyszałeś kiedyś o człowieku nazwiskiem Herkules Poirot?

— Chyba kiedyś to nazwisko obilo mi się o uszy — odparł Leidner ze zdziwionym wyrazem twarzy. — Tak, raz słyszałem, kiedy zachwalał go bardzo Van Aldin. To prywatny detektyw, prawda?

— Właśnie, ten sam.

— Ale on przebywa w Londynie, więc jak mógłby nam pomóc?

— Na stałe rzeczywiście mieszka w Londynie. Ale oto mamy prawdziwy zbieg okoliczności — wyjaśnił doktor Reilly. — Obecnie przebywa w Syrii i jutro ma przejeżdżać przez Hassanieh w drodze do Bagdadu!

— Skąd to wiesz?

— Powiedział mi Jean Berat, francuski konsul. Był u nas wczoraj na kolacji i wspomniał o nim. Ten Poirot podobno rozwikłał jakiś wojskowy skandal w Syrii. Ma zamiar zwiedzić Bagdad, a potem przez Syrię wraca do Londynu. Prawda, jaki niezwykły zbieg okoliczności?

Doktor Leidner przez chwilę się wahał, a potem spojrzał na kapitana Maitlanda i spytał z lekką obawą w głosie, jakby sądził, że kapitan Maitland mógłby się czuć urażony:

— Co pan o tym sądzi, kapitanie?

— Bardzo chętnie skorzystam z pomocy tego dżentelmena. Moi ludzie są dobrzy w tutejszym terenie, kiedy zajmują się porachunkami między Arabami, ale sprawa pańskiej żony, Leidner, powiem szczerze, to skomplikowana zagadka. Nie gram w tej lidze. I cała sprawa wygląda bardzo dziwnie. Coś tu brzydko pachnie. Chętnie się zgadzam, żeby ten człowiek rzucił na to okiem.

— A więc proponujesz, żebym się zwrócił do tego Poirota o pomoc? — Leidner spytał doktora Reilly. — A jeśli odmówi?

— Nie odmówi — odparł krótko doktor Reilly.

— Skąd ta pewność?

— Ponieważ ja również jestem zawodowcem. Jeśli mi się przytrafi jakiś skomplikowany przypadek, na przykład zapalenie opon mózgowych, to na pewno z niego nie zrezygnuję. Po prostu nie potrafiłbym. A tu mamy do czynienia z niezwykle zbrodnią, doktorze Leidner!

— W istocie — odparł doktor Leidner. Spazm bólu ściągnął mu twarz. — W takim razie, czy byłbyś łaskaw w moim imieniu zaprosić tutaj tego Poirota?

— Zrobię to.

Doktor Leidner podziękował ruchem ręki.

— Jeszcze nie potrafię zaakceptować faktu, że Luiza nie żyje. Nie mogę w to uwierzyć.

Dłużej już nie mogłam wytrzymać:

— Doktorze Leidner! — niemal wykrzyknęłam. — Niech mi wolno będzie wyrazić panu moje współczucie. To moja wina, zawiodłam pana! Nie wypełniłam należycie moich obowiązków! Miałam pilnować pani Leidner. Chronić ją przed nieszczęściem...

Doktor Leidner smutno pokiwał głową.

— Nie, siostrze! Nie ma co sobie siostra wyrzucać. To ja, niech mi Bóg wybaczy, jestem wszystkiemu winien. Nie wierzyłem! Przez cały czas jej nie wierzyłem... Ani przez chwilę nie sądziłem, że grozi jej prawdziwe niebezpieczeństwo...

Wstał. Skurcz przebiegł mu po twarzy.

— Jaja skazałem na śmierć... Tak, ja jej pozwoliłem umrzeć! Nie wierzyłem!

Zataczając się opuścił pokój. Doktor Reilly spojrzął na mnie.

— Ja też się czuję winny — powiedział. — Byłem przekonany, że Luiza Leidner jest po prostu histeryczką.

— Ja także nie traktowałam całej sprawy poważnie — przyznałam.

— Wszyscy się pomyliliśmy — dodał doktor Reilly.

— Na to wygląda — zgodził się kapitan Maitland.

HERKULES POIROT PRZYBYWA

Nigdy chyba nie zapomnę pierwszego wrażenia, jakie zrobił na mnie Herkules Poirot. Później oczywiście przyzwyczaiłam się do niego, ale z początku doznałam szoku i chyba wszyscy pozostali także.

Sama nie wiem, kogo oczekiwałam. Może kogoś podobnego do Sherlocka Holmesa — wysokiego, szczupłego, ze szlachetną i mądrą twarzą. Wiedziałam naturalnie, że jest cudzoziemcem, ale nie spodziewałam się, że aż do tego stopnia, jeśli właściwie się wyrażam.

Gdy go zobaczyłam, miałam ochotę parsknąć śmiechem. Każdy chyba tak reagował. Wyglądał jak ktoś ze sceny lub filmu. Po pierwsze, był niziutki. Może miał półtora metra wzrostu. Śmieszny, stary, gruby człowieczek z wielkimi wąsami i jajowatą głową. Wyglądał jak fryzjer w jakiejś farsie.

I ten człowiek miał odkryć, kto zamordował panią Leidner?

Najprawdopodobniej wszystkie te wątpliwości odmalowały się na mojej twarzy, gdyż z miejsca oświadczył mi z takim dziwnym błyskiem w oczach:

— Nie zdobyłem uznania siostry! — Powiedział po francusku: „*Ma soeur*”. To znaczy siostra. I dodał: — Ale proszę poczekać, jakości tortu dowodzi się tylko przy jedzeniu!

Pewno chciał powiedzieć, że jakość tortu można poznać przy jedzeniu.

W zasadzie to bardzo trafne powiedzenie, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że miałam zaufanie do tego małego detektywa.

Doktor Reilly przywiózł go swoim samochodem po lunchu w niedzielę. I ten Poirot natychmiast kazał nam wszystkim zebrać się razem.

No więc usiedliśmy za stołem w jadalni, pan Poirot u szczytu stołu, po jego jednej ręce zajął miejsce doktor Leidner, a po drugiej doktor Reilly.

Kiedyśmy się już zbrali, doktor Leidner odchrząknął i przemówił łagodnie, jakby z lekkim wahaniem:

— Chyba wszyscy słyszeli o panu Herkulesie Poirot. Przejeżdżał dziś przez Hassanieh, ale łaskawie zgodził się odłożyć dalszą podróż, aby nam pomóc. Policja iracka i kapitan Maitland robią, co mogą, jestem tego pewien, ale... są pewne okoliczności tej sprawy... — zająknął się i jakby szukając ratunku spojrzał na doktora Reilly — są pewne trudności... komplikacje...

— Nie wszystko pasuje jak wół do karety, co, nie? — odezwał się głos ze szczytu stołu.

Przecież on nawet nie mówi przyzwoicie po angielsku, pomyślałam sobie.

— Trzeba go koniecznie złapać! — wykrzyknęła pani Mercado. — To byłoby okropne, gdyby uciekł!

Spostrzegłam, że śmieszny cudzoziemiec wlepił swoje oczka w panią Mercado.

— On? Kto jest on, *madame*? — spytał.

— Jak to kto? Morderca oczywiście!

— Aaa, morderca! — powtórzył Herkules Poirot.

Powiedział to tak, jakby osoba mordercy nie była tu w ogóle ważna.

Wlepiliśmy w niego wzrok. Spoglądał kolejno na każdego.

— Jest możliwe — powiedział — że żadna z waszych osób w kontakcie z morderstwem jeszcze nigdy nie była, tak?

Wszyscy zamruczeli, że nie. Herkules Poirot uśmiechnął się.

— Jasne jest więc — powiedział — że nikt nie rozumie całej sytuacji. Bardzo w niej wiele nieprzyjemności. Tak, czeka bardzo wiele nieprzyjemności. Na początek: *suspition*!

— *Suspition*? — odezwała się panna Johnson.

Pan Poirot przyjrzał się jej uważnie, jakby z aprobatą. Wyglądał zupełnie tak, jakby chciał powiedzieć: oto rozsądna, inteligentna osoba.

— Tak, *mademoiselle*, podejrzenie. Nie przelewajmy na ten temat w próżne. W tym domu jesteście wszyscy podejrzani. Kucharz, jego pomocnik, pomywacz, ten chłopiec od czyszczenia naczyń, a także członkowie ekspedycji.

Pani Mercado zerwała się ogromnie podniecona.

— Jak pan śmie! Jak pan śmie rzucać podobne oskarżenia? To ohydne! Po prostu wstrętne! Doktorze Leidner, przecież nie może pan spokojnie siedzieć i pozwalać temu... temu człowiekowi...?

— Uspokój się, Mario! — powiedział doktor Leidner zmęczonym głosem.

Pan Mercado także wstał. Ręce mu się trzęsły i oczy miał przekrwione.

— Zgadzam się z Marią. To skandaliczne, po prostu obraźliwe...!

— Nie, nie! Ja nikogo nie chcę obrażać. Ja tylko proszę przyjrzeć się dokładnie faktom. W domu, w którym morderstwo zostało popełnione, wszyscy niosą... aha... mają na sobie kawałek podejrzenia. Ja zapytam was: jakie są dowody, że morderca zjawił się z zewnątrz?

— Oczywiście, że przyszedł z zewnątrz! — wykrzyknęła pani Mercado. — Przecież to logiczne. Skąd... — zamilkła i potem powiedziała z wahaniem: — Przecież to byłoby niewiarygodne...!

— Z pewnością ma pani rację! — odparł Poirot chyląc głowę w ukłonie. — Ja tłumaczę tylko, *madame*, jak rzeczy mogą być widziane. Najpierw muszę się upewnić, że nikt z ludzi w tym pokoju... że każdy jest niewinny. A potem zacznę szukać gdzie indziej.

— Czy wówczas nie będzie za późno? — zapytał ojciec Lavigny uprzejmie.

— Żółw, *mon pere*, przegonił zającą!

Ojciec Lavigny wzruszył ramionami.

— Oddajemy się w pańskie ręce — powiedział. — A więc niech się pan jak najszybciej upewni o naszej niewinności.

— Zrobię to, jak najszybciej będę mógł. Obowiązkiem moim było sprawę postawić jasno, aby nikt do siebie nie wziął obrazy za natarczywe pytania, które zadawać mogę. Może więc Kościół, *mon pere*, przykładem zaświeci?

— Niech pan zadaje, jakie pan chce, pytania — odparł poważnym głosem ojciec Lavigny.

— Ojciec jest tu po raz pierwszy?

— Tak.

— A kiedy ojciec przyjechał?

— Chyba dokładnie trzy tygodnie temu. Dwudziestego siódmego lutego.

— Skąd?

— Z zakonu ojców białych w Kartaginie.

— Dziękuję, *mon pere*. Czy przed przyjazdem tutaj znał ojciec panią Leidner?

— Nie. Wcześniej nigdy jej nie widziałem.

— Łaskawie proszę powiedzieć, co ojciec robił w chwili tragedii?

— Pracowałem w moim pokoju. Odczytywałem pismo klinowe z tabliczek.

Zauważyłam, że Poirot ma szkic budynku z planem pomieszczeń.

— Ojciec zajmuje pokój w południowo-zachodniej części budynku po przeciwległej stronie od pokoju pani Leidner?

— Tak.

— O której godzinie udał się ojciec do pokoju?

— Zaraz po lunchu. Była wtedy chyba za dwadzieścia pierwsza.

— I pozostał ojciec w pokoju do kiedy?

— Wyszedłem tuż przed trzecią. Usłyszałem, jak powraca samochód... A potem, że znów odjeżdża. Zastanowiło mnie, dlaczego i wyszedłem sprawdzić.

— Wcześniej nie opuszczał ojciec pokoju nawet na chwilę?

— Ani razu.

— I nie widział ojciec ani nie słyszał nic, co miałyby związek ze sprawą?

— Związek ze sprawą? Nie.

— Okien na dziedziniec z pokoju nie ma?

— Nie, oba okna wychodzą na pola.

— A dochodziły odgłosy z dziedzińca?

— Niewiele. Słyszałem, jak koło mojego pokoju przechodził pan Emmott w drodze na dach. Parę razy.

— Nie pamięta ojciec o której godzinie?

— Nie, niestety nie. Byłem pogrążony w pracy. Nastąpiła chwila milczenia, po której Poirot zapytał:

— Czy miałby ojciec coś do powiedzenia albo do sugerowania na temat tragicznego wydarzenia? Czy na przykład coś ojciec zauważył w dniach poprzedzających morderstwo?

Ojciec Lavigny okazał lekkie zakłopotanie. Spojrzał z ukosa na doktora Leidnera, jakby oczekiwał jego wsparcia.

— Raczej trudne pytanie, *monsieur*. — Mówił z głęboką powagą. — Skoro mnie pan o to pyta, muszę powiedzieć, że moim zdaniem pani Leidner żyła w strachu przed kimś albo przed czymś. Była bardzo nieufna wobec obcych. Jestem przekonany, że miała... że istniały głębokie przyczyny jej lęków. Ale to są tylko przypuszczenia. Nie zwierzała mi się.

Poirot odchrząknął i rzucił okiem na notatki trzymane w ręku.

— Z tego, co dano mi do zrozumienia, dwie noce temu podejrzewaliście włamanie.

Ojciec Lavigny potwierdził ten fakt i wspominał o światełku, jakie dostrzegł w magazynie wykopalisk, a także opisał bezskuteczne poszukiwania.

— Ojciec sądzi więc, że jakaś nieupoważniona osoba znajdowała się w tym czasie na terenie?

— Nie wiem, co mam o tym sądzić. Nic nie zginęło, wszystko było na swoim miejscu. Może któryś ze służących.

— Albo członków ekspedycji?

— Albo członków ekspedycji. Ale w tym ostatnim wypadku nie stałoby nic na przeszkodzie, by osoba ta przyznała się do tego.

— Ale również mógłby to być ktoś z zewnątrz?

— Przypuszczam, że tak.

A więc zakładamy, że obcy był na terenie. Czy ten osobnik zdołałby ukrywać się przez cały następny dzień, aż do popołudnia kolejnego dnia?

Pytanie to Poirot kierował zarówno do ojca Lavigny, jak i do doktora Leidnera. Obaj mężczyźni zamyśliли się.

— To chyba nie byłoby możliwe — odparł po chwili doktor Leidner. Było widać, że czyni to wyznanie wbrew sobie. — Nie wyobrażam sobie, gdzie mógłby się ukryć, prawda, ojciec Lavigny?

— Tak, naturalnie, nie widzę gdzie...

Obaj bardzo niechętnie rezygnowali z podobnej możliwości.

— A *mademoiselle* uważa to za prawdopodobne? — zwrócił się Poirot do panny Johnson.

Po chwili zastanowienia panna Johnson przecząco potrząsnęła głową.

— Nie. To niemożliwe — przyznała. — Gdzieżby się schował? Wszystkie sypialnie są zajęte i poza tym bardzo skromnie umeblowane. Ciemnia, pracownia i kreślarnia były następnego dnia wykorzystywane. Podobnie jak jadalnia i pokój dzienny. Nie ma tu szaf, nie ma zakamarków, komórek. Gdyby w zmowie byli służący...

— Możliwe, ale mało prawdopodobne — przerwał Herkules Poirot i ponownie zwrócił się do ojca Lavigny. — Jest jeszcze jedna drobna sprawa. Któregoś dnia siostra Leatheran widziała, jak ojciec rozmawiał za domem z jakimś człowiekiem. A jeszcze przedtem widziała, jak ten sam człowiek usiłował zajrzeć przez któreś okno. Wygląda na to, że ów osobnik kręcił się koło domu.

- To jest oczywiście możliwe — odparł ojciec Lavigny po zastanowieniu.
- Czy ojciec odezwał się pierwszy do tego człowieka, czy też on rozpoczął rozmowę?
- Chyba on. Tak, to on pierwszy coś powiedział.
- A co takiego?

Ojciec Lavigny czynił wyraźny wysiłek, by sobie przypomnieć.

— Pytał, czy to jest dom amerykańskiej ekspedycji naukowej. A potem coś chyba jeszcze, że Amerykanie dają pracę wielu ludziom. Właściwie to go dobrze nie zrozumiałem. Ale usiłowałem podtrzymać rozmowę, żeby poćwiczyć mój arabski. Pomyślałem sobie, że skoro to jest człowiek z miasta, to może mnie lepiej zrozumie niż robotnicy na wykopalisku.

— Jeszcze o czym była mowa?

— Z tego, co sobie przypominam, to powiedziałem mu, że Hassanieh to jest duże miasto, ale potem ustaliliśmy, że Bagdad jest większy. A on chyba spytał, czy ja jestem armeńskim czy syryjskim katolikiem. O coś takiego spytał.

Poirot skinął głową.

— Proszę opisać tego człowieka.

— Raczej niski. Dość silnie zbudowany. — Ojciec Lavigny zmarszczył brwi usiłując uprzytomnić sobie szczegóły. — Miał wyraźnego zęza i dość jasną cerę.

Pan Poirot zwrócił się do mnie:

— Czy to się zgadza z tym, co siostra widziała? — spytał.

— Niezupełnie. Powiedziałabym, że był raczej wysoki. I miał smagłą cerę. Moim zdaniem był dość szczupłej budowy. Nie zauważyłam żadnego zęza.

Pan Poirot jakby z rozczarowaniem wzruszył ramionami.

— Tak jest zawsze. Gdybyście państwo pracowali w policji, znalazłbyście podobne przypadki. Opis tego samego człowieka przez dwie różne osoby nigdy się nie zgadza. Wszystkie szczegóły sobie przeczą.

— Jestem pewien co do zęza — odezwał się ojciec Lavigny. — Być może co do innych punktów rację ma siostra Leatheran. Kiedy powiedziałem, że ma dość jasną cerę, to myślałem, że dość jasną jak na Irakijczyka. Dla siostry była to oczywiście cera smagła.

— Bardzo smagła — upierałam się. — Sinociemna twarz. Zauważyłam, że doktor Reilly przygryza wargi i uśmiecha się. Poirot podniósł ręce do góry, jakby się poddawał.

— Possons! — powiedział. — Ten obcy, który tu się kręcił, jest być może ważny, a może nie jest. Trzeba go jednak znaleźć. Prowadźmy dalej dochodzenie...

Przez dłuższą chwilę jakby się wahał spoglądając po naszych twarzach, a potem szybko podjął decyzję i wskazał na pana Reitera.

— Zaczynamy, drogi przyjacielu! Niech no pan opowie wszystko na temat wczorajszego popołudnia!

Różowa, okrągła twarz Reitera oblała się purpurą.

— Ja? — spytał.

— Pan, przyjacielu. Najpierw nazwisko i wiek.

— Carl Reiter, lat dwadzieścia osiem.

— Amerykanin, tak?

— Tak, pochodzę z Chicago.

— Pierwszy raz uczestniczy pan w ekspedycji?

— Tak. Moim zadaniem jest robienie zdjęć.

— Aha. A czym się pan zajmował wczoraj po południu?

— No więc... prawie przez cały czas byłem w swojej ciemni.

— Prawie przez cały czas?

— Tak, najpierw wywoływałem klisze. Potem ustawiałem przedmioty do fotografowania.

— Na dworze?

— O nie, w pracowni obok.

— Więc ciemnia łączy się z pracownią?

— Tak.

— I nie wychodził pan wcale na dziedziniec?

— Nie.

— Więc w ogóle nie widział pan, co się dzieje na dziedzińcu?

Młody człowiek potrząsnął przecząco głową.

— Nic nie widziałem. Byłem bardzo zajęty. Słyszałem, jak przyjechał samochód. Ale dopiero gdy się uporałem ze wszystkim, wyszedłem, żeby sprawdzić, czy nie ma dla mnie listów. Wtedy właśnie dowiedziałem się...

— A kiedy dokładnie zabrał się pan do pracy?

— Za dziesięć pierwsza.

— Czy znał pan panią Leidner przed przyłączeniem się do ekspedycji?

— Nie, proszę pana. Nie widziałem jej nigdy przed przybyciem tutaj! — powiedział potrząsając przecząco głową.

— Czy coś przychodzi panu na myśl? Cokolwiek, jakiś incydent, drobny nawet, coś, co mogłoby nam pomóc?

Carl Reiter ponownie zaprzeczył.

— Chyba nic nie wiem, proszę pana!

— Pan Emmott? — spytał Poirot.

Dawid Emmott mówił przejrzyście i składnie swoim miękkim, miłym głosem:

— Od za kwadrans pierwsza do za kwadrans trzecia byłem na dziedzińcu. Nadzorowałem Abdullaha, segregowałem naczynia i od czasu do czasu wchodziłem na dach, by pomóc doktorowi Leidnerowi.

— Ile razy chodził pan na dach?

— Chyba cztery. — Na jak długo?

— Na parę minut. Ale raz, po półgodzinnym pobycie na dziedzińcu, wszedłem na górę i zostałem tam dobre dziesięć minut.

Zastanawialiśmy się z doktorem Leidnerem, co zatrzymać, a co wyrzucić.

— Rozumiem, że właśnie wtedy, po powrocie na dół, zobaczył pan, że chłopaka nie ma?

— Tak. Byłem zły. Głośno go zawołałem, zaraz się zjawił zza bramy. Poszedł plotkować z koleżkami.

— I to był jedyny raz, kiedy opuścił dziedziniec?

— No nie, parę razy wysyłałem go na dach z naczyniami. Poirot poważnym głosem zapytał:

— Chyba zbędne będzie pytanie, panie Emmott, czy widział pan kogoś, kto by w tym czasie wchodził albo wychodził z sypialni pani Leidner?

— Nie widziałem nikogo — odpowiedział bez wahania pan Emmott. — Przez dwie godziny nikt też nie pojawił się na dziedzińcu.

— I jest pan pewien, że jedynym czasem, kiedy ani pana ani chłopca nie było na dziedzińcu, pozostaje te dziesięć minut w okolicy godziny wpół do drugiej?

— Tak. Około wpół do drugiej. Dokładniej nie potrafię sprecyzować czasu.

— Czy to się zgadza z ustalonym czasem zgonu? — Poirot zwrócił się do doktora Reilly.

— Tak — odparł doktor Reilly.

Pan Poirot głośko wspaniałe, zakręcone wąsy.

— Myślę, że możemy uznać, iż panią Leidner śmierć spotkała w czasie tych dziesięciu minut — powiedział poważnie.

JEDNO Z NAS?

Na chwilę zapadła cisza. Wszystkich nas ogarnęło przerażenie. I chyba właśnie wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że doktor Reilly miał rację. Poczułam, że morderca jest wśród nas. Siedział wśród nas, słuchał. Był jednym z nas.

Być może pani Mercado pomyślała to samo. Wydała nagle krótki pisk.

— Nie mogę się opanować — załkała. — To takie potworne!

— Odwagi, Mario! — powiedział jej mąż. Wzrokiem prosił nas o wybaczenie zachowania żony.

— Ona jest bardzo uczuciowa. Wszystko tak silnie przeżywa.

— Tak... bardzo... lubiłam Luizę — załkała głośniejsz pani Mercado.

Nie wiem, czy cokolwiek z tego, co w tej chwili pomyślałam, pojawiło się na mojej twarzy, ale spostrzegłam, że pan Poirot przygląda mi się bacznie i że lekki uśmiech wygina jego usta.

Spojrzałam na niego chłodno i natychmiast powrócił do swojego przepytywania.

— Proszę mi powiedzieć, *madame* — zwrócił się do pani Mercado — jak szanowna pani spędziła wczorajsze popołudnie?

— Myłam głowę — chlupała pani Mercado. — To straszne myć głowę i nie wiedzieć, że dzieje się taka okropna rzecz. Byłam szczęśliwa, pochłonięta głupstwem.

— U siebie w pokoju?

— Tak.

— I nie opuszczała go pani?

— Dopiero kiedy usłyszałam samochód. Wtedy wyszłam i dowiedziałam się, co się stało. Och, to było straszne!

— Zdziwiło to panią?

Pani Mercado przestała łkać. Szeroko otworzyła oczy i z niechęcią spojrzała na Poirota.

— Co pan chce przez to powiedzieć, panie Poirot? Co pan imputuje...?

— Jak to, co chcę powiedzieć, *madame*? Przed chwilą pani powiedziała, że tak bardzo lubiła panią Leidner. Z tego wnoszę, że mogła się pani zwierzać.

— Ooo, rozumiem, nie... Kochana Luiza nigdy mi nic nie mówiła. To znaczy nie mówiła nic konkretnego. Oczywiście widziałam, że jest bardzo niespokojna i podenerwowana. No bo i były takie różne dziwne wydarzenia... ktoś pukał do okna i tym podobne...

— Nazywała je pani przywidzeniami — wtrąciłam nie mogąc dłużej wytrzymać w milczeniu.

Z zadowoleniem stwierdziłam, że na chwilę straciła kontenans.

Znowu poczułam na sobie spojrzenie pana Poirota i zauważyłam jego uśmieszek.

Podsumował rzeczowo wypowiedzi pani Mercado:

— A więc z tego, co wiemy, *madame*, myła pani głowę, nie widziała pani nic, nie słyszała pani nic. Czy mogłaby pani coś dodać?

Pani Mercado nawet przez moment się nie zastanawiała.

— Nie, absolutnie nic — odparła. — Jest to dla mnie jedna wielka tajemnica. Ale nie mam żadnych wątpliwości, najmniejszych wątpliwości, że morderca przyszedł z zewnątrz. Jestem tego całkowicie pewna. To logiczne.

Poirot zwrócił się do jej męża:

— A co pan ma do powiedzenia, *monsieur*?

Pan Mercado drgnął nerwowo i zaczął bezmyślnie targać swoją brodę.

— Na pewno, z całą pewnością! — powiedział. — Ale któż by jej chciał zrobić krzywdę. Taka łagodna, taka dobra, taka miła kobieta! — Potrząsnął głową. — Musiał ją zabić jakiś maniak, tak, maniak albo straszny potwór!

- A jak pan spędził wczorajsze popołudnie?
- Że co? — spojrzał nieprzytomnie Mercado.
- Byłeś w pracowni — podpowiedziała mu żona.
- A tak, rzeczywiście, tak jest, przy codziennej robocie.
- O której pan tam poszedł?

Mercado spojrzał bezradnie w kierunku żony.

— Za dziesięć pierwsza, Józefie!

— A tak, tak, za dziesięć pierwsza.

— Czy w czasie pracy wychodził pan na dziedziniec?

— Nie... Chyba nie wychodziłem. — Chwilę się zastanawiał. — Na pewno nie wychodziłem.

— Kiedy usłyszał pan o tragedii?

— Przyszła żona i powiedziała mi. Wstrząsająca wiadomość! Nie chciałem wierzyć. Nawet teraz trudno mi w to uwierzyć.

Zaczął się nagle cały trząść.

— Wstrząsające, wstrząsające... — powtarzał. Pani Mercado szybko do niego podeszła.

— Oczywiście, Józefie. Wszyscy tak uważamy. Ale nie wolno się poddawać. To tylko pogorszy stan doktora Leidnera...

Przez twarz Leidnera przemknął spazm bólu. Pomyślałam sobie, że w tej histerycznej atmosferze nie jest mu łatwo uspokoić się. Spojrzał z ukosa na Poirota, jakby w niemym apelu. Detektyw szybko zareagował:

— *Mademoiselle* Johnson?

— Nie mam wiele do powiedzenia — odparła panna Johnson. Jej kulturalny głos zabrzmiał kojąco po histerycznym dyszkancie pani Mercado. — Pracowałam w dziennym pokoju robiąc w plastelinie odciski cylindrycznych pieczęci.

— Nic pani nie widziała, nic nie zauważyła?

— Nie. i Poirot obrzucił ją krótkim spojrzeniem. Jego ucho wychwyciło to samo co i moje — leciutkie wahanie.

— Jest pani pewna, *mademoiselle*? Czy jest coś, co nie daje pani spokoju?

— Nie, nie, chyba nie... i

— Coś, co pani dostrzegła, powiedzmy kątem oka, nie zdając j sobie z tego nawet sprawy?

— Nie, z pewnością nie — odparła zdecydowanie.

— Może więc jakiś odgłos? Coś, co pani usłyszała? Coś, czego nawet pani nie jest zupełnie pewna?

Panna Johnson krótko zachichotała.

— Bardzo pan natarcywy, panie Poirot. Zmusza mnie pan do j napomknięcia o czymś, co być może jedynie sobie wyimaginowałam...

— A więc było coś wyimaginowanego, *mademoiselle*? Panna Johnson, ważąc każde słowo, powiedziała...

— Tak, właśnie, wydawało mi się, że usłyszałam po południu j jakiś krótki krzyk... To znaczy, że chcę powiedzieć, że... Tak, J krótki krzyk... Okna dziennego pokoju były otwarte. Wtedy często słyhać nawet ludzi, którzy pracują na polach... I myślałam, że to na polu. Ale potem, jak się dowiedziałam o pani Leidner, pomyślałam, że to mogła być ona... Bardzo się przejęłam tą myślą, bo gdybym wtedy pobiegła do jej pokoju, to kto wie, może bym zdążyła. Więc gryzło mnie to, że tak późno o tym pomyślałam...

Zainterweniował doktor Reilly:

— Niech pani nie ma wyrzutów sumienia, panno Johnson. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że pani Leidner (wybacz mi, Leidner, że o tym mówię) otrzymała cios natychmiast, gdy napastnik wszedł do jej pokoju. I ten jeden cios ją zabił. Nie było drugiego. Gdyby ten pierwszy był słabszy, zaczęłaby wołać o pomoc i wszyscy by pośpieszyli...

— Ale mogłabym nakryć mordercę — upierała się panna Johnson.
— O której to było godzinie, *mademoiselle*? — spytał Poirot. — Blisko wpół do drugiej?
— Tak, chyba właśnie o tej porze. Tak. — Chwilę się zastanawiała. — Na pewno tak.
— To by się zgadzało — stwierdził Poirot. — I nic więcej pani nie słyszała? Na przykład otwierania czy zamykania drzwi?

Panna Johnson przecząco potrząsnęła głową.

— Nic takiego sobie nie przypominam.

— Zakładam, że siedziała pani przy stole. W jakim kierunku była pani zwrócona? Ku dziedzińcowi? Ku werandzie? A może w stronę pól?

— W stronę dziedzińca.

— Czy z tego miejsca mogła pani widzieć chłopca Abdullaha, jak czyścił naczynia?

— O tak, gdybym podniosła głowę. Ale byłam pochłonięta pracą i całą uwagę skupiłam na niej.

— Ale jeśliby ktoś pod oknem przechodził, to by pani widziała?

— O tak, jestem prawie pewna.

— Nikt nie przechodził?

— Nie.

— A jeśliby ktoś szedł nie za blisko okna, tylko przez środek dziedzińca? Zauważyłaby pani?

— Myślę, że... chyba nie... No owszem, gdybym akurat patrzyła przez okno.

— Widziała pani, kiedy Abdullah, ten chłopiec, odszedł od pracy, żeby porozmawiać z kolegami?

— Nie.

— Dziesięć minut! — zamyślił się Poirot. — Fatalne dziesięć minut.

Na chwilę zapanowała cisza.

Panna Johnson podniosła nagle głowę i powiedziała:

— Wie pan co, panie Poirot? Chyba bezwiednie wprowadziłam pana w błąd. Jeszcze raz się zastanowiwszy dochodzę do wniosku, że nie mogłam z miejsca, w którym siedziałam, usłyszeć krzyku dochodzącego z pokoju pani Leidner. Między jej sypialnią a pokojem dziennym znajduje się jeszcze magazyn wykopalisk, a z tego, co słyszałam, okna u pani Leidner były zamknięte.

— Proszę się nie frasować, *chere mademoiselle* — powiedział uprzejmie Poirot. — To nie ma wielkiego znaczenia.

— Nie, oczywiście, że nie. Po prostu ma znaczenie dla mnie, bo pomyślałam, że może mogłabym była coś zrobić...

— Nie dręcz się tym, droga Anno — odezwał się ciepło doktor Leidner. — Bądź rozsądna. To, co usłyszała, to były pewno arabskie kłótnie gdzieś na polu.

Panna Johnson aż poczerwieniała słysząc życzliwość przebijającą w jego głosie. Do oczu napłynęły jej łzy. Odwróciła głowę i odparła bardziej burkliwie, niż to było w jej zwyczaju:

— Być może. Tak bywa pod wpływem silnych emocji. Człowiek zaczyna widzieć i słyszeć rzeczy, których nie było...

Poirot ponownie zagłębił się w swoje notatki.

— Chyba ten temat całkowicie wyczerpaliśmy. Teraz pan Carey!

Ryszard Carey zaczął mówić bardzo powoli i nieco sztucznie:

— Obawiam się, że nie wniosę nic interesującego. Przez cały czas byłem przy wykopalisku nadzorując robotników. Tam przyniesiono mi wiadomość o tragedii.

— A może pan wie coś albo domyśla się czegoś? Coś, co wydarzyło się w dniach przed morderstwem?

— Zupełnie nic.

— Pan Coleman?

— Mnie przy tym wszystkim nie było! — odparł młody Coleman, z ledwo dostrzegalną nutką żalu. — Wczoraj rano pojechałem do Hassanieh, żeby pobrać pieniądze na wypłaty dla ludzi. Kiedy wróciłem, Emmott powiedział mi, co się wydarzyło, i zaraz wróciłem do Hassanieh po doktora Reilly i po policję.

— A wcześniej?

— Jakby tu powiedzieć, proszę pana? Nerwowo było. Ale to już pan wie. Był ten alarm w związku z magazynkiem. Światło, stukanie. A jeszcze przedtem twarze w oknie, pukanie w szyby, prawda, panie doktorze? — zwrócił się do doktora Leidnera, który skinął tylko głową. — Ja myślę, proszę pana, że szybko dojdzie pan do wniosku, że jakiś spryciarz jednak przedostał się z zewnątrz. Musiał to być chytry typ.

Chyba przez dwie minuty Poirot przyglądał się panu Colemanowi nic nie mówiąc.

— Pan jest Anglikiem, panie Coleman? — zapytał wreszcie.

— Tak jest, sir! Stuprocentowy Brytyjczyk. Mogę panu pokazać znak fabryczny. Gwarantowany, autentyczny!

— Jest pan tu po raz pierwszy?

— Zgadza się.

— Archeologia to pańska pasja?

Pytanie wyraźnie wprawiło pana Colemana w lekkie zakłopotanie. Zaczerwienił się i jak przestraszony uczeń rzucił wzrokiem na doktora Leidnera.

— Archeologia, oczywiście, rzecz interesująca — wyjąkał. — To znaczy, chciałem powiedzieć, że za mądry to ja nie jestem, ale... — urwał nie mając nic więcej do powiedzenia.

Poirot dalej nie nalegał. W zamyśleniu stukał końcem ołówka o blat stołu i pieczołowicie poprawiał stojący przed nim kałamarz.

— Wygląda na to — powiedział — że dalej to my chwilowo nigdzie nie dojdziemy. Jeśli ktoś coś sobie przypomni, to bez wahania proszę do mnie przyjść. A teraz dobrze byłoby, gdybym mógł na osobności zamienić parę słów z doktorem Leidnerem i doktorem Reilly.

Był to sygnał do zakończenia przesłuchania. Wszyscy wstaliśmy i wyszliśmy z jadam. Byłam właśnie w drzwiach, kiedy usłyszałam wzywający mnie głos pana Poirota.

— Może i siostra Leatheran będzie na tyle łaskawa, by z nami zostać. Myślę, że jej pomoc okaże się dla nas cenna.

Wróciłam więc do stołu i usiadłam.

POIROT SKŁADA PROPOZYCJĘ

Doktor Reilly wstał z krzesła i kiedy już wszyscy wyszli, starannie zaniknął drzwi. Następnie, otrzymawszy znak od Poirota, pozamykał kolejno wszystkie okna wychodzące na pola. Pozostałe były zamknięte przez cały czas. Wreszcie ponownie zajął miejsce przy stole.

— *Bien!* — powiedział Poirot. — Jesteśmy teraz sami i nikt nam nie przeszkodzi. Mówić możemy swobodnie. Słyszeliśmy, co nam mieli do powiedzenia członkowie ekspedycji, no i... Właśnie, *Ma soeur*, co siostra myśli?

Zaczerwieniłam się. Trzeba przyznać, że ten człowiek używający słów w przedziwny sposób miał bystry wzrok. Potrafił dostrzec, jak biegną moje myśli. Wiele z nich odbiło się zapewne na mej twarzy.

— To nic takiego... — powiedziałam z wahaniem.

— Proszę, proszę, siostro! — odezwał się doktor Reilly — Niech pani nie każe długo czekać naszemu ekspertowi!

— Kiedy to naprawdę zupełnie głupstwo — odparłam szybko — ale przemknęło mi przez głowę, jeśli wolno mi się tak wyrazić, że jeśli nawet ktoś coś wiedział, czy wie, albo podejrzewa, to nie powie nic przy innych. A nawet przy samym doktorze Leidnerze.

Ku mojemu zdziwieniu pan Poirot pokiwał głową z głęboką aprobatą.

— Właśnie! Właśnie! Jest dokładnie tak, jak to siostra powiedziała. Ale wyjaśniam. Zebranie, które właśnie zakończyliśmy, spełniło swój cel. W Anglii jest taki zwyczaj, że przed wyścigami paraduje się konie, tak? Konie idą przed trybuną, żeby każdy miał okazję zobaczyć i ocenić. I taki był cel naszego zebrania. Jak to mówią sportowcy: wybieranie faworytów.

Nagle wyrwał się doktor Leidner:

— Nie wierzę ani przez moment — niemalże wykrzyknął — że którykolwiek z członków ekspedycji mógłby być w to zamieszany.

Co powiedziawszy, obrócił się ku mnie i powiedział tonem nakazu:

— Siostro, będę bardzo zobowiązany, jeśli siostra dokładnie powtórzy panu Poirot treść rozmowy, jaką siostra przed dwoma dniami odbyła z moją żoną!

W ten oto sposób skłoniona do zabrania głosu, nie zwlekając zaczęłam opowiadać usiłując jak najdokładniej powtarzać słowa i zdania użyte przez panią Leidner.

Kiedy skończyłam, pan Poirot mnie pochwalił:

— Bardzo dobrze! Bardzo dobrze. Umysł uporządkowany. Będzie mi siostra wielką pomocą!

— Czy ma pan te listy? — zwrócił się do doktora Leidnera.

— Są tutaj. Przyniosłem sądząc, że pan będzie chciał je zobaczyć.

Poirot wziął listy, przeczytał przyglądając się jednocześnie pismu i kartkom. Byłam raczej rozczarowana, że nie posypuje papieru jakimś proszkiem, czy coś w tym rodzaju, albo że nie ogląda ich przez lupę, ale zdałam sobie sprawę, że Poirot jest już niemłodym człowiekiem i pewno stosuje staroświeckie metody. Po prostu przeczytał listy tak, jakby to uczynił każdy z nas.

Skończywszy, odłożył je i odchrząknął.

— A teraz — zaczął — przystąpimy do układania faktów jeden po drugim! Pierwsze listy żona pańska otrzymała w Ameryce zaraz po ślubie z panem. Było ich jeszcze więcej, ale je zniszczyła. Po pierwszym liście przyszedł następny. Wkrótce po nim oboje prawie zostaliście zatruci gazem. Wtedy wyjechaliście za granicę i przez prawie dwa lata nie ma żadnych listów! Listy zaczynają się tutaj w tym roku. W ciągu ostatnich trzech tygodni! Tak było?

— Dokładnie tak.

— Pańska żona zdradza objawy lęku. Jest w panice. Po konsultacji z doktorem Reilly angażuje pan siostrę Leatheran, żeby opiekowała się żoną i łagodziła jej obawy. Tak było?

— Tak.

— Zdarzają się różne incydenty. Pukanie do okna, twarz zjawy, odgłosy z magazynu. Nie był pan świadkiem żadnego z tych fenomenów?

— Nie.

— Tylko pani Leidner?

— Ojciec Lavigny też widział światło w magazynie.

— Tak. Nie zapomniałem o tym.

Przez parę minut Poirot siedział pogrążony w myślach. Potem spytał:

— Czy pańska żona zostawiła testament?

— Wątpię.

— A dlaczego nie?

— Uważała, że to nie ma sensu.

— Czy nie była kobietą... zamożną?

— Za życia tak. Ojciec pozostawił jej sporą sumę w formie funduszu powierniczego. Samego funduszu nie miała prawa tknąć. Z chwilą śmierci miał przejść na jej dzieci. Gdyby ich nie miała, na rzecz muzeum w Pittstown.

Poirot w zamyśleniu bębnił palcami po stole.

— Można więc — oświadczył — wyeliminować jeden motyw. Rozumie chyba każdy, że najpierw szukam motywu. Kto korzysta ze śmierci zamordowanej osoby? W tym wypadku muzeum. Gdyby było inaczej, gdyby pani Leidner umarła bez testamentu, ale z fortuną, miałbym bardzo interesujący problem do rozwiązania: kto dziedziczyłby ową fortunę. Pan, doktorze Leidner, czy poprzedni mąż? Ale wówczas powstałby inny problem. Były mąż musiałby najpierw zmartwychwstać, by zgłosić roszczenie, a wtedy, *voilà*: groźba, że go aresztują za dawne przewinienia. Chociaż wątpię czy po tylu latach wymierzono by mu karę śmierci, prawda? Jednakże zbędne spekulacje, bo sprawa pieniędzy jest już wyjaśniona. Mój kolejny krok to podejrzewać małżonka zmarłej osoby. W tym wypadku po pierwsze, jest pan czysty, bo dowody wskazują, że po południu wczoraj nie było pana w pobliżu pokoju żony. A po drugie, raczej pan traci niż zyskuje na jej zgonie. Po trzecie...

— Co po trzecie? — spytał doktor Leidner.

— Po trzecie potrafię dostrzec... jak się mówi? Przywiązanie! Miłość do żony była też pana pasją, doktorze. Oprócz wykopalisk. Prawda, że tak było?

Doktor Leidner odpowiedział jednym słowem „tak”.

Poirot skinął głową.

— Wobec tego, możemy iść dalej! — obwieścił z powagą.

— Popieram ten zamiar! Zabierzmy się do rzeczy — odezwał się doktor Reilly ze zniecierpliwieniem.

Poirot spojrział na niego karcąco.

— Proszę nie pośpieszać, przyjacielu. W takiej sprawie najważniejszy jest porządek i metoda. Mam lepsze słowo: ład! Nawet w mniejszych sprawach muszę mieć ład i metodę. Pewne rzeczy już wykluczone, teraz zbliżamy się do ważnego punktu. Teraz jest istotne, żeby, jak wy to mówicie, wszystkie karty znalazły się na stole. Nic nie może być schowane.

— Zgadzam się. Karty na stół! — wykrzyknął doktor Reilly.

— Dlatego żądam całej prawdy! — dokończył pan Poirot. Doktor Leidner spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Zapewniam pana, panie Poirot, że niczego przed panem nie ukryłem. Powiedziałem wszystko, co wiem. Niczego nie zatałem.

— *Tout de meme*, nie powiedział mi pan wszystkiego!

— Powiedziałem! Nie przypominam sobie najmniejszego szczegółu, który bym opuścił!
— doktor Leidner wyglądał na całkowicie zdezorientowanego.

Poirot z wyrozumiałością pokręcił głową.

— Nie, nie wszystko pan powiedział. Nie powiedział mi pan, na przykład, dlaczego ściągnął pan tu siostrę Leatheran.

Doktor Leidner wydawał się jeszcze bardziej zdezorientowany.

— Przecież już to wyjaśniłem! Sprawa jest oczywista! Zdenerwowanie mojej żony, jej nieustanne lęki...

Poirot pochylił się do przodu. Wolno i dobitnie pogroził doktorowi palcem.

— Nie, nie, nie! Jest w tym coś niejasnego. Pana żonie coś grozi. Tak, grozi jej śmierć. Pan nie posyła po policję, nie po prywatnego detektywa, ale po pielęgniarkę! To nie ma najmniejszego sensu!

— Ja... ja... — zaczął doktor Leidner i utknął. Na policzki wystąpiły mu wypieki. — Ja myślałem... — i znów zamilkł.

— Nareszcie się zbliżamy! I co dalej? — zachęcał go Poirot. — Myślał pan, że co?

Doktor Leidner nadal milczał. Widać było, że jest zmieszany.

— Bo widzi pan — ciągnął Poirot tonem niemalże apelującym o zwierzenia — wszystko się zgadza w tym, co pan mi powiedział, z wyjątkiem tej jednej rzeczy. Dlaczego posłał pan właśnie po pielęgniarkę? Na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź: pan nie wierzył, że pańska żona jest w niebezpieczeństwie!

I w tym momencie doktor Leidner załamał się.

— Niech mi Bóg wybaczy! — załkał. — Nie uwierzyłem jej! Nie uwierzyłem!

Poirot przyglądał mu się wzrokiem kota czatującego przy mysiej dziurze.

— A co pan w takim razie myślał? — spytał.

— Sam nie wiem. Zupełnie nie wiem...

— Nieprawda! Pan dobrze wie! Może pomogę panu zgadując. Czy przypadkiem nie przypuszczał pan, doktorze Leidner, że te listy żona pisała sama do siebie?

Nie było potrzeby słyszeć odpowiedzi doktora Leidnera. Wyraz jego twarzy potwierdzał przypuszczenia Herkulesa Poirota.

A dłoń, którą w przerażeniu podniósł, jakby chciał błagać o wybaczenie, dopowiadała resztę.

Wstrzymałam oddech. A więc nie myliłam się. Przypomniałam sobie ów dziwny ton, jaki pojawił się w głosie doktora Leidnera, kiedy mnie pytał, co ja o tym wszystkim sądzę. W zamyśleniu kiwałam głową i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że pan Poirot skierował na mnie wzrok.

— Czy siostra to samo podejrzewała?

— Taka myśl przemknęła mi przez głowę — przytaknęłam.

— Dlaczego?

Powiedziałam mu o podobieństwie pisma pani Leidner na liście oddanym do wysłania panu Colemanowi. Poirot zwrócił się do doktora Leidnera:

— Czy pan również zauważył to podobieństwo? Doktor Leidner skinął głową.

— Tak. Pismo na anonimowych listach było mniejsze i bardziej gęste, ale niektóre litery były bardzo do siebie podobne. Zaraz panu pokażę...

Z wewnętrznej kieszeni marynarki doktor Leidner wyjął kilka listów i wybrawszy jeden podał go panu Poirotowi. Była to kartka z listu od żony. Poirot uważnie porównał ów list z anonimami na stole.

— Mh, tak! — mruknął. — W istocie. Wiele podobieństw. Specyficzny sposób pisania litery s, n, o i e. Nie jestem grafologiem. Definitywnie nic nie mogę powiedzieć. A tak przy okazji wspomnę, że nie spotkałem dwu ekspertów od pisma, którzy mieliby to samo zdanie. Jedno widzę: istnieje duże podobieństwo obu charakterów. Jest rzeczą możliwą, że pochodzą

spod jednej ręki. Pewności jednak nie ma. Musimy, jak to się mówi, wziąć wszystko pod rozwagę — pan Poirot usiadł wygodnie w krześle i zamyślił się. — Są trzy możliwości. Pierwsza: podobieństwo obu charakterów jest czysto przypadkowe. Druga: listy z groźbami pisane były z nieznanymi nam powodów przez samą panią Leidner. Trzecia możliwość jest taka, że pogróżki wysyłał ktoś, kto świadomie naśladował pismo pani Leidner! W jakim celu? Pozornie nie ma to sensu. Jedna z trzech możliwości jest prawdziwa.

Zastanawiał się przez parę minut, a następnie zwrócił się z pytaniem do doktora Leidnera:

— Gdy po raz pierwszy pomyślał pan, doktorze, że to żona sama pisze do siebie te listy, co panu przyszło do głowy?

Doktor Leidner potrząsnął głową.

— Pomyślałem, że to absurdalne.

— Nie szukał pan wyjaśnienia?

— Sądziłem, że być może ciągle przeżywanie przeszłości lekko ją... spowodowało pewne zakłócenia... w psychice. Że może pisała te listy do siebie nie będąc nawet świadoma swych działań. Taka rzecz jest możliwa, prawda? — zwrócił się z pytaniem do doktora Reilly.

Doktor Reilly wyduł wargi.

— Ludzki umysł jest zdolny do wszystkiego — odparł wymijająco. I spojrzął jednocześnie znacząco na Poirota, który zrozumiałszy ostrzeżenie natychmiast zmienił temat.

— Te listy to sprawa interesująca, ale na problem trzeba patrzeć globalnie. Są trzy możliwe wyjaśnienia...

— Trzy? — spytał doktor Leidner.

— Tak, trzy. Pierwsze najprostsze: pierwszy mąż pańskiej żony nadal żyje. Najpierw jej grozi, a potem spełnia groźbę. Jeśli przyjmujemy to rozwiązanie, to pozostaje nam tylko dowiedzieć się, jak się tu dostał i później wydostał. Rozwiązanie drugie jest bardziej skomplikowane — kontynuował pan Poirot. — Pani Leidner z niewiadomych powodów (bardziej zrozumiałych dla lekarza niż detektywa) pisze sama listy z pogróżkami. Cała ta historia z gazem jest przez nią wyreżyserowana. Przecież to ona pana obudziła mówiąc, że czuje gaz! Ale jeśli pani Leidner sama do siebie pisała listy, to przecież nic jej nie groziło od domniemanego ich autora! W takiej sytuacji gdzie indziej należy szukać mordercy! Musimy go odnaleźć wśród członków ekspedycji i personelu. Niestety — odparł w odpowiedzi na jęk protestu ze strony doktora Leidnera. — To jest jedyne logiczne rozwiązanie! Ktoś ją zabił powodowany gwałtowną nienawiścią. Osoba ta była najprawdopodobniej świadoma istnienia listów, a w każdym razie była świadoma lęków pani Leidner i jej obaw. W opinii mordercy ten fakt ubezpieczał mordercę. Można było liczyć, że winą zostanie obarczony nieznaną autor listów. Osoba z zewnątrz.

I wariant drugiego rozwiązania — ciągnął Poirot. — Autorem listów był morderca, który poznał przeszłość pani Leidner. Ale jeśli przyjmujemy taką ewentualność, taką wersję wypadków, to nadal pozostaje niejasne, po co kopiował charakter pisma pani Leidner? Pozornie wydaje się, że z korzyścią dla mordercy jest sprawienie wrażenia, że listy pisał ktoś obcy.

W moim przekonaniu najbardziej interesujący jest wariant trzeci — mówił Herkules Poirot. — Zakładam, że listy z groźbami są autentyczne. Zostały napisane przez pierwszego męża pani Leidner albo jego młodszego brata. A ich autor jest członkiem ekspedycji.

PODEJRZANI

Doktor Leidner zerwał się na równe nogi.

— Niemożliwe! Absurdalne. Całkowity nonsens! Poirot spokojnie mu się przyglądał nic nie mówiąc.

— Chce pan powiedzieć, panie Poirot, że były mąż mojej żony jest członkiem ekspedycji, a ona go nie poznała?

— Właśnie! Zastanówmy się nad faktami. Przed piętnastu laty pańska żona żyła z tym człowiekiem przez kilka miesięcy. Czy po takim czasie mogłaby go rozpoznać? Myślę, że nie. Twarz ma zmienioną. Sylwetkę również. Głos mógł pozostać ten sam, chociaż to jest szczegół, który on sam potrafiłby, jak to się mówi, zamaskować. I jeszcze jedno: ona się go nie spodziewa w najbliższym otoczeniu! Wyobrażała go sobie jako groźbę z zewnątrz! Jako kogoś obcego. Ja nie sądzę, aby mogła go poznać. I jeszcze druga możliwość: młodszy brat. Wówczas dziecko, i to bardzo oddane swojemu starszemu bratu. Ale dziecko stało się mężczyzną! Czy pani Leidner mogła rozpoznać w mężczyźnie koło trzydziestki parunastoletniego chłopca? Tak, nie wolno zapominać o młodym Willamie Bosnerze. I trzeba pamiętać, że brat w jego oczach nie jest zdrajcą, ale prawdopodobnie patriotą, męczennikiem i bohaterem swojego narodu, niemieckiego. W jego pojęciu zdrajczynią jest pani Leidner, potworem, który posłał brata na śmierć. Wrażliwy chłopiec zdolny jest fanatycznie uwielbiać bohatera, zwłaszcza gdy bohaterem jest jego własny brat. Młody umysł może łatwo ulec obsesji.

— Święta prawda! — potwierdził doktor Reilly. — Istnieje popularne przekonanie, że dzieci łatwo zapominają. To nieprawda. Wielu ludzi zostaje na całe życie naznaczonych przeżyciami dzieciństwa.

— Bien. Tak oto pozostały nam dwie możliwości. Fryderyk Bosner, mężczyzna, jeśliby żył, blisko pięćdziesiątki, oraz Wiliam Bosner, który miałby obecnie około trzydziestu lat. Zajmijmy się teraz członkami pańskiej ekspedycji właśnie pod tym kątem.

— Nieprawdopodobne! — mruknął doktor Leidner. — Moi ludzie! Członkowie mojej własnej ekspedycji!

— Czy dlatego mieliby być poza wszelkimi podejrzeniami? — spytał sucho pan Poirot. — Byłby to bardzo wygodny punkt widzenia. *Commencons!* Kto na pewno nie jest Fryderykiem lub Wiliamem?

— Kobiety!

— Oczywiście. Możemy skreślić pannę Johnson i panią Mercado. Kogo jeszcze?

— Careya! Pracowaliśmy razem wiele lat przedtem, nim poznałem Luizę.

— Poza tym ma niewłaściwy wiek. Powiedziałbym trzydzieści osiem lat? Za młody na Fryderyka, za stary na Wiliama. Teraz pozostali. Mamy ojca Lavigny i pana Mercado. Każdy z nich mógłby być Fryderykiem Bosnerem...

— Ależ mój drogi panie! — wykrzyknął doktor Leidner głosem na pół rozbawionym, na pół zirytowanym. — Ojciec Lavigny jest znany na całym świecie jako wybitny epigrafista i kryptograf, zaś Mercado od bardzo wielu lat pracuje w znanym nowojorskim muzeum. To po prostu niemożliwe, by któryś z nich ukrywał swą tożsamość.

Poirot lekceważąco machnął ręką.

— Niemożliwe! Niemożliwe! To słowo dla mnie nie istnieje. Im coś jest bardziej niemożliwe, tym wnikliwiej należy je zbadać. Ale pozostawmy to na chwilę. Kto nam jeszcze pozostał? Pan Carl Reiter, młody człowiek o niemieckim nazwisku, i Dawid Emmott...

— ... Który jeździ ze mną od dwu lat, proszę o tym pamiętać.

— Ale to młody człowiek obdarzony darem cierpliwości. Jeśli to on miałby popełnić zbrodnię, nie spieszyłby się. Wszystko! musiałyby przygotować w najdrobniejszych szczegółach.

Doktor Leidner wykonał gest rezygnacji.

— I na koniec pozostał pan Wiliam Coleman.

— To przecież Anglik — wtrącił doktor Leidner.

— *Pourquoi pas?* Czyż pani Leidner nie powiedziała, że chłó piec wyjechał z Ameryki i ślad po nim zaginał? Mógł zostać wychowany w Anglii.

— Pan ma na wszystko gotową odpowiedź — stwierdził doktor Leidner.

Zastanowiło mnie to, co powiedział o Colemanie. Od początku myślałam sobie, że on zachowuje się bardziej jak osoba z książki pana P. G. Wodehouse'a niż jak prawdziwy Anglik z krwi i kości. Czyżby grał?

Poirot coś pisał w swoim notesiku.

— Postępujemy, jak nakazuje ład i metoda — oświadczył. — W pierwszym przypadku mamy dwa nazwiska. Ojciec Lavigny i pan Mercado. W drugim trzy: Reiter, Emmott, Coleman. A teraz przeciwległy aspekt całej sprawy. Środki i okazja. Kto pośród członków ekspedycji miał środki i okazję popełnienia zbrodni? Carey był przy wykopalisku. Coleman w Hassanieh, pan, doktorze, na dachu. To nam pozostawia do dyspozycji ojca Lavigny, pana Mercado, panią Mercado, Dawida Emmotta, Carla Reitera, pannę Johnson i siostrę Leatheran.

— Ooo! — nie mogłam się powstrzymać.

Pan Poirot spojrzał na mnie oczami, w których tliły się iskierki rozbawienia.

— Tak jest, *Ma soeur*, obawiam się, że musimy włączyć tutaj i siostrę. Siostra bez najmniejszych trudności mogłaby wejść do pokoju pani Leidner i zabić ją w czasie, kiedy na dziedzińcu nikogo nie było. Siostra jest muskularna, silna, a pani Leidner niczego by się nie spodziewała do chwili zadania ciosu.

Byłam tak zdenerwowana, że nie mogłam wydobyć głosu. Zauważyłam, że doktor Reilly jest niezwykle rozbawiony.

— Byłaby to całkiem interesująca historyjka. Pielęgniarka, która jednego po drugim zabija swoich pacjentów — mruknął.

Chwilowo rzuciłam mu spojrzenie, które zabija. Myśli doktora Leidnera pobiegły innym torem.

— Emmott odpada, panie Poirot. Nie może pan w to włączyć Emmotta — zaprotestował. — Podczas tych dziesięciu tragicznych minut był ze mną na dachu.

— Niemniej go nie skreślamy. Mógł zejść z dachu, pójść prosto do pokoju pani Leidner, zabić ją i wtedy dopiero zawołać Abdullaha. Mógł ją też zabić wtedy, kiedy wysłał chłopaka na górę!

Doktor Leidner potrząsnął głową.

— Co za koszmar! To wszystko wydaje się wprost niewiarygodne.

Ku mojemu zdziwieniu Poirot z tym się zgodził.

— Tak, to prawda! Niewiarygodna historia! Nieczęsto się taką spotyka. Zwykle morderstwo jest nikczemne i proste. Ale to jest niezwykle morderstwo... Podejrzewam, doktorze Leidner, że pańska żona była niezwykle kobietą.

Trafił w dziesiątkę. Aż skoczyłam z wrażenia.

— Czy to prawda, siostrze? — spytał mnie. Doktor Leidner powiedział zmęczonym głosem:

— Niech mu siostra powie, jaka była Luiza. Siostra jest osobą bezstronną, z zewnątrz.

— Wspaniała kobieta! — powiedziała szczerze. — Trudno było jej nie podziwiać. Miało się ochotę wszystko dla niej zrobić. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego.

— Dziękuję — odparł doktor Leidner i uśmiechnął się do mnie.

— Bardzo wartościowe świadectwo od osoby z zewnątrz — powiedział grzecznie pan Poirot. — Idźmy dalej. Pod nagłówkiem środki i okazja mamy siedem nazwisk. Siostra Leatheran, *mademoiselle* Johnson, pani Mercado, pan Mercado, pan Reiter, pan Emmott i ojciec Lavigny. — Ponownie odchrząknął.

Zawsze uderzało mnie, że cudzoziemcy oprócz kaleczenia języka angielskiego wydają dodatkowo przedziwne dźwięki.

— Założyć nam teraz okazja przychodzi — powiedział pan Poirot jakby na potwierdzenie moich zastrzeżeń co do błędów popełnianych przez cudzoziemców — że nasze trzecie rozwiązanie ma miejsce. To znaczy mordercą jest albo Fryderyk albo Wiliam Bosner i że któryś z nich jest członkiem ekspedycji. Porównując obie listy, możemy liczbę podejrzanych ograniczyć do czterech. Ojciec Lavigny, pan Mercado, Carl Reiter i Dawid Emmott.

— Należy wykluczyć Lavigny — odezwał się doktor Leidner — To jeden z białych ojców z Kartaginy.

— I jego broda jest prawdziwa — dodałam.

— *Ma soeur* — zwrócił się do mnie Poirot. — Morderca pierwszej kategorii nigdy nie nosi fałszywej brody.

— A skąd pan wie, że mamy do czynienia z mordercą pierwszej kategorii? — zaprotestowałam.

— Bo jeśliby nim nie był, to cała sprawa byłaby jasna dla mnie, Herkulesa Poirot, już teraz a nie jest.

Co za straszna zarozumiałość, pomyślałam wtedy.

— A w każdym razie — powróciłam do tematu brody — jej zapuszczenie musiało trwać bardzo długo.

— Poprawny wniosek — stwierdził Poirot.

— To jest śmieszne, ale to zupełnie śmieszne! — z irytacją wyrwało się doktorowi Leidnerowi. — Zarówno ojciec Lavigny, jak i pan Mercado to od lat znane postacie w sferach naukowych.

— Nie patrzy pan, panie doktorze, na całość obrazu — zwrócił się ku niemu Poirot. — Nie dostrzega pan więc istoty rzeczy. Jeśli Fryderyk Bosner żyje, to przecież coś musiał robić przez te minione lata! Musiał przyjąć inne nazwisko. Stworzyć nową osobowość. Pracować.

— Jako ojciec biały? — spytał sarkastycznie doktor Reilly.

— To może wydać się fantastyczne — przyznał pan Poirot. — Ale nie możemy, jakby to powiedzieć, wyrzucić ojca Lavigny z naszego podwórka. Poza tym są inni podejrzani...

— Młodzi, co? — odezwał się Reilly. — Jeśli chce pan usłyszeć moją opinię, to spośród wszystkich dostrzegam tylko jednego prawdopodobnego przestępcę...

— A kogóż to?

— Młodego Reitera. Właściwie to nic przeciwko niemu nie mam, ale gdy się człowiek zaczyna przyglądać, to nagle dostrzega kilka spraw. A mianowicie: odpowiedni wiek, niemieckie nazwisko, a w dodatku jest tutaj po raz pierwszy i miał okazję! Musiałby tylko na chwilę wyskoczyć z tej swojej ciemni, przebiec przez dziedziniec, wykonać brudną robotę i wrócić, póki nikogo nie było na podwórzu. A gdyby w tym czasie ktoś zajrzał do pracowni fotograficznej i nie zastał go, to Reiter tłumaczyłby się potem, że właśnie był w ciemni i nic nie słyszał.

Pan Poirot nie wydawał się bardzo przekonany. Poważnie, ale z powątpiewaniem pokiwał głową.

— Tak — odparł — to wygląda prawdopodobnie, ale sprawa nie jest taka zupełnie prosta. — Następnie dodał: — Chwilowo zakończmy rozważania. A teraz chciałbym, jeśli można, obejrzeć pokój, w którym dokonano zbrodni.

— Oczywiście — odparł doktor Leidner i zaczął grzebać po kieszeniach, a potem spojrzął na doktora Reilly.

— Kapitan Maitland zabrał klucz?
— Maitland mi go oddał — odparł Reilly. — Musiał jechać w tych kurdyjskich sprawach.
— Wyjął z kieszeni klucz.
— Czy pan pozwoli, że ja nie... — zaczął z wahaniem doktor Leidner. — Może siostra Leatheran z panem pójdzie?
— Oczywiście, naturalnie! — zgodził się szybko Poirot. — Bardzo dobrze pana rozumiem. W żadnym razie nie chcę przysparzać panu bólu. Jeśli mogę prosić, *Ma soeur!*

PLAMA PRZY UMYWALCE

Ciało pani Leidner zabrano wcześniej do Hassanieh w celu dokonania sekcji. W pokoju niczego nie ruszano. Zresztą znajdowało się tam tak niewiele sprzętów, że policja bardzo szybko go przeszukała.

Na prawo od drzwi stało łóżko. Na wprost drzwi znajdowały się dwa zakratowane okna wychodzące na pola. Przestrzeń między nimi zajmował prosty dębowy stół z dwiema szufladami. Służył on pani Leidner za toaletkę. Na ścianie wschodniej wisiały na hakach płócienne worki-pokrowce z sukniami oraz stała komoda z sosnowego drewna. Tuż koło drzwi na lewo była umywalka. Pośrodku pokoju królował spory dębowy stół, na nim suszka, kałamarz i teczka. W tej właśnie niedużej teczce pani Leidner przechowywała anonimowe listy. Krótkie zasłony na okna zrobione były z jakiejś ludowej tkaniny — białej w pomarańczowe pasy. Podłoga była kamienna. Leżało na niej kilka futrzaków z kozich skór. Trzy mniejsze pstrokate z biało-brunatnymi plamami, pod oknami i pod umywalką, oraz jeden większy, w znacznie lepszym gatunku, uszyty z biało-brązowych pasów, między łóżkiem a stołem pośrodku pokoju.

Nie było tu wnęki, szaf ani zasłon do ziemi, żadnego miejsca, gdzie można by się schować. Najzwyklejsze żelazne łóżko, przykryte bawełnianą narzutą. Jedyne luksus stanowiły trzy puchowe poduszki. Tylko w pokoju pani Leidner były takie poduszki.

W paru krótkich słowach doktor Reilly wyjaśnił, gdzie znaleziono ciało. Luiza leżała skulona na koziej skórze obok łóżka. Aby lepiej zilustrować swoje słowa, skinął na mnie.

— Siostra pozwoli, dobrze? — wskazał skórę.

Nie jestem przeczulona, więc ułożyłam się na podłodze dokładnie tak, jak leżała pani Leidner.

— Kiedy Leidner ją tu znalazł, uniósł jej głowę — wyjaśnił doktor. — Pytałem go i twierdzi, że nie zmienił pozycji ciała.

— Wygląda na rzecz prostą — odezwał się Poirot. — Leżała na łóżku. Odpoczywała albo spała. Ktoś otwiera drzwi, ona spogląda, wstaje...

— I wtedy otrzymuje cios — dokończył doktor Reilly. Uderzenie odbiera jej przytomność, a śmierć następuje wkrótce potem. Bo widzi pan...

Doktor wyjaśnił rodzaj odniesionych obrażeń.

— Wiele nie krwawiła? — spytał Poirot.

— Wylew był głównie wewnętrzny — odparł doktor Reilly.

— *Eh bien!* Wygląda na rzecz prostą — powtórzył detektyw. — Z wyjątkiem jednego szczegółu. Jeśli do pokoju weszłaby obca osoba, to pani Leidner powinna zdążyć wezwać pomoc. Ktoś usłyszałby jej krzyk. Siostra Leatheran, Emmott i ten chłopak.

— Na to pytanie łatwo odpowiedzieć — zauważył sucho doktor Reilly. — Osoba, która weszła, nie była obca.

Poirot pokiwał głową.

— Tak — powiedział zamyślony. — Być może zdziwiła się widząc tę osobę, ale się jej nie przeraziła. A kiedy uderzył, to może jęknęła, ale zbyt późno.

— Ten krzyk czy jęk, który słyszała panna Johnson?

— Właśnie. Jeśli rzeczywiście cokolwiek słyszała. Ale ja w to wątpię. Te gliniane ściany są bardzo grube, a okna były zamknięte.

Poirot podszedł do łóżka.

— Kiedy siostra odeszła wczoraj po lunchu, czy pani Leidner leżała na łóżku?

Dokładnie wyjaśniłam, jak ją ułożyłam.

— Miała zamiar spać czy czytać?

— Podałam jej dwie książki. Jedną lekką powieść, a drugą autobiografię. Przeważnie trochę czytała, a potem ucinała sobie drzemkę.

— I wczoraj była, jakby to powiedzieć, w normalnym stanie? Chwilę się zastanawiałam.

— Tak. Była w dobrej formie. I w bardzo dobrym humorze. Może tak troszeczkę, bo ja wiem, speszona, ale ja to kładłam na karb pewnego rozstrojenia w związku ze zwierzeniami z poprzedniego dnia. Po takich rozmowach ludzie czasami się czują trochę nieswojo.

W oczach Poirota zamigotały iskierki.

— O tak, rzeczywiście, bardzo dobrze o tym wiem. Rozejrzał się po pokoju.

— A kiedy siostra tu weszła po morderstwie, czy wszystko wyglądało tak jak teraz?

Rozejrzałam się dookoła.

— Tak, chyba wszystko jest na swoim miejscu. Nie przypominam sobie, by cokolwiek przedtem leżało inaczej.

— Ani śladu narzędzia zbrodni? — Nie.

Poirot spojrzał na doktora Reilly.

— Musiało to być coś potężnego — odpowiedział bez zwłoki doktor. — Sporych rozmiarów. Żadnych kantów i ostrych brzegów. Na przykład okrągła podstawa statuetki. Właśnie coś takiego. Nic nie sugeruję. Mówię tylko, że tego typu przedmiot. Cios był zadany z wielką siłą.

— Silne ramię? Ramię mężczyzny?

— Tak... chyba że...

Doktor Reilly zaczął mówić powoli:

— Jest jeszcze prawdopodobne, że pani Leidner klęczała. W takim wypadku cios zadany z góry, ciężkim narzędziem, nie musiałby wymagać takiej fizycznej siły.

— Pani Leidner klęczała? — mruzczał do siebie Poirot. — Oto ciekawa hipoteza, ciekawa...

— To tylko taka myśl, niczym nie poparta — pośpieszył z wyjaśnieniem doktor. — Nie mam żadnych przesłanek.

— Ale tak mogło być.

— Tak. I biorąc pod uwagę określone przez nas okoliczności nie jest to wcale fantastyczne przypuszczenie. Strach mógł ją raczej skłonić do padnięcia na kolana, do błagania o litość, niż do wołania o pomoc, na co było już zresztą za późno. Nikt by nie zdążył.

— Owszem — odparł w zamyśleniu Poirot. — Jest to myśl... Moim zdaniem całkiem błędna. Ani przez chwilę nie wyobrażałam sobie pani Leidner klęczącej przed kimkolwiek.

Poirot obchodził cały pokój. Otwierał okna, sprawdzał moc krat, wsadził głowę między pręty i upewnił się, że w żaden sposób nie przecisnie ramion.

— Okna były zamknięte, kiedy ją pani znalazła. Czy były również zamknięte, kiedy ją pani tu zostawiła za kwadrans pierwsza? — spytał mnie.

— Tak. Po południu te okna są zawsze zamknięte. Rama okienna nie jest obciążona gazą jak w pokoju dziennym czy w jadalni. Więc ta szyba musi chronić przed muchami.

— I tak nikt nie mógłby się tędy dostać — mruknął Poirot. — A ściany są wyjątkowo solidne. Cegły z gliny. W suficie nie ma wyjścia na dach, w podłodze nie ma schodków w dół. Wydostać się można tylko przez drzwi. A do drzwi jedyna droga prowadzi przez dziedziniec. A na dziedziniec jest tylko jedno wejście. Sklepioną bramą. A przed nią siedziało pięciu ludzi i wszyscy twierdzą to samo. Na pewno nie kłamią. Nikt ich nie przekupił. Morderca był na miejscu.

Nic nie odpowiedziałam. Czyż nie o tym pomyślałam, kiedy siedzieliśmy wszyscy wokół stołu...?

Poirot dalej wędrował po pokoju. Z komody wziął fotografię przedstawiającą starszego mężczyznę z kocią białą bródką. Spojrzał pytająco w moim kierunku.

— Ojciec pani Leidner. Mówiła mi — odparłam.

Odłożył fotografię i zaczął przeglądać przedmioty na toalecie. Leżał tam elegancki komplet przyborów w szylkretowej oprawie, ale dość skromny. Przejrzał rząd książek na półce, odczytując głośno tytuły: „Kim byli Grecy?”. „Wstęp do teorii względności”. „Życie lady Hester Stanhope”. „Crewe Traine”. „Powrót do Matuzalema”. „Linda Condon”. Tak, może te książki coś nam powiedzą! Niezwyczajna to była kobieta, ta pani Leidner. Nie była głupia.

— O tak, to była bardzo mądra kobieta! — zgodziłam się bez chwili wahania. Oczytana, dysponowała szeroką wiedzą. Na pewno nie była pospolita.

Poirot uśmiechnął się do mnie.

— Tak — zgodził się. — Już się o tym przekonałem.

Ruszył dalej i na chwilę zatrzymał się przy umywalni, na której stało sporo flakoników i słoików z kremami.

Nagle się schylił, ukląkł i zaczął skrupulatnie oglądać kozią skórę.

Szybko podeszliśmy z doktorem Reilly.

Herkules Poirot przyglądał się małej brunatnej plamce, prawie niewidocznej na nieco tylko jaśniejszym brązie skóry. Właściwie był to tylko skrawek plamy — tam gdzie rozlała się na biały płat.

— I co pan sądzi, doktorze? — spytał Poirot. — Krew? Doktor Reilly też ukląkł.

— Być może — odparł doktor. — Jeśli pan chce, to zbadam.

— Jeśli byłby pan tak uprzejmy.

Pan Poirot podniósł się i obejrzał dzbanek oraz miednicę. Miednica była sucha, ale koło umywalki stała puszcza po nafcie pełna wody z mydlinami.

Obrócił się ku mnie.

— Niech siostra sobie przypomni czy ten dzbanek stał koło miednicy jak teraz, czy też w miednicy? Wtedy, kiedy siostra wychodziła od pani Leidner?

— Nie jestem pewna. — Długo się zastanawiałam. — Ale wydaje mi się, że stał w miednicy.

— Aaa.

— Ale widzi pan, ja tak mówię tylko dlatego, że zwykle dzbanek stał w miednicy. Arabscy posługacze zawsze tak stawiają dzbanek po lunchu. I wydaje mi się, że gdyby nie stał w miednicy, to bym zauważyła.

— Tak, rozumiem. — Z zadowoleniem pokiwał głową. — Szpitalny nawyk! Gdyby coś w pokoju było inaczej, niż powinno być, siostra by zauważyła, no i nawet nieświadomie poprawiła zaledwie sobie z tego zdając sprawę. A po morderstwie? Dzbanek stał jak teraz?

— Wtedy nie zauważyłam. Zastanawiałam się tylko czy ktoś mógł się ukryć w pokoju, i czy jeszcze tam jest, oraz czy nie zostawił po sobie jakiegoś śladu.

— To jest krew — powiedział doktor Reilly wstając z kolan. — Ma to duże znaczenie?

Poirot w zamyśleniu zmarszczył brwi. Uczynił gest rękami.

— Tego nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Może to coś znaczy, a może nie. Mógłbym powiedzieć, że morderca dotknął pani Leidner, że mu została krew na dłoni, troszkę krwi, ale jednak, więc podszedł do umywalki, żeby ją zmyć. Tak mogło się to odbyć. Ale nie mogę wyciągać pochopnych wniosków i mówić, że tak było. Ta plamka może nie mieć żadnego znaczenia.

— Krwi było bardzo mało — powiedział doktor Reilly z powątpiewaniem. — Krew nie trysnęła, nic takiego nie miało miejsca. Może troszkę wyciekło z zewnętrznej rany. Oczywiście, gdyby morderca zaczął obmacywać głowę...

Wzdrygnęłam się. Przed oczami stanął mi straszny obraz. Jakiś człowiek, być może ten chłopak, którego twarz kojarzyła mi się z rykiem świńskim, zadaje cios tej wspaniałej kobiecie, a potem pochyla się nad dogorywającą i z dzikim zadowoleniem na twarzy

obmacuje ranę... A może na jego twarzy maluje się nie tyle zadowolenie, co szaleństwo i nienawiść?

Doktor Reilly zauważył moje wzdygnięcie.

— Co się stało, siostrzo?

— Nic, nic, dostałam tylko gęsiej skórki — odparłam. — Ktoś przeszedł po moim grobie.

Pan Poirot obrócił się w moją stronę.

— Wiem, czego siostrze potrzeba! — powiedział. — Kiedy skończymy i ruszymy w drogę powrotną do Hassanieh, to zabierzemy siostrę ze sobą. I doktor zaprosi siostrę Leatheran na herbatę, prawda?

— Z wielką przyjemnością.

— Ależ dziękuję, doktorze, skąd znowu. Nie będę się narzucać. Pan Poirot poklepał mnie przyjaźnie po plecach. I to zupełnie po angielsku, wcale nie po cudzoziemsku.

— Siostra robi, co się siostrze każe! — oświadczył. — Poza tym to dla mnie wielka korzyść. Chcę porozmawiać o wielu rzeczach, a nie mogę tutaj, gdzie trzeba przestrzegać pewnej ceremonii, ponieważ doktor Leidner, który uwielbiał tak bardzo swoją żonę, jest pewien, że wszyscy pozostali też ją uwielbiali. Moim zdaniem taka jedność nie leży w naturze ludzkiej. Nie, i dlatego chcę porozmawiać o pani Leidner, jak to powiedzieć, bez rękawiczek. Więc ustaliliśmy! Kiedy skończymy, zabieramy siostrę do Hassanieh.

— Przypuszczam, że tak czy inaczej nie mam tu nic więcej do roboty. Wszystko się tak skomplikowało.

— Trzeba przeczekać parę dni — powiedział doktor Reilly. — Przed pogrzebem nie może siostra wyjechać.

— Wszystko bardzo pięknie — odparłam. — Ale nie chciałabym tu zostać zamordowana.

Powiedziałam to półzartem i tak też zrozumiał to doktor Reilly. Miał już w podobny sposób odpowiedzieć, kiedy ku mojemu zdumieniu pan Poirot stanął jak wryty pośrodku pokoju i głośno klepnął się dłońmi w czoło.

— Ach, czyżby to było możliwe? — mruknął. — Czy istnieje takie niebezpieczeństwo? Oczywiście, że tak i to wielkie! I co można zrobić? Jak się przed rym zabezpieczyć?

— Ależ, panie Poirot, ja tylko żartowałam. Kto by tam chciał mnie zabijać i po co, ciekawa jestem?

— Siostrę albo kogoś innego — powiedział i wcale mi się nie podobał sposób, w jaki to zrobił.

Znów dostałam gęsiej skórki.

— Ale dlaczego? — nalegałam.

Pan Poirot spojrzał mi prosto w oczy:

— Ja też żartuję, *mademoiselle*. I ja się śmieję. Ale są rzeczy nie do śmiechu. Mój zawód wiele mnie nauczył. Przede wszystkim tej jednej strasznej prawdy, że morderstwo wchodzi w nałóg...

HERBATKA U DOKTORA REILLY

Przed wyjazdem Poirot obszedł cały dom dookoła i obejrzał wszystkie budynki z zewnątrz. Przez pośrednika zadał też kilka pytań służącym. Tłumaczem był doktor Reilly, który przekładał pytania na arabski, a odpowiedzi z arabskiego na angielski.

Pytania dotyczyły przede wszystkim owego obcego mężczyzny, którego spostrzegłyśmy z panią Leidner podczas spaceru, kiedy usiłował zajrzeć przez okno i z którym ojciec Lavigny rozmawiał następnego dnia.

— Czy pan sądzi, że ten mężczyzna miał coś wspólnego z morderstwem? — zapytał doktor Reilly, gdy tłuśliśmy się samochodem w drodze do Hassanieh.

— Ja chcę mieć zawsze ogrom informacji — odparł swoim dziwnym językiem Poirot.

I rzeczywiście ta odpowiedź określała bardzo dokładnie jego metodę działania. Już później się zorientowałam, że nie było takiej rzeczy — skraweczka papieru czy najmniejszej plotki — którą by zignorował. Mężczyźni zwykle nie bywają tacy ciekawscy.

Muszę przyznać, że z rozkoszą napiłam się herbaty po przyjeździe do doktora Reilly. Zauważyłam, że pan Poirot wrzucił do swojej filiżanki aż pięć kostek cukru.

Mieszając herbatę oświadczył:

— A teraz porozmawiajmy, dobrze? Możemy w naszych umysłach rozważać, kto najprawdopodobniej popełnił morderstwo.

— Lavigny, Mercado, Emmott czy Reiter? — spytał doktor Reilly.

— O nie! To była teoria numer trzy. Chciałbym się teraz skoncentrować na teorii numer dwa, zapomnieć o istnieniu tajemniczego pierwszego męża i brata i o tym, że się mogli nagle wynurzyć z przeszłości. Po prostu zastanówmy się, kto z członków ekspedycji miał środki i okazję do popełnienia zbrodni, i kto najbardziej pasuje na mordercę.

— Myślałem, że rozwiązanie drugie odrzucił pan jako bardzo mało prawdopodobne? — odezwał się doktor Reilly.

— Wcale nie. Ale cechuje mnie, jak to powiedzieć, pewna wrodzona delikatność. Jakże mogłem w obecności doktora Leidnera dyskutować na temat motywów prowadzących do zamordowania pani Leidner przez któregoś z jego podwładnych? To nie byłoby uprzejme. Podtrzymywałem teorię, że pani Leidner była powszechnie kochana i że wszyscy ją uwielbiali. Fikcja, nieprawdaż? Wcale tak nie było. Teraz możemy być brutalni, zapomnieć o uczuciach i powiedzieć, co myślimy. Już nie musimy liczyć się z tym, co ktoś pomyśli. I w tym bardzo nam pomoże siostra Leatheran. Wykazała się już wcześniej jako doskonała obserwatorka.

— Wcale nie jestem tego pewna — odparłam skromnie.

— Proszę się wzmocnić — powiedział doktor Reilly podając mi paterę z gorącymi biszkoptami. Były znakomite.

— No, zaczynamy! — odezwał się pan Poirot. — Teraz chcę usłyszeć, *Ma soeur*, co każdy z członków ekspedycji naprawdę myślał o pani Leidner.

— Byłam tam tylko przez tydzień, panie Poirot — odparłam.

— Bardzo wiele czasu dla osoby o tak żywej inteligencji. Pielęgniarka ocenia ludzi bardzo szybko. Dochodzi do pewnych wniosków i zgodnie z nimi postępuje. Jazda, zaczynamy od początku! Na przykład ojciec Lavigny?

— Jeśli o niego chodzi, trudno mi powiedzieć. Wydawało mi się, że pani Leidner lubiła z nim rozmawiać, a on z nią. Zwykle dyskutowali po francusku, a ja słabo znam ten język, chociaż uczyłam się go w szkole. Wydaje mi się, że głównie mówili o książkach.

— Można powiedzieć, że dobrze się czuli w swoim towarzystwie?

— Tak, chyba tak można powiedzieć. Ale mnie się też wydaje, że ojciec Lavigny był jakby zaintrygowany panią Leidner. I jakby zły na siebie, że jest zaintrygowany, jeśli pan rozumie, co ja chcę powiedzieć.

I następnie powtórzyłam mu rozmowę, jaką miałam z ojcem Lavigny pierwszego dnia na wykopalisku, kiedy nazwał panią Leidner „niebezpieczną kobietą”.

— Oo, to jest bardzo interesujące! — skomentował pan Poirot. — A ona? Co ona sądziła o ojcu Lavigny?

— Trudno mi powiedzieć. Niełatwo było stwierdzić, co pani Leidner sądziła o ludziach. Chwilami wydawało się, że on ją też intryguje. Pamiętam, że mi powtórzyła słowa pana Leidnera: takiego duchownego jeszcze nie widział.

— Czyżbyśmy mieli zamawiać już sznur dla ojca Lavigny? — zażartował doktor Reilly.

— Drogi przyjacielu — zwrócił się do niego pan Poirot. — Nie ma pan przypadkiem jakiegoś pacjenta, którego należałoby odwiedzić? Za żadne skarby nie chciałbym powstrzymać pana przed obowiązkami.

— Mam pełen szpital pacjentów — odparł doktor Reilly. Wstał, mrugnął porozumiewawczo i wyszedł zaśmiewając się.

— Teraz już lepiej. Możemy już jeść ser z dziurami — powiedział ni w pięć, ni w dziewięć pan Poirot. — Nikt nam nie będzie przerywał naszego tête-à-tête. Ale proszę nie zapominać o herbacie.

Pan Poirot podał mi talerz z kanapkami i zaproponował drugą filiżankę herbaty. Jak na cudzoziemca miał wcale dobre maniery.

— A teraz porozmawiamy dalej o wrażeniach siostry. Kto z tego towarzystwa nie lubił pani Leidner?

— No cóż, to jedynie moja opinia i nie chciałabym, żeby się rozeszła.

— Oczywiście, że nie!

— Moim zdaniem pani Mercado wręcz jej nie znosiła.

— Aaa! A pan Mercado?

— Na jej widok przewracał oczami. To jest taki człowiek, na którego kobiety nie zwracają specjalnej uwagi. Oprócz żony, oczywiście. A pani Leidner umiała pokazać, że interesuje się ludźmi i tym, co do niej się mówi. Trochę biedakowi uderzyło do głowy.

— I pani Mercado nie była zadowolona?

— Była po prostu zazdrosna. Trzeba być bardzo ostrożnym, kiedy się ma do czynienia z mężem i żoną, to święta prawda. Mogłabym panu niejedno opowiedzieć, co też kobietom przychodzi do głowy, gdy chodzi o ich mężów.

— Ani na chwilę nie wątpię w słusność słów siostry. A więc pani Mercado była zazdrosna? I nienawidziła pani Leidner?

— Patrzyła na nią z mordem w oczach... O Boże, co ja mówię! — Wyprostowałam się na krześle. — Nie miałam zamiaru tego powiedzieć, panie Poirot. To znaczy...

— Oczywiście, doskonale rozumiem. Siostrze się wymknęło. Bardzo odpowiednie zdanie. Odpowiednie do sytuacji. A pani Leidner? Trafiła się wrogością pani Mercado?

— Hmm — zastanowiłam się. — Chyba wcale się tym nie przejmowała. A nawet nie wiem, czy zdawała sobie sprawę z nieprzyjaznych uczuć pani Mercado. Raz to nawet pomyślałam, żeby ją ostrzec. Ale zrezygnowałam. Lepiej za dużo nie mówić. Zawsze uważałam, że milczenie jest złotem.

— Bardzo rozsądnie, bardzo. Czy może mi siostra dać jakieś przykłady objawów zazdrości pani Mercado? No i jej wrogich uczuć do pani Leidner?

Przytoczyłam mu naszą rozmowę na dachu.

— A więc wspomniała o pierwszym małżeństwie pani Leidner... — powiedział w zamyśleniu pan Poirot. — Może siostra sobie przypomina, czy kiedy o tym mówiła, patrzyła

na siostrę tak, jakby sprawdzając, czy na przykład ktoś opowiedział siostrze inną wersję całej sprawy?

— Pan podejrzewa, że ona знаła prawdę?

— To prawdopodobne. To ona mogła pisać listy i pukać do okna.

— Ja też się nad tym zastanawiałam. Taka podła zemsta nawet mi na nią wyglądała.

— Tak, ludzie potrafią być okrutni. Ale od tego do morderstwa z premedytacją jest jeszcze daleko, chyba że...

Zastanawiał się przez chwilę, a potem dodał:

— Swoją drogą to bardzo dziwne, co ona wtedy siostrze powiedziała. Jak to było: Ja wiem, dlaczego siostra przyjechała. Co ona przez to chciała powiedzieć?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziałam szczerze.

— Ona myślała, że siostra przyjechała w jakimś ukrytym celu. Ale w jakim? I dlaczego była tym tak przejęta? Co ją to obchodziło? I dziwne też było to wpatrywanie się w siostrę w dniu przyjazdu, przy stole.

— Cóż, nie jest damą i tyle, panie Poirot — wyjaśniłam mu.

— To może być wytłumaczenie, ale nie wyjaśnienie, *Ma soeur!* Przez dłuższą chwilę nie mogłam zrozumieć, co on ma na myśli. Ale zaraz zaczął pytać dalej:

— No a pozostali członkowie ekspedycji? Zastanowiłam się.

— Nie sądzę, aby panna Johnson zanadto lubiła panią Leidner. Ale była w tej sprawie bardzo szczerą. I właściwie przyznała, że jest do niej uprzedzona. Bo widzi pan, panna Johnson to bardzo oddana pracownica doktora Leidnera i to od wielu lat. A bywa, że jak szef się ożeni, to wszystko się zmienia...

— Tak. I z punktu widzenia panny Johnson nie była to odpowiednia żona dla doktora Leidnera. Byłoby bardziej na miejscu, gdyby doktor Leidner poślubił pannę Johnson.

— Chyba tak — zgodziłam się ochotczo. — Ale tacy są właśnie mężczyźni. Jeden na sto dba o to, by ożenić się z właściwą osobą. Trudno zresztą winić samego doktora. Panna Johnson, nieboraczka. Cóż, nie ma na co patrzeć! A pani Leidner była naprawdę piękna. Już niemłoda, ale co za klasa. Szkoda, że jej pan nie poznał. Było w niej coś takiego... Używając słów pana Colemana była niby rusalka wodna czy nimfa, co rzucając czar na ludzi zwabia ich w bagna. Może to niezbyt trafne, ale właśnie, niech się pan ze mnie nie śmieje, panie Poirot, było w niej coś takiego niezwykłego, zupełnie nie z tej ziemi.

— Potrafiła rzucić, jakież to słowo, aha, urok, prawda? Tak, tak, rozumiem.

— Poza tym nie wydaje mi się, żeby ona i pan Carey byli w dobrej komitywie. Tak myślę sobie, że pan Carey był zazdrosny o panią Leidner podobnie jak panna Johnson — kontynuowałam. — Zachowywali się wobec siebie strasznie oficjalnie. Wie pan, jak to jest, przy stole grzecznie podawała mu to czy tamto, ale zawsze zwracała się do niego bardzo formalnie, zawsze „panie Carey”. On jest wieloletnim przyjacielem jej męża, a niektóre kobiety nie znoszą takich zadawnionych wiernych przyjaźni. Nie tolerują nikogo, kto znał ich mężów, zanim one same ich poznały. Może niezbyt jasno się wyrażam...

— Doskonale rozumiem. A trzech młodzi ludzie? Pan Coleman był, jak to siostra powiedziała, poetycki na jej temat?

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

— To naprawdę było zabawne, panie Poirot. Bo pan Coleman to taki rzeczowy człowiek.

— A pozostali dwaj?

— Zupełnie nic nie wiem na temat pana Emmotta. Zawsze taki cichy i niewiele się odzywa. Pani Leidner odnosiła się do niego bardzo miło. Tak przyjaźnie. Nazywała go Dawidem i zawsze żartowała na temat jego i panny Reilly, i takich tam.

— Co siostra mówi? A jak on to przyjmował?

— Nie jestem tego pewna — odparłam z wahaniem. — Patrzył na nią dość dziwnie. Trudno powiedzieć, co myślał.

— A pan Reiter?

— Nie zawsze była dla niego miła. Myślę, że działał jej na nerwy — powiedziałam po zastanowieniu. — Robiła na jego temat sarkastyczne uwagi. I to w jego obecności.

— Jak reagował?

— Bardzo się czerwienił, biedny chłopak. Ale przecież ona nie miała złych intencji...

Nagle we współczucie do biednego pana Reitera wkradła się myśl, że to on mógłby być bezlitosnym mordercą i że przez cały czas odgrywał tylko rolę biednego chłopca.

— Och! — wykrzyknęłam. — Panie Poirot, czy pan się już domyśla, kto to zrobił?

Pokręcił w zamyśleniu głową.

— Niech mi siostra powie, nie boi się siostra wrócić tam na noc? — spytał.

— Ależ skąd! — odparłam. — Pamiętam, co pan powiedział, ale któż by chciał mnie zabijać.

— Już teraz jestem pewien, że nikt — odparł powoli. — To był częściowo powód, dla którego chciałem z siostrą porozmawiać i usłyszeć wszystko, co siostra ma do powiedzenia. Chciałem się upewnić. Teraz już wiem, że siostra jest bezpieczna.

— Gdyby ktoś mi coś szepnął w Bagdadzie... — zaczęłam i urwałam.

— Słyszała siostra jakieś plotki o Leidnerach i ekspedycji przed przyjazdem tutaj? — spytał.

Powiedziałam mu, jak nazywano panią Leidner i trochę z tego, co mi mówiła pani Kelsey.

W trakcie mojego opowiadania weszła panna Reilly. Najwidoczniej grała w tenisa, bo miała w ręku rakietę.

Z tego, co zrozumiałam, pan Poirot już ją poznał po przybyciu do Hassanieh.

Panna Reilly przywitała mnie niedbale i wzięła kanapkę z talerza.

— No i co, panie Poirot? — spytała. — Jak tam wyjaśnianie naszej lokalnej tajemnicy?

— Idzie powoli — odparł.

— Widzę, że ocalił pan z pożogi siostrzyczkę.

— Siostra Leatheran udzielała mi bardzo istotnych informacji na temat poszczególnych członków ekspedycji. A przy okazji dowiedziałem się wiele o... ofierze. A ofiara, *mademoiselle*, jest bardzo często kluczem do całej tajemnicy.

— Bardzo mądrze pan mówi, panie Poirot. W tym przypadku sprawdziło się, bo jeśli kiedykolwiek jakaś kobieta zasługiwała na zamordowanie, to właśnie pani Leidner.

— Panno Reilly! — wykrzyknęłam do głębi oburzona. Panna Reilly zaśmiała się krótko i nieprzyjemnie.

— Widzę z tego, że siostra też się dała nabrać. Obawiam się, panie Poirot, że siostra Leatheran wpadła w sidła czarownicy pani Leidner. Wie pan co, panie Poirot? Nie tracę nadziei, że tym razem nie odniesie pan sukcesu. Właściwie to bym chciała, żeby mordercy udało się umknąć bezkarnie. Sama chętnie przyłożyłabym się do wyprawienia pani Leidner na tamten świat.

Byłam więcej niż oburzona. Trzeba powiedzieć, że Poirot nawet nie mrugnął okiem. Skłonił się i powiedział uprzejmie:

— Mam więc nadzieję, że pani ma alibi na wczorajsze popołudnie?

Nastąpiła chwila ciszy, którą zakłóciło uderzenie tenisowej rakiety o ziemię.

Panna Reilly nawet nie próbowała jej podnieść. Niechlujna i niedbała jak one wszystkie.

— Oczywiście! — odpowiedziała jakby zdyszczym głosem. — Grałam w klubie w tenisa. Ale poważnie mówiąc, panie Poirot, czy pan wie cokolwiek o pani Leidner?

Znów się tak śmiesznie skłonił i powiedział:

— Pani mi o niej opowie, *mademoiselle*.

Trochę się zawahała, ale potem bez najmniejszej przyzwoitości zaczęła mówić rzeczy, od których zrobiło mi się słabo:

— Utarło się, że o zmarłych nie należy mówić źle. Uważani, że to głupi obyczaj. Prawda zawsze pozostaje prawdą. Lepiej już nie mówić źle o żywych, ponieważ można im wyrządzić krzywdę. Ale zmarłym nic już nie zaszkodzi. Natomiast zło, które za życia wyrządzili innym, nie da się wymazać. Szekspir może tego nie powiedział dokładnie w ten sposób, ale jakoś podobnie. Czy siostra powiedziała panu, panie Poirot, o niezdrowej atmosferze, jaka panowała w Tell Jarimdża? Czy mówiła, jak wszyscy byli rozstrojeni? Jak patrzyli na siebie spode łba? Oto dzieło Luizy Leidner! Przed trzema laty, kiedy odwiedzałam wykopaliska jeszcze jako smarkula, wszyscy sprawiali wrażenie jednej, szczęśliwej, wesołej rodziny. Ale w tym roku zawisła nad nimi jakaś czarna chmura. To jej sprawka! Należała do kobiet, które nie mogą ścierpieć, by ktokolwiek w ich kręgu czuł się szczęśliwy. Zawsze musiała wszystko zepsuć. Dla zabawy, a może z chęci okazania swej przewagi. Albo dlatego, że po prostu taka była. Musiała podporządkować sobie każdego mężczyznę w zasięgu wzroku.

— To wszystko nieprawda, panno Reilly! — krzyknęłam. — Dobrze wiem, że to nieprawda.

— Nie wystarczało jej mieć męża, który ją uwielbiał. — Mówiła nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. — Musiała zrobić durnia z tego pokracznego Mercado. Potem uczepiła się Billa. Bill to w zasadzie rozsądny chłopak, ale ona go kompletnie ogłupiła. Zabawiała się dręczeniem Carla Reitera. On był łatwą zdobyczą. To bardzo uczuciowy chłopak. I na całego dopadła Dawida. Dawid był odporniejszy i potrafił się bronić. Czarowała go, ale nie dał się. Był na tyle mądry, by dostrzec, że jej właściwie na nim nie zależy. I dlatego ja jej tak nienawidzę. Ona nic nie czuła, nie była nawet zmysłowa. Nie pragnęła romansu. Ją interesowały podboje. Przeprowadzała eksperymenty zupełnie na zimno i dla zabawy, aby zobaczyć, co się będzie działo, jeśli podbechta ludzi przeciwko sobie. Cieszyła się widząc rezultaty swych gier. To była kobieta, która w życiu z nikim się nie pokłóciła, ale potrafiła skłócić wszystkich. Wokół niej wybuchały kłótnie. Ona je prowokowała. Był z niej Jagon w spódnicy. Karmiła się napięciem. Ale sama nie chciała w rym uczestniczyć. Zawsze tylko pociągała za sznurki. Patrzyła i napawała się. Rozumie pan to, co chciałam powiedzieć?

— Może dostrzegam nawet więcej, niż pani sądzi, *mademoiselle!* — odparł Poirot.

Nie potrafiłam zrozumieć tonu jego głosu. Powiedział to tak, jakby wcale nie był oburzony. Jakby... Do licha, nie potrafię tego wyjaśnić.

Panna Reilly chyba zrozumiała, bo się mocno zaczerwieniła.

— Może pan sobie myśleć, co pan chce — powiedziała. — Ale ja wiem, że mam rację. Była niesłychanie przebiegła, nudziła się i przeprowadzała doświadczenia na ludziach. Tak jak inni robią to z chemikaliami. Z upodobaniem dręczyła biedną Johnsonkę, która zaciskała zęby, bo to kobieta z klasą. Doprowadzała małą Mercado do szaleństwa. Próbowwała też dobrać się do mnie. Potrafiła niezłe dopiec. Uwielbiała zbierać informacje o ludziach, by potem ich szantażować. Nie, nie myślę o takim ordynarnym szantażu, dasz mi to, to ja ci nic nie zrobię. Nie. Po prostu lubiła napomknąć człowiekowi, że coś o nim wie, i ten człowiek pozostawał w niepewności, co też ona zamierza. Była mistrzynią intrygi. Prawdziwą artystką w swoim rzemiośle. Operowała delikatnie jak najcieńszym skalpelem.

— A jej mąż?

— Jemu nigdy nie robiła krzywdy — dodała panna Reilly. — Dla niego zawsze była słodka. Chyba go lubiła. To kochany człowiek, pogrążony w swoim własnym świecie mumii i starych skorup. A on ją ubóstwiał i uważał za chodzący ideał. Bardzo to denerwowało niektóre kobiety. Ale jej się bardzo podobało. Doktor Leidner żył w innym wymiarze. W jakimś wyimaginowanym świecie. Chociaż niezupełnie, bo przecież w stosunku do niego Luiza była naprawdę cudowna. Trudno to jednak pogodzić z faktem... — zamilkła.

— Słucham, *mademoiselle!* — nalegał pan Poirot. Panna Reilly zwróciła się w moją stronę.

— Co siostra powiedziała o Ryszardzie Careyu?

— O panu Careyu? — spytałam zdumiona.

— O niej i o Careyu!

— No, powiedziałam, że nie przepadali za sobą... Ku mojemu zaskoczeniu wybuchnęła śmiechem.

— Nie przepadali za sobą! Ależ siostra naiwna. On był w niej zakochany po uszy. I to go niesłychanie dręczyło, ponieważ żywi olbrzymi szacunek dla doktora Leidnera. Można powiedzieć, że go uwielbia. Są przyjaciółmi od bardzo wielu lat. I to właśnie było jej nie w smak. Postanowiła stanąć między nimi i skłócić ich. Niemniej wyobrażam sobie...

— *Eh bien, mademoiselle?*

Zatopiona w myślach marszczyła czoło.

— Sądziłam, że tym razem trochę się zagalopowała. Wpadła we własne sidła. Carey jest przystojny. Bardzo przystojny! A ona to zimna diablica. Ale myślę, że przy nim trochę się rozgrzała.

— Uważam, że to skandaliczne, co pani mówi! — wykrzyknęłam. — Przecież oni ledwo z sobą rozmawiali.

— Czyżby? — Obróciła się do mnie. — Guzik siostra wie na ten temat. Wiem, że w domu było grzeczniutko „panie Carey” i „pani Leidner”, tylko że oni spotykali się poza domem! Ona schodziła ścieżką nad rzekę, a on opuszczał na godzinkę wykopalisko. Na miejsce schadzek wybrali sad.

Po chwili dokończyła:

— Raz go widziałam, jak się z nią żegnał, a potem ruszył ku wykopalisku. Ona stała i patrzyła za nim. Wiem, wiem, jestem podłą podglądaczką. Miałam właśnie przy sobie lornetkę, więc ją wyjęłam i przyjrzałam się wyrazowi twarzy pani Leidner. Jeśliby mnie kto spytał, to bym powiedziała, że piekielnie jej zależało na Careyu...

Przerwała i spojrzała na Poirota.

— Przepraszam, że się wtrąciłam do prowadzonej przez pana sprawy — powiedziała z kwaśnym uśmiechem — ale zależało mi na sprostowaniu pewnych, powiedzmy, niedokładności obrazu.

Co powiedziawszy wyszła z pokoju.

— A ja nie wierzę ani jednemu jej słowu, panie Poirot! — oświadczyłam.

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i powiedział (bardzo znacząco, moim zdaniem):

— Nie zaprzeczy siostra, że panna Reilly w dość specyficzny sposób wyjaśniła nam parę spraw?

NOWA POSZLAKA

Skończyliśmy rozmowę, ponieważ wrócił doktor Reilly zawiadamiając nas żartobliwie, że pozabijał co uciążliwszych pacjentów.

Zasiadł zaraz z panem Poirotem do rozmowy na temat stanu umysłowego autora anonimowych listów oraz aspektów medycznych i psychologicznych dotyczących tego zjawiska. Doktor przytaczał znane mu przypadki, a pan Poirot opowiadał historie z własnego doświadczenia.

— Sprawa nie jest taka prosta — zakończył mały detektyw. — Czasami motywem bywa pragnienie zawładnięcia czymś, a często mamy do czynienia z kompleksem niższości.

Doktor Reilly pokiwał głową.

— Dlatego też niekiedy autor anonimowych listów jest ostatnią osobą, którą by się o to podejrzewało. Bywa to skromniutki osobnik, który na pozór muchy nie skrzywdzi, słodziutki, pomyślałby ktoś, że reprezentuje wszystkie chrześcijańskie cnoty, a wewnątrz aż kipi złością i nienawiścią.

— Czy panią Leidner można określić jako osobę z kompleksem niższości? — spytał pan Poirot.

Doktor Reilly chrząknął rozbawiony.

— Ostatnia z kobiet na tej ziemi, którą bym tak nazwał. Żadnych zahamowań. Żyć, żyć i jeszcze raz żyć. Tego pragnęła i to zresztą miała.

— Czy uważa pan za możliwe, z psychologicznego punktu widzenia, by to ona sama pisała te listy?

— Owszem. Ale jeśli to robiła, powodowała ją podświadoma chęć ubarwienia, udramatyzowania własnego życiorysu. W prywatnym życiu pani Leidner była... jakby gwiazdą filmową. Musiała zawsze znajdować się w centrum uwagi. W świetle jupiterów. Wyszła za Leidnera na zasadzie odwrotności charakterów. Leidner to jeden z najskromniejszych i najmniej narzucających się ludzi, jakich znam. Uwielbiał ją, ale dla niej uwielbianie przy domowym kominku to było za mało. Musiała być oprócz tego jeszcze prześladowaną heroiną.

— Czyli w rzeczy samej nie podpisuje się pan pod teorią, że ona te listy sama pisała, ale potem o tym nie pamiętała? — spytał Poirot z uśmiechem.

— Zdecydowanie nie. Nie chciałem tego poruszać w obecności Leidnera. Jakoś nie można tak prosto z mostu mówić człowiekowi, który dopiero co utracił ukochaną żonę, że była ona bezwzględna ekshibicjonistką i że doprowadzała go na skraj rozpacz, by zaspokoić swoje aktorskie aspiracje. Prawdę mówiąc nie należy żadnemu mężczyźnie mówić prawdy na temat jego żony. To niebezpieczne. Najśmieszniejsze w tym jest to, że żonom można powiedzieć wszystko o ich mężach. Kobiety są zdolne akceptować fakt, że ich mąż jest zepsuty, jest narkomanem, oszustem, kłamcą lub zwykłym bydlakiem. Nawet nie mrugną okiem i nie wpłynie to na zmianę ich uczuć. Kobiety są wspaniałymi realistkami.

— Mówiąc zupełnie szczerze, doktorze Reilly. Co pan naprawdę myślał o pani Leidner?

Doktor Reilly rozparł się w krześle niespiesznie pykając fajkę.

— Mówiąc zupełnie szczerze, trudno mi sprecyzować. Nie znałem jej aż tak dobrze. Miała urok. Mnóstwo uroku. Bardzo inteligentna, w zasadzie sympatyczna... Cóż jeszcze? Na oko żadnych pospolitych wad. Nie była też nazbyt zmysłowa. Ani też leniwa czy próżna. Zawsze natomiast ją uważałem, chociaż nie miałem na to dowodów, za bardzo sprytną kłamczuchę. Błagowała po mistrzowsku. Czego nie wiem, a chciałbym się dowiedzieć, to, czy bujała wyłącznie siebie, czy też i innych. Ja mam dość specyficzny pogląd na tę sprawę. Kobieta, która nie kłamie, jest istotą bez wyobraźni, pozbawioną ludzkich odczuć. Nie sądzę, aby pani Leidner polowała na mężczyzn w sensie dosłownym. Nie, ona po prostu uprawiała „strzelanie

do mężczyzn” i godzenie ich „własną strzałą”. Jeśli pan porozmawiał na ten temat z moją córką...

— Już mieliśmy tę przyjemność — odparł pan Poirot lekko się uśmiechając.

— Hmm! — mruknął doktor Reilly. — Widzę, że nie traciła czasu. Wyobrażam sobie, że nieźle przejechała się po pani Leidner. Młode pokolenie nie przestrzega zasady oszczędzania zmarłych. Co za szkoda, że młodzi są tacy pryncypialni. Potępiają „starą moralność”, a następnie ustanawiają własne skomplikowane kodeksy. Gdyby pani Leidner miała z pół tuzina kochanków, to prawdopodobnie Sheila akceptowałaby ją jako osobę „korzystającą z życia” albo też „posłuszną instynktowi krwi”. Sheila nie dostrzega, że pani Leidner żyła zgodnie ze swoim kodeksem. Kot jest posłuszny „instynktowi krwi”, kiedy igra z myszą. Kot jest tak stworzony! A dorośli mężczyźni to nie mali chłopcy, których trzeba osłaniać i strzec. Idąc przez życie spotykają i kocice, i wierne spanielki, i stale utyskujące jędze z wiecznymi pretensjami. Życie to pole walki, a nie piknik. Chciałbym, aby Sheila zesza ze swego wysokiego konia i przyznała szczerze, że nienawidziła panią Leidner ze starych jak świat osobistych powodów. Sheila jest właściwie jedyną niezamężną młodą kobietą w okolicy i oczywiście zakłada, że może postępować jak chce wobec wszystkiego, co chodzi w spodniach. Bardzo ją złości, kiedy kobieta, którą uważa za osobę w średnim wieku i która na swoim koncie zapisała już dwóch mężów, pojawia się nagle i pokonuje Sheilę na jej własnym terenie. Sheila to dobre dziecko. Jest w miarę przystojna, więc odmienna płeć interesuje się nią, jak powinna. Ale w tej dziedzinie pani Leidner przedstawiała coś unikatowego. Była obdarzona nieszczęsną, niemalże magiczną umiejętnością komplikowania i psucia wszystkiego. Taka *Belle Dame sans Merci*!

Aż skoczyłam w krzesło. Co za zbieg okoliczności, że on użył tych słów!

— Pańska córka, doktorze, to niedyskretne pytanie, odczuwa może *tendresse* wobec któregoś z młodych ludzi tu na miejscu? — spytał Poirot.

— Nie, chyba nie. Obskakiwali ją oczywiście Emmott i Coleman. Ale nie wiem czy któregoś z nich woli. Jest tu jeszcze dwu młodych lotników. Myślę, że chwilowo Sheila nie wyrzuca do morza żadnej rybki, która trafi do jej sieci. Chyba że jest po prostu wściekła, iż młodość została wyzwana przez pełną dojrzałość. Sheila nie zna jeszcze świata i życia. Dopiero w moim wieku umie się ocenić dziewczęcą cerę, promienny wzrok młodości i jędrne ciało. Kobieta powyżej trzydziestki potrafi uważnie słuchać słów młodzieńca, wtrącić słówko tu i tam, by mu powiedzieć, jaki to z niego wspaniały mężczyzna. Bardzo niewielu młodych ludzi potrafi się temu oprzeć. Sheila jest ładną dziewczyną, ale pani Leidner była piękną, dojrzałą kobietą. Cudowne oczy i wspaniałe blond włosy. Była wręcz urzekająca!

Doktor Reilly ma rację, pomyślałam. Piękno to wspaniała rzecz. Pani Leidner była naprawdę piękna. To nie była uroda, której można zazdrościć, ale taka, przed którą się kłeka i podziwia. To właśnie od razu poczułam pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłam. Byłam gotowa wszystko dla niej zrobić.

Niemniej tego wieczoru, kiedy jechałam z powrotem do Tell Jarimdza (doktor Reilly zatrzymał mnie jeszcze na wczesną kolację), parę rzeczy przyszło mi do głowy i nieco popsuło humor. Wówczas nie wierzyłam jeszcze ani jednemu słowu z oskarżeń Sheili Reilly. Potraktowałam jej wybuch jako złośliwą i niegodną napaść na dobre imię pani Leidner.

Jednakże właśnie w drodze przypominałam sobie, jak to pani Leidner nalegała, że sama pójdzie na spacer, i w ogóle nie chciała słyszeć o moim towarzystwie. Zaczęłam się zastanawiać, czy może jednak rzeczywiście spotykała się z panem Careym?... I jak się zastanowić, to rzeczywiście było bardzo dziwne, takie oficjalne zwracanie się do siebie. Większość pozostałych j pani Leidner nazywała po imieniu.

I przypominałam sobie, że on nigdy nie patrzył na nią. Może dlatego, że jej nie lubił, a może wprost przeciwnie...

Aż musiałam samą siebie skarcić — wymyślam różne takie rzeczy tylko dlatego, że durna dziewczyna nawygadywała głupstw, co potwierdza jak niegodne i niebezpieczne jest pomawianie ludzi.

Pani Leidner wcale taka nie była!

Nie ulega wątpliwości, że nie lubiła Sheili Reilly. I bez ogródek wyjawiała to panu Emmottowi podczas lunchu.

Spojrzał wtedy na nią bardzo dziwnie. Spojrzał w taki sposób, że człowiek właściwie nie wiedział, co pan Emmott myśli. Zawsze taki cichy i spokojny i bardzo miły. Człowiek, na którym można polegać.

Natomiast pan Coleman jest całkiem niepoważny. I na tym właściwie skończyłam moje rozważania, bo dojechaliśmy na miejsce. Zbliżała się już dziewiąta. Główna brama była zamknięta i zaryglowana.

Ibrahim wybiegł z wielkim kluczem, żeby mnie wpuścić. W Tell Jarimdza chodziliśmy spać wcześniej. W dziennym pokoju już nie paliło się żadne światło. Jasno było tylko w kreślarni i w biurze doktora Leidnera. Wszyscy musieli rozejść się jeszcze wcześniej niż zwykle.

Kiedy w drodze do mojego pokoju zajrzałam przez okno kreślarni, zobaczyłam pana Careya ślęczącego nad jakimś planem.

Pomyślałam sobie, że wygląda bardzo źle. Zmęczony i spięty.

Bardzo mnie to zasmuciło. Nie wiem, co takiego było w panu Careyu, że człowiek jakoś zwracał na niego uwagę. Nie to przecież, co mówił, ponieważ prawie się nie odzywał, a jak już się włączył do rozmowy to tylko na błahy temat. I nie to, co robił, ponieważ nie zachowywał się jakoś nadzwyczajnie. Ale wszystko w nim wydawało się jakby ważniejsze, niż u innego człowieka. Po prostu pan Carey się liczył, jeśli można tak powiedzieć.

Obrócił głowę i spostrzegł mnie. Wyjął z ust fajkę i powiedział:

— No co, siostrze, wróciliśmy z Hassanieh?

— Tak, proszę pana. Jeszcze pan pracuje? Widzę, że wszyscy inni poszli już spać.

— Pomyślałem sobie, że nieco podgonię robotę. Ostatnio troszkę ją zaniedbałem. A jutro z samego rana trzeba być na wykopalisku. Wznawiamy kopanie.

— Już? — zapytałam zaskoczona. Dziwnie na mnie spojrzał.

— Tak chyba będzie najlepiej — odparł. Zaproponowałem to Leidnerowi, który spędzi jutro większość dnia w Hassanieh załatwiając wszystkie niezbędne formalności. Reszta zajmie się pracą. W tej sytuacji to lepsze niż siedzieć z założonymi rękami i wpatrywać się w siebie.

Bez wątpienia miał rację. Zwłaszcza biorąc pod uwagę stan, w jakim wszyscy się znajdowali. Podenerwowani, zagubieni.

Pogrzeb, jak wiedziałam, miał się odbyć pojutrze.

Pan Carey znów pochylił się nad planem. Nie wiem dlaczego, ale bardzo mu współczułam. Wiedziałam, że tej nocy nie będzie spał.

— Jeśliby pan chciał jakiś środek nasenny? — spytałam z wahaniem.

Uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową.

— Dam sobie radę, siostrze. Pomaganie sobie środkami nasennymi to zły nawyk.

— No to dobranoc, panie Carey — powiedziałam. — Jeśli mogłabym coś dla pana zrobić...

— Nic mi nie trzeba, dziękuję, siostrze. Dobranoc!

— Tak okropnie mi przykro! — wyrwało mi się.

— Przykro? — spytał zdziwiony.

— Przykro z powodu tego, co się stało. Wszystkim bardzo współczuję, ale najbardziej panu.

— Dlaczego właśnie mnie?

— Był pan przyjacielem obojga...

— Jestem przyjacielem Leidnera. Z nią się nadmiernie nie kontaktowałem...

Powiedział to tak, jakby jej rzeczywiście nie lubił. Szkoda, że panna Reilly nie mogła tego usłyszeć.

— No to dobranoc — powtórzyłam i poszłam szybko do mojego pokoju.

Przed rozebraniem kręciłam się jeszcze trochę po sypialni. Uprałam chustki i skórzane rękawiczki, zapisałam kilka rzeczy w dzienniczku. Przed pójściem do łóżka wyjrzałam jeszcze na dziedziniec. W kreslarni i w biurze dalej paliły się światła.

Doktor Leidner pewno jeszcze pracował. Zastanawiałam się, czy by do niego nie pójść, żeby powiedzieć dobranoc. Nie chciałam się jednak narzucać. Mógłby tak właśnie pomyśleć. Może był zajęty i nie należało mu przeszkadzać. W końcu postanowiłam pójść. Co to szkodzi? Powiem tylko dobranoc, spytani, czy mogę mu w czymś pomóc, i wrócę.

W biurze zastałam tylko pannę Johnson. Doktora Leidnera nie było. Panna Johnson siedziała z głową opartą o blat stołu i płakała. Strasznie płakała, jakby pękło jej serce.

Poczułam się zmieszana. Panna Johnson, zawsze taka opanowana kobieta? Wzbudziła we mnie litość.

— Co się stało, moja droga? — wykrzyknęłam. Objęłam ją ramieniem i uspokajałam poklepując. — No już, już, tak nie można... Nie można tak siedzieć samotnie i płakać!

Wcale nie zareagowała i nadal wstrząsała nią szloch.

— No już, proszę przestać, moja droga! — mówiłam dalej. — Musi się pani wziąć w garść. Pójdę do kuchni i zaparzę pani filiżankę dobrej herbaty.

Podniosła głowę i powiedziała:

— Nie, nie, nie potrzeba, siostrze! Wszystko jest w porządku. Po prostu się rozkleiłam.

— A co panią tak wytrąciło z równowagi? — spytałam.

Nie od razu odpowiedziała, dopiero po dłuższej chwili prawie wyszeptala:

— To wszystko jest zbyt straszne...

— Trzeba przestać o tym myśleć — powiedziałam. — Co się stało, to się nie odstanie. Nie ma sensu tak rozpaczać.

Usiadła prosto i zaczęła przyglądać sobie włosy.

— Rzeczywiście robię z siebie widowisko — przyznała swoim mrukliwym głosem. — Porządkowałam i układałam papiery w biurze. Musiałam czymś się zająć. I nagle mnie napadło...

— Tak, tak, rozumiem — odparłam. — A teraz potrzebna jest pani filiżanka herbaty, a potem termofor z gorącą wodą do łóżka.

I dostała ode mnie jedno i drugie. Nie słuchałam żadnych protestów.

— Dziękuję za wszystko, siostrze — powiedziała, kiedy już ją opatuliłam w łóżku, podałam filiżankę z herbatą i włożyłam termofor pod kołdrę. — Jest siostra bardzo dobrą, mądrą kobietą. Ja naprawdę rzadko się tak rozklejam.

— Każdemu się to zdarza od czasu do czasu — odparłam. — W życiu się różnie układa. A teraz ten szok, emocje, policja, wszystko razem. Ja też czuję się dość nieswojo.

— To, co siostra powiedziała, to szczerą prawdą. Co się stało, to się nie odstanie... — mówiła wolno jakimś dziwnym głosem.

Milczała dobrą minutę, a potem dodała dość nieoczekiwanie:

— Ona nigdy nie była uprzejma.

Nie miałam zamiaru dyskutować z nią na ten temat. Od samego początku uważałam za rzecz naturalną, że panna Johnson i pani Leidner się nie lubią.

Zastanawiałam się, czy przypadkiem panna Johnson nie jest w duchu zadowolona ze śmierci pani Leidner i czy nie wstydzi się tego.

— A teraz proszę iść spać i już więcej się niczym nie trapić! — zarządziłam.

Przed wyjściem jeszcze trochę uporządkowałam jej pokój. Kostium powiesiłam na wieszaku, pończochy przerzuciłam przez oparcie krzesła. Na podłodze leżała kulka zmiętego papieru, która pewno wypadła z kieszeni.

Rozprostowałam papier, żeby sprawdzić, czy można to z czystym sumieniem wyrzucić, kiedy zawołała:

— Proszę mi to oddać!

Byłam bardzo zaskoczona. Tak na mnie krzyknąć?! Wyrwała mi papier z ręki, dosłownie wyszarpnęła, a potem trzymała nad świecą, aż się prawie cały spopielił.

Jak już powiedziałam, byłam zupełnie zaskoczona. Nic nie mówiąc patrzyłam na nią.

Nawet nie zdążyłam zobaczyć, co to za papier, tak mi go szybko wyrwała. Ale niezwykle zbieg okoliczności sprawił, że płonąc papier wyrzucił się i zobaczyłam słowa pisane atramentem.

Dopiero, kiedy kładłam się spać, uświadomiłam sobie, dlaczego te słowa wydawały mi się takie znajome.

Ten sam charakter pisma co w anonimowych listach!

Czy dlatego właśnie panna Johnson się rozkleiła? Czy to były wyrzuty sumienia? Czy to ona od samego początku pisała te anonimy?

PANNA JOHNSON, PANI MERCADO, PAN REITER

Muszę wyznać, że myśl ta bardzo mnie poruszyła. Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, by łączyć pannę Johnson z anonimowymi listami. Panią Mercado — tak, być może. Ale panna Johnson była prawdziwą damą, osobą tak opanowaną i rozumną.

Jeśli autorką anonimowych listów była panna Johnson, to wyjaśniało się wiele spraw. Nawet przez sekundę nie sądziłam, że panna Johnson ma cokolwiek wspólnego z tym morderstwem, ale zdałam sobie sprawę, że jej wielka niechęć do pani Leidner mogła spowodować, że mówiąc wulgarnie chciała jej napędzić porządnego stracha.

Może spodziewała się, że tym sposobem wygoni panią Leidner z terenu wykopaliska.

Po morderstwie panna Johnson poczuła straszliwe wyrzuty sumienia. Po pierwsze, z powodu okrucieństwa listów, a po drugie dlatego, że stanowiły one doskonałą tarczę czy osłonę dla prawdziwego mordercy. Nic dziwnego, że się teraz załamała. Byłam pewna, że panna Johnson jest w gruncie rzeczy poczciwą duszą. Dlatego tak ochoczo uczepiła się moich słów pocieszenia, że co się stało, to się nie odstanie.

I ta jej enigmatyczna uwaga, jak gdyby samousprawiedliwienie, że „ona nigdy nie była uprzejma”.

Powstało pytanie, co mam z tym wszystkim zrobić?

Wierciłam się w łóżku i wreszcie zdecydowałam, że przy pierwszej okazji opowiem wszystko panu Poirotowi.

Przyjechał do nas nazajutrz, ale nie miałam okazji, żeby z nim porozmawiać na osobności.

Gdy wreszcie zostaliśmy na chwilę sami, nim zdołałam się przygotować do opowiedzenia mu całej historii, pan Poirot podszedł do mnie i na ucho wyszeptał:

— Będę rozmawiał z panną Johnson, i być może innymi, w pokoju dziennym. Czy siostra nadal ma klucz do pokoju pani Leidner?

— Tak, mam.

— *Tres bien!* Proszę tam iść, zamknąć za sobą drzwi i krzyknąć. Nie wrzeszczeć, ale tylko krzyknąć. Rozumie siostra, co ja mówię? Chcę, żeby siostra wyraziła niepokój, wielkie zdziwienie, ale nie straszne przerażenie. I proszę też wymyślić jakieś wytłumaczenie. Przycięty palec czy coś podobnego.

W tym momencie pojawiła się na dziedzińcu panna Johnson i nie mogłam już nic więcej powiedzieć.

Wiedziałam bardzo dobrze, o co chodzi panu Poirotowi. Jak tylko wszedł z panną Johnson do dziennego pokoju, ja udałam się do sypialni pani Leidner. Otworzyłam drzwi z klucza, weszłam i zamknęłam je za sobą.

Muszę powiedzieć, że czułam się bardzo głupio stojąc pośrodku pustego pokoju mając bez powodu krzyczeć. Poza tym nie wiedziałam, jak głośno trzeba krzyczeć. Zawołałam więc „Och”, a potem jeszcze raz ciszej i następnie głośniej.

Wysłałam przygotowując alibi.

Szybko się jednak zorientowałam, że żadnego tłumaczenia nie potrzebuję fabrykować, ponieważ nikt mnie o nic nie pyta. Pan Poirot i panna Johnson pogrążeni byli w rozmowie, której nic im nie zakłóciło. Żadne moje krzyki.

To wyjaśnia sprawę, pomyślałam sobie. Albo panna Johnson wyimaginowała sobie, że słyszała krzyk pani Leidner, albo to było zupełnie co innego.

Nie chciałam wchodzić do dziennego pokoju i przeszkadzać. Usiadłam na werandzie w leżaku. Dochodziły do mnie głosy rozmawiających:

— Sytuacja jest delikatna, pani to rozumie — mówił Poirot. — Pan Leidner uwielbiał swoją żonę...

— O tak — zgodziła się panna Johnson. — Uwielbiał.

— No i uważa, że cały personel bardzo ją lubił. Wszyscy to wiedzą i co mogą powiedzieć? Oczywiście potwierdzą jego słowa. Są bardzo grzeczni. Tak nakazuje przyzwoitość. Zresztą to może być prawda, że wszyscy ją lubili. Ale może i nieprawda. Jestem przekonany, *mademoiselle*, że kluczem do zagadki jest zrozumienie charakteru pani Leidner. Gdybym mógł otrzymać opinię, taką uczciwą opinię, od każdego członka ekspedycji, to mógłbym z kawałków zbudować obraz całości. Szczerze mówiąc po to właśnie tutaj dziś przyjechałem. Wiem, że doktor Leidner jest w Hassanieh. Łatwiej mi jest odbyć z każdym rozmowę na osobności prosząc o pomoc.

— To wszystko bardzo pięknie... — zaczęła panna Johnson i urwała.

— Tylko proszę nie karmić mnie brytyjskimi cliches — odezwał się Poirot. — Proszę nie mówić, że to nie po sportowemu, że to nie fair play, że o zmarłych mówi się tylko dobrze, że — *enfin* — istnieje taka sprawa jak lojalność. Przy zbrodni lojalność to zgubny grzech. Zasłania prawdę.

— Nie poczuwam się do żadnej lojalności wobec pani Leidner — odparła sucho panna Johnson. Powiedziałabym, że nawet nie sucho, ale wręcz zjadliwie. — Doktor Leidner to inna sprawa, No cóż, ona była jego żoną.

— Właśnie! Właśnie! — ucieszył się pan Poirot. — I rozumiem, że nie chciałaby pani źle mówić o żonie swego przełożonego. Ale tu nie chodzi o wystawianie komuś, jak to się mówi, laurki. To jest sprawa nagłej i tajemniczej śmierci. Mam wierzyć, że zabito udręczonego anioła? W takim razie moje zadanie robi się trudniejsze.

— Nigdy bym nie nazwała jej aniołem! — prychnęła panna Johnson jeszcze bardziej zjadliwie.

— Proszę więc o szczerą opinię o pani Leidner jako o kobiecie!

— Hmm! Przedtem jednak uprzedzę pana, panie Poirot, że nie będę bezstronna. Jestem, wszyscy jesteśmy, bardzo oddani doktorowi Leidnerowi. No a kiedy pojawiła się pani Leidner, chyba poczuliśmy wielką zazdrość. Nie podobało się nam, że ona tak bardzo absorbuje jego uwagę. To tak, jakby go nam zabierała. Irytowały nas objawy jego adoracji. Mówię prawdę, panie Poirot. Bardzo nieprzyjemną dla mnie prawdę. To prawda, że nie podobała mi się jej obecność tutaj, przyznaję, chociaż starałam się nigdy tego po sobie nie pokazywać. Jej obecność bardzo tu nam przeszkadzała.

— Nam? Powiedziała pani nam?

— Panu Careyowi i mnie. My tu jesteśmy od lat, pan to wie. Nie podobał się nam nowy porządek. To chyba zupełnie naturalne, chociaż małostkowe. Ale różnica była ogromna.

— W czym różnica?

— We wszystkim. Przedtem było tu wspaniale. Wesoło, szczęśliwie. Byliśmy zgrani, żartowaliśmy swobodnie, no wie pan, jak ludzie, którzy razem pracują i dobrze się znają. Doktor Leidner potrafił dokazywać jak mały chłopiec.

— A pani Leidner to wszystko zmieniła?

— Może to nie była jej wina. W zeszłym roku nie było jeszcze tak źle. I niech mnie pan dobrze zrozumie, panie Poirot. Tu nie chodzi o to, że ona coś robiła nie tak, jak potrzeba, albo że coś takiego mówiła. Zawsze była dla mnie czarująca. Naprawdę czarująca. Dlatego też się tak czasami wstydziłam. To nie jej wina, że niektóre jej słówka czy postęпки budziły we mnie nieprzyjemne reakcje. Prawdę mówiąc, zachowywała się bez zarzutu.

— Niemniej wszystko się zmieniło w tym roku? Zapanowała inna... atmosfera?

— Zupełnie inna. Sama nie wiem, co się stało. Wszystko zaczęło iść źle. Nie w pracy, ale między nami. Zaczęły puszczać nerwy. Następowaly spięcia. Wszyscy byli nieustannie zdenerwowani. Czuliśmy się jak przed wielką burzą.

— I to było w wyniku obecności pani Leidner?

— Przecież wcześniej nigdy tak nie było! — powiedziała sucho panna Johnson. — Wiem, wiem, że jestem starą wiedźmą i wiecznie narzekam. I jestem konserwatywna. Lubię wszystko tak, jak było przedtem. Niech pan nie zwraca uwagi na to, co mówię, panie Poirot.

— A jak by pani określiła charakter i temperament pani Leidner?

Panna Johnson długo się wahała, a potem zaczęła wolno mówić:

— Temperament to miała! Nagłe wzloty i upadki. Jednego dnia bardzo dla wszystkich miła, a następnego dnia nie otwiera ust. Ale myślę, że na ogół była dobra. I troskliwa dla innych. A jednocześnie widać było, że przez całe życie rozpieszczano ją. To wieczne usługiwanie Leidnera przyjmowała jako rzecz naturalną. Właściwie to chyba nie zdawała sobie sprawy, jakiego wspaniałego, no i wielkiego człowieka poślubiła. Czasami bardzo mnie to złościło. Poza tym była nerwowa i nieustannie spięta. Ta jej imaginacja i stany, do jakich się doprowadzała! To wprost niewiarygodne! Dziękowałam Bogu, kiedy doktor Leidner sprowadził tutaj siostrę Leatheran. Zajmowanie się pracą i stanami emocjonalnymi swojej żony było dla niego zbyt wielkim ciężarem.

— Co pani sądzi o tych anonimowych listach, które otrzymywała?

Pochyliłam się w krześle do pozycji, w której mogłam widzieć profil twarzy panny Johnson zwróconej w stronę Poirota. Nie potrafiłam się powstrzymać.

Wydawała się całkowicie opanowana.

— Myślę, że ktoś w Ameryce zawziął się na nią i chciał ją przestraszyć albo po prostu dręczyć.

— Nic poważniejszego?

— Tak mi się wydaje. Pan wie, że ona była bardzo przystojna, i taka kobieta łatwo robi sobie wrogów. Myślę, że listy pisała jakaś zazdrosna rywalka. A pani Leidner będąc z natury pobudliwa wzięła wszystko na serio.

— To prawda — powiedział pan Poirot. — Ale proszę pamiętać, że ostatni list przyszedł bez pośrednictwa poczty...

— Przypuszczam, że łatwo to było zorganizować, jeśli ktoś się chciał potrudzić. Kobiety czasami posuwają się bardzo daleko i poświęcają wiele wysiłku, by zaspokoić pragnienie zemsty.

Święta racja, moja pani, pomyślałam sobie.

— Być może, *mademoiselle*. Słuszna uwaga, że pani Leidner była przystojna. A tak przy okazji, zna pani Sheilę Reilly, córkę doktora Reilly?

— Sheilę? Oczywiście!

— Słyszałem plotkę, a nie chciałem o to pytać doktora — zaczął Poirot konfidencjonalnym tonem — że pomiędzy nią a jednym z członków ekspedycji była... *tendresse*? Wie pani coś o tym?

Panna Johnson wydawała się raczej rozbawiona tym pytaniem.

— Obaj młodzi ludzie, Coleman i Emmott, skakali wokół Sheili. Wiem, że rywalizowali między sobą, który z nich ma być jej partnerem na jakimś tam balu. Obaj regularnie odwiedzali klub w soboty wieczorem. Ale nie mam pojęcia, czy z jej strony... To jedyna młoda osoba w okolicy, pan chyba o tym wie, i korzysta z przywilejów stąd płynących. W jej orszaku kawalerów do tańca są również młodzi oficerowie lotnictwa.

— Ale uważa pani, że to nic poważnego?

— Naprawdę nie wiem. — Panna Johnson zaczęła się zastanawiać. — To prawda, że ona tu dość często ostatnio przyjeżdża... Na wykopaliska. Pani Leidner nawet sobie z tego żartowała któregoś dnia niedawno. Żartowała z Dawida Emmotta mówiąc, że dziewczyna za nim lata. To było nieładnie z jej strony, taka złośliwa uwaga. Widziałam, że mu się bardzo nie podobało... Tak, zjawiała się tu ostatnio bardzo często, nawet tego tragicznego popołudnia widziałam ją w drodze na wykopaliska. — Kiwnęła głową w kierunku otwartego okna. — Ale tego popołudnia ani Coleman, ani Emmott nie mieli dyżuru na wykopalisku! Wtedy był

tam Ryszard Carey! Tak, może ma pan rację, że podoba się jej któryś z chłopców, ale ona jest taką nowoczesną, mało sentymentalną młodą kobietą, że człowiek nie wie, do jakiego stopnia brać poważnie to, co ona robi czy mówi. I nie mam pojęcia, który by to miał być. Bill jest bardzo miły. I wcale nie jest takim głupcem, jakiego udaje, Dawid Emmott to kochany chłopak. Ma bardzo dobrze ułożone w głowie. Cichy, spokojny, ale swój rozum ma. Jaki to wszystko ma związek ze zbrodnią? — spojrzała pytająco na Poirota.

Detektyw wzniosł ręce do góry. Taki bardzo typowy francuski gest.

— Bardzo się czerwienię, *mademoiselle* — odparł. — Odkryła pani, jaki ze mnie jest stary plotkarz. No ale cóż, zawsze mnie interesowały miłosne przygody młodych ludzi.

— O tak — odparła panna Johnson wzdychając. — To miło patrzeć jak miłość rozkwita bez przeszkód.

Poirot zrewanżował się westchnieniem. Zastanawiałam się, czy panna Johnson myślała właśnie o jakiejś swojej przygodzie miłosnej za młodu. I zastanawiałam się też, czy pan Poirot jest żonaty i czy żyje tak, jak się zawsze słyszy, że żyją cudzoziemcy — to znaczy utrzymuje metresy. Wyglądał jednak tak komicznie, że nie mogłam sobie tego wyobrazić.

— Sheila Reilly ma silny charakter — powiedziała panna Johnson. — Jeszcze młoda i bez manier, ale to dobra dziewczyna.

— Wierzę pani na słowo, *mademoiselle*! — odparł Herkules Poirot.

— Czy są obecni inni członkowie ekspedycji? — spytał wstając.

— Gdzieś powinna być Maria Mercado. Wszyscy mężczyźni wybrali się dziś na wykopaliska. Myślę, że po prostu nie chcieli zostawać w domu. Rozumiem ich. Jeśli chciałby pan iść do nich... — Wyszła na werandę, zobaczyła mnie i powiedziała z uśmiechem: — to siostra Leatheran na pewno chętnie pana zaprowadzi.

— Oczywiście, panno Johnson! — odparłam.

— I wróci pan na lunch, panie Poirot?

— Będę zachwycony, *mademoiselle*! — odpowiedział.

Panna Johnson wróciła do pokoju dziennego, gdzie zajęła się katalogowaniem.

— Pani Mercado jest na dachu — poinformowałam pana Poirota. — Chce pan z nią najpierw porozmawiać?

— Myślę, że to dobry pomysł — odparł. — Chodźmy na dach.

— Zrobiłam, co pan mi kazał — powiedziałam mu idąc schodami na górę. — Czy coś pan słyszał?

— Absolutnie nic.

— Przynajmniej panna Johnson przestanie się zadrezczać. Przez cały czas wyrzuca sobie, że wtedy nie zareagowała.

Pani Mercado siedziała na murku, z nisko opuszczoną głową, tak zamyślona, że nawet nas nie usłyszała do chwili, gdy Poirot stając tuż za nią wypowiedział słowa powitania.

Zaskoczona podniosła głowę.

Wyglądała bardzo źle. Szczuplutka twarz jakby jeszcze bardziej zmaląła, postarzała się i poszarzała.. Pod oczami pojawiły się wielkie ciemne sińce.

— *Encore moi* — powiedział Poirot. — Przychodzę dziś w specjalnym celu.

I zaczął dalej urabiać ją sobie, podobnie jak poprzednio pannę Johnson. Długo tłumaczył, jakie to ważne dla niego mieć prawdziwy wizerunek pani Leidner i tak dalej.

Jednakże pani Mercado nie była taka uczciwa, jak jej poprzedniczka. Zaczęła na wszystkie strony wychwalać panią Leidner w sposób daleki od tego, co naprawdę myślała.

— Droga, kochana Luiza! Jakże trudno opisać ją komuś, kto jej nie zna! To była wyjątkowa, niesłychanie egzotyczna istota. Inna od wszystkich. Siostra to od razu wyczuła, prawda? Oczywiście była niewolnicą swoich nerwów, no i miała przywidzenia. Ale człowiek był gotów jej pobłażać i wybaczyć, tak jak nikomu innemu. I była dla nas wprost słodka, prawda, siostrze? I taka pokorna. Nie mając wielkiego pojęcia o archeologii bardzo pragnęła

wszystkiego się uczyć. Zawsze wypytywała mojego męża o chemiczne preparaty i sposoby czyszczenia metali, a pannie Johnson pomagała kleić gliniane naczynia. Byliśmy jej wszyscy niesłychanie oddani!

— Nie jest więc prawdą, *madame*, co słyszałem, że były tu jakieś tarcia i... niemiła atmosfera?

Pani Mercado otworzyła szeroko swe czarne, dość mętne oczy.

— Ooo! A któż mógł mówić takie rzeczy? Siostra? Doktor Leidner? Jestem pewna, że ten biedaczysko nic nie widział!

I pani Mercado rzuciła w moim kierunku bardzo nieprzyjazne spojrzenie.

Poirot uśmiechnął się.

— Mam swoich szpiegów, *madame*! — odparł wesoło. Wydawało mi się, że mu zatrzepotały powieki. Wyraźnie zamrugał.

— Nie sądzi drogi pan — spytała pani Mercado bardzo słodziutko — że w takich jak ten wypadkach ludziom zawsze wydaje się, że widzieli i słyszeli coś co było tylko wytworem ich bujnej fantazji? Wie pan jak to jest! Powstają napięcia, specjalna atmosfera, ludzie wyobrażają sobie, że „mieli przeczucie, iż coś się stanie” i tym podobne. To wszystko wymyślają już po fakcie.

— Wiele jest prawdy w pani słowach, *madame*! — odparł Poirot.

— Żadnych tu napięć nie było, stanowiliśmy jedną wielką szczęśliwą rodzinę.

— Ta kobieta jest największą kłamczuchą, jaką kiedykolwiek widziałam! — powiedziałam z oburzeniem do pana Poirota, kiedy opuściwszy zabudowania szliśmy ścieżką w stronę wykopaliska. — Jestem pewna, że ona nienawidziła pani Leidner z całego! serca.

— To chyba nie jest prawdopodobna osoba — zgodził się Poirot.

— Rozmowa z nią to strata czasu! — warknęłam.

— Co to, to nie! Kiedy ktoś ustami wypowiada kłamstwa, często prawdę mówi oczami. Czego się boi mała pani Mercado? Widziałem strach w jej spojrzeniu. O tak, ona się czegoś bardzo boi. Interesujące!

— Mam coś panu do powiedzenia, panie Poirot — zaczęłam.

I opowiedziałam mu o moim powrocie minionego wieczoru i przekonaniu, że autorką anonimowych listów była panna Johnson.

— Czyżby i ona kłamała? — spytałam. — Z takim spokojem i pewnością mówiła o tych listach dziś rano.

— Właśnie — zgodził się Poirot. — To było bardzo ciekawe, ponieważ się przyznała, że wie o listach! Dotychczas nie rozmawiałem z nikim na ich temat. Jest oczywiście możliwe, że doktor Leidner powiedział jej wczoraj o nich. Są zaprzyjaźnieni od wielu lat. Ale jeśli nie on powiedział, to ciekawe, skąd ona wie.

Moja opinia o panu Poirocie wyraźnie się poprawiła. Bardzo sprytnie sprowokował pannę Johnson do wzmianki o listach.

— Będzie pan z nią o tym rozmawiał? — spytałam. Pan Poirot był wyraźnie zaskoczony.

— Ależ nie! Jest rzeczą nierozsądną przyznać, że coś się wie. Do ostatniej chwili chowam wszystko tutaj — powiedział i postukał się w czoło. — W ostatniej chwili, jak pantera rzucam się na ofiarę i wtedy, i, wielka konsternacja!

Roześmiałam się trochę w duchu na to porównanie pana Poirota do pantery.

Dotarliśmy do wykopalisk. Pierwszą napotkaną osobą był pan Reiter, który z zapalem fotografował szczątki jakiegoś muru.

W moim przekonaniu robotnicy, którzy pracowali w glinianym wykopie, szukali tam, gdzie im się podobało. Tak to w każdym razie wyglądało. Pan Carey mi tłumaczył, że od razu można wyczuć różnicę, kiedy się uderza małym kilofem, i nawet próbował to pokazać. Ale ja żadnej różnicy nie zauważałam. Kiedy taki Arab po swojemu krzyczał „cegła”, to dla mnie była identyczna glina, jak przedtem.

Pan Reiter skończył robienie zdjęć, oddał aparat i kliszę w futerale pomagającemu mu chłopakowi i kazał odnieść do pracowni.

Pan Poirot zadał panu Reiterowi kilka pytań na temat klisz i czasu naświetlania. Pan Reiter chętnie na wszystko odpowiadał. Był wyraźnie bardzo zadowolony, że ktoś interesuje się jego pracą. Po jakimś czasie zaczął przeproszać, że musi odejść, ale właśnie Poirot powtórzył swój wstęp na temat potrzeby odnalezienia prawdziwego oblicza pani Leidner. Właściwie to nie był ten sam wstęp, gdyż za każdym razem Poirot zmieniał to i owo w zależności od osoby, do której się zwracał. Ale wszystko było do siebie podobne i nie mam zamiaru za każdym razem tego samego powtarzać. Z osobami rozsądnymi, takimi jak panna Johnson, Poirot od razu przystępował do rzeczy, z innymi musiał najpierw długo owijać w bawełnę. Zawsze jednak chodziło o to samo.

— Tak, tak, rozumiem — odparł pan Reiter. — Ale niestety, zupełnie nie wiem, jak bym mógł panu pomóc. Jestem tutaj nowy. To mój pierwszy sezon na wykopaliskach. Wiele nie rozmawiałem z panią Leidner. Żałuję bardzo, ale nic panu nie mogę na ten temat powiedzieć.

Była w jego sposobie wyrażania się jakaś sztywność i coś cudzoziemskiego, chociaż nie miał nawet śladu obcego akcentu. To znaczy miał akcent amerykański.

— Może mi pan przynajmniej powiedzieć, czy pan ją lubił czy nie? — spytał Poirot z uśmiechem.

Pan Reiter się zaczerwienił i wyjąkał:

— To była urocza kobieta, naprawdę. I mądra. Miała niezwykły umysł. O tak.

— *Bien!* A więc ją pan lubił. A ona pana lubiła?

Pan Reiter jeszcze bardziej poczerwieniwał.

— Ooo! Ja... ja zupełnie tego nie wiem. Nie wiem, czy mnie w ogóle dostrzegła. Miałem parę potknięć. Zawsze coś nie wychodziło, kiedy chciałem coś dla niej zrobić. Chyba ją złościłem J moją nieporadnością... niezręcznością... To nie było zamierzone. Zrobiłbym wszystko, żeby...

Poirot zlitował się nad biedakiem.

— Doskonale, wspaniale! Mówmy o czymś innym. Czy w zespole panowała dobra atmosfera?

— Że co?

— Czy wszyscy byli w dobrych nastrojach? Czy żartowano i dużo rozmawiano?

— Nie... właściwie nie. Trochę było jakby sztywno... Zamilkł i chyba zmagął się wewnątrz z sobą.

— Bo widzi pan, ja nie jestem zbyt towarzyski — wreszcie wyrzucił z siebie — ludzie mnie krępują. Doktor Leidner był zawsze dla mnie niesłychanie miły. To strasznie głupie, ale zawsze coś źle powiem. Stale coś przewracam, mam po prostu pecha...

Rzeczywiście przypominał wielkie nieporadne dziecko.

— Wszystkim nam się to zdarza za młodu — pocieszył go pan Poirot uśmiechając się łagodnie. Pewność siebie i *savoir faire* przychodzą z wiekiem.

Pożegnaliśmy go i odeszliśmy.

— Ten młody człowiek, *ma soeur*, jest albo bardzo naiwny albo to wspaniały aktor.

Nic nie odpowiedziałam. Ponownie uświadomiłam sobie, że jedna z łych osób, z którymi rozmawiamy, jest niebezpiecznym mordercą. Nieprawdopodobne! Zupełnie nieprawdopodobne zwłaszcza w ten piękny słoneczny poranek!

PAN MERCADO, RYSZARD CAREY

— Widzę, że praca odbywa się w dwu odrębnych sektorach — zauważył pan Poirot.

Pan Reiter robił zdjęcia na nowym terenie nieco mniejszym od głównego. Robotnicy kręcili się jak mrówki, nosili koszyki pełne ziemi lub wracali z pustymi.

— To jest tak zwane głębokie wykopalisko — pochwaliłam się swoją wiedzą. — Wiele tu nie znajdują. Jedyne stare potłuczone skorupy, ale doktor Leidner twierdzi, że są bardzo interesujące, więc to chyba prawda.

— Podejźmy bliżej!

Szliśmy wolno, gdyż było bardzo gorąco.

Przy głównym wykopie dyżurował pan Mercado. Zszedł do dołu, żeby porozmawiać z brygadzystą, starym człowiekiem podobnym do żółwia — na bawełnianej koszuli w paski sięgającej ziemi miał tweedową kurtkę.

Nie było łatwo do nich się dostać, gdyż w dół prowadziła wyrębana w glinie ni to ścieżka ni schodki, którymi tam i z powrotem wędrowali arabscy chłopcy z koszykami. Zachowywali się tak, jakby byli ślepi niby nietoperze i nigdy nie ustępowali z drogi.

Gdy tak szłam powoli na dół za panem Poirot, zadał mi nagle pytanie:

— Czy pan Mercado jest praworęczny, czy leworęczny?

— Praworęczny — odparłam po dłuższej chwili namysłu. Poirot nie był łaskaw mi wyjaśnić, dlaczego go to interesuje.

Poszedł dalej, a ja za nim.

Ale muszę powiedzieć, że było to przedziwne pytanie!

Pan Mercado wydawał się zadowolony z naszego przyjścia.

Jego zwykle pełna melancholii twarz rozjaśniła się uśmiechem.

Poirot okazywał zainteresowanie archeologią, choć byłam pewna, że wcale go nie odczuwa, a pan Mercado natychmiast chwycił przynętę.

Zaczął nam wyjaśniać, że udało się już zejść poniżej dwunastu poziomów niegdyś zamieszkiwanych przez ludzi.

— Jesteśmy teraz bez wątpienia w czwartym milenium — powiedział z dumą.

Zawsze myślałam, że określenie milenium stosuje się tylko do przyszłości, czasu, kiedy już wszystko zaczyna układać się dobrze.

Mercado wskazywał nam czarne pasma popiołów (jakże mu się trzęsła przy tym ręka: czyżby miał malarię?) i wyjaśniał, jak zmieniły się kształty naczyń. Opowiadał też o zwyczajach związanych z grzebaniem zmarłych i że na jednym poziomie znaleziono cmentarzysko wyłącznie małych dzieci — biedne maluchy! — i coś jeszcze o orientacji i łamanej pozycji, co miałyby niby oznaczać, jak leżały znalezione kości.

Nagle, kiedy się schylił, żeby podnieść coś, co przypominało krzemienisty nóż, leżący w rogu wraz z jakimiś garnkami, skoczył do góry i przeraźliwie krzyknął.

Obrócił się do nas. Staliśmy zdumieni.

Złapał się dłonią za lewe przedramię.

— Coś mnie ugryzło! Jak rozpalona igła! Okropne! Poirot nie stracił przytomności umysłu.

— Szybko, *mon cher*, proszę pokazać! Siostró Leatheran! Zbliżyłam się.

Poirot chwycił rękę pana Mercado i szybko podwinął rękaw koszuli khaki do samej góry.

— O tu! — wskazał pan Mercado.

Jakieś osiem centymetrów poniżej ramienia widać było drobne ukłucie, z którego sączyła się krew.

— Ciekawe — powiedział Poirot. Obejrzał dokładnie rękaw koszuli. — Nic nie widać. Najmniejszej dziurki. Może mrówka?

— Chyba lepiej zajadynować to miejsce — zaproponowałam. Zawsze noszę z sobą jodynowy sztyft. Wyjęłam go z torebki i posmarowałam miejsce uklucia. Kiedy to zrobiłam, moją uwagę zwróciło zupełnie coś innego: całe przedramię pana Mercado aż po łokieć pokryte było śladami drobnych ukłuć. Wiedziałam dobrze, co to znaczy — ślady po igłach od strzykawki.

Pan Mercado odwinął z powrotem rękaw koszuli i wrócił do swoich wyjaśnień. Pan Poirot słuchał grzecznie i wcale nie próbował skierować rozmowy na temat pani Leidner. W rzeczy samej nie zadał panu Mercado ani jednego pytania.

Wkrótce się z nim pożegnaliśmy i wróciliśmy tą samą ścieżką na górę.

— Dobra robota, nie uważa siostra? — spytał mój towarzysz.

— Co, dobra robota?

Pan Poirot wyjął coś z klapy marynarki i przyglądał się temu z rozczeniem. Właśnie, z rozczeniem! Zorientowałam się po chwili, że jest to długa igła do cerowania, zamieniona w szpilkę dzięki dużej kropli laku.

— Panie Poirot! — wykrzyknęłam. — To był pan? — Tak, to ja byłem kłującą mrówką. I dobrze to zrobiłem, prawda? No, niech siostra powie? Nic siostra nie zauważyła, co? Święta prawda. Zupełnie nic nie zauważyłam. I jestem pewna, że pan Mercado też nic nie podejrzewał. Pan Poirot zadziałał jak błyskawica.

— Ale po co, dlaczego? Odparł mi pytaniem:

— Czy siostra coś spostrzegła? Skinęłam powoli głową.

— Ślady po zastrzykach.

— I już coś wiemy o panu Mercado. Podejrzewałem, ale nie byłem pewny. Zawsze trzeba wiedzieć.

Cel uświęca środki, pomyślałam sobie, ale nic nie powiedziałam.

Poirot trzepnął się nagle dłonią po kieszeni. — Ach, upuściłem tam chusteczkę. W niej miałem ukrytą szpilkę.

— Pójdę jej poszukać — powiedziałam i pośpieszyłam z powrotem na dół.

Doszłam już do tego, że uważałam pana Poirota i siebie za parę, tak jak doktor i pielęgniarka, którzy opiekują się chorym. A może raczej byliśmy jak para przy operacji, on w roli chirurga, a ja — instrumentariuszki. Może nie powinnam tego mówić, ale zaczęło mnie to nawet bawić.

Przypomniałam sobie, jak to zaraz po skończeniu kursów pielęgniarских i praktyki pracowałam w prywatnym domu i nagle zaistniała konieczność natychmiastowej operacji. Mąż pacjentki miał uraz do szpitali. Nie chciał nawet słyszeć, żeby żonę tam zabrano. Zażądał, żeby dokonać zabiegu w domu.

Dla mnie to było wspaniałe doświadczenie. Nikt mi nie zaglądał przez ramię. Sama odpowiadałam za wszystkie przygotowania do operacji. Oczywiście byłam niesłuchanie podniecona i zdenerwowana. Niby pomyślałam o wszystkim, czego doktor mógł potrzebować, a jednak bałam się, że o czymś zapomniałam. Z lekarzami nigdy nie wiadomo. Czasami potrafią zażądać czegoś, co by człowiekowi w ogóle do głowy nie przyszło. Ale tym razem poszło wspaniale. Każda rzecz, o którą poprosił doktor, była pod ręką. Po operacji to mi nawet powiedział, że przygotowałam ją na piątkę z plusem. Większość lekarzy nawet by dziękuję nie powiedziała. Ten był bardzo miły. I sama ze wszystkim sobie poradziłam!

Pacjentka szybko wyzdrowiała i wszyscy byli zadowoleni. Teraz czułam się podobnie. Pan Poirot przypominał mi tamtego chirurga. I był nawet równie niski. Brzydactwo o twarzy małpki, ale wspaniały chirurg. Instynktownie wiedział, gdzie co ciąć. Spotykałam wielu chirurgów i wiem, jak są różni.

Powoli wzbierało we mnie zaufanie do pana Poirota. Czułam, że on też dokładnie wie, do czego zmierza, i co robi. I wierzyłam, że moim świętym obowiązkiem jest mu pomagać, żeby miał zawsze, kiedy potrzeba, pod ręką — niech mi wolno będzie powiedzieć — skalpel,

klamry, sączki, nożyczki i co tam jeszcze. Dlatego też było w moim pojęciu zupełnie naturalną rzeczą zejść na dół i poszukać mu zagubionej chusteczki. Bo to zupełnie to samo, co podnieść z ziemi ręcznik upuszczony przez lekarza.

Kiedy znalazłam chustkę i wróciłam na górę, w pierwszej chwili nigdzie nie mogłam dostrzec pana Poirota. Wreszcie go ujrzałam. Siedział w pobliżu pagórka rozmawiając z panem Careym. Arabski pomocnik stał z boku z takim długim drągiem, na którym oznaczone były metry. Pan Carey coś powiedział do chłopca, który odszedł zabierając drąg. Widocznie już nie był potrzebny.

Chciałabym, żeby nie było żadnych niejasności, jeśli chodzi o tok wydarzeń. I mój opis. Bo nie byłam bardzo pewna, czego ode mnie wymaga pan Poirot. Co mam robić, a czego nie. Mogło być tak, że on mnie celowo posłał po tę chustkę. Żeby się mnie pozbyć.

I znów można to porównać z operacją. Trzeba lekarzowi zawsze podawać to, czego potrzebuje, a nie podsuwać niepotrzebnie zbyt wiele. Na przykład, przypuśćmy, że poda mu się klamry arteryjne w nieodpowiedniej chwili, a spóźni z nimi, kiedy są natychmiast potrzebne. Dzięki Bogu znam dobrze swoje obowiązki na sali operacyjnej! Mało prawdopodobne, abym tam popełniła błąd.

Ale w tym przypadku byłam dopiero początkującą praktykantką. Musiałam więc zachowywać wielką ostrożność, by nie popełnić jakiegoś głupstwa.

Oczywiście ani przez chwilę nie myślałam, że pan Poirot chce przede mną ukryć treść swojej rozmowy z panem Careym, ale pewno uważał, że ten więcej powie, jeśli mnie tam nie będzie.

Nie chciałam, aby ktokolwiek pomyślał, że należę do kobiet lubiących podsłuchiwać cudze rozmowy. Taka nie jestem. Naprawdę. Chociaż teraz, na przykład, bardzo chciałam słyszeć, o czym mówią. Ale sytuacja była nieco inna. Chodzi mi o to, że gdyby to była rozmowa prywatna, to nigdy bym nie zrobiła tego, co w tym wypadku — otwarcie przyznaję — uczyniłam.

Oceniając sytuację nie mogłam nie dostrzec, że jestem w uprzywilejowanej sytuacji. Jako pielęgniarka słyszę niejedno, co mówią pacjenci po narkozie. Często wcale by nie chcieli, żeby ich kto słyszał i przeważnie nie wiedzą, że ich słyszano. Fakt pozostaje faktem — pielęgniarka słyszy. Potraktowałam pana Careya jako pacjenta. Uznałam, że nie zaszkodzi mu moja obecność, ponieważ nie będzie o niej wiedział. A jeśli kto pomyśli sobie teraz, że jestem strasznie ciekawska, to przyznaję się, ponieważ rzeczywiście chciałam wiedzieć wszystko, co tylko można, w sprawie morderstwa.

Wobec powyższego zawróciłam, obeszłam pagórek od tyłu za wysypiskiem i znalazłam się o pół metra od rozmawiających, niewidoczna za stertą ziemi. A jeśliby ktoś powiedział, że to niehonorowo, to ośmielałam się być innego zdania. Nie wolno niczego ukrywać przed pielęgniarką obciążoną odpowiedzialnością za chorego! Choć oczywiście lekarz mówi, co należy zrobić.

Nie miałam pojęcia, jaką linię działania wybrał tym razem pan Poirot, ale kiedy się koło nich znalazłam, to już zbliżał się do sedna sprawy.

— Doskonale rozumiem głębokie oddanie doktora Leidnera żonie. Uroczą kobietą — mówił Poirot. — Niemniej często można dowiedzieć się znacznie więcej o człowieku od jego wrogów niż przyjaciół.

— Czy pan sugeruje, że wady człowieka są ważniejsze od jego cnót? — zapytał pan Carey ironicznym i suchym tonem.

— *Sons doute*. Tak jest wówczas, gdy ma się do czynienia z morderstwem. Być może to bardzo dziwne, ale nie zajmowałam się jeszcze wypadkiem, gdy zamordowano kogoś dlatego, że miał anielski charakter. Chociaż przyznam, że anielskość bywa czasami irytująca.

— Chyba powinien pan wybrać kogoś innego, by oświecił pana w tej kwestii — odrzekł pan Carey. — Mówiąc szczerze niezbyt dobrze układały się stosunki między mną a panią

Leidner. Nie chcę przez to powiedzieć, że byliśmy do siebie wrogo nastawieni. Nie byliśmy jednak przyjaciółmi. Wydaje mi się, że pani Leidner była nieco zazdrosna o moją wieloletnią bliską zażyłość z jej mężem. Jeśli natomiast o mnie chodzi, to, mimo iż ją podziwiałem i dostrzegałem jej wielką urodę, miałem jej nieco za złe zbyt wielki wpływ na doktora Leidnera. W efekcie byliśmy dla siebie bardzo grzeczni, ale nic ponadto.

— Bardzo jasno wyłożone — stwierdził pan Poirot. Dostrzegałam tylko ich głowy i zauważyłam, że po ostatnich słowach pana Poirota pan Carey bystro spojrział w jego stronę, jakby uderzyło go coś niezbyt przyjemnego w tonie detektywa. Pan Poirot kontynuował:

— Czy doktor Leidner trapił się tym, że pan i jego żona są w niezbyt dobrej komitywie? Carey przez chwilę wahał się z odpowiedzią.

— Właściwie to nie wiem — powiedział. — Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Miałem nadzieję, że po prostu tego nie dostrzega.

— Więc właściwie nie lubił pan pani Leidner? Carey wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie bardzo bym ją polubił, gdyby nie była żoną doktora — roześmiał się, jakby rozbawiony własnym oświadczeniem.

Poirot układał jakiś wzór z glinianych skorupki. Odezwał się rozmarzonym, zupełnie nie pasującym do niego głosem:

— Dziś rano rozmawiałem z panną Johnson. Przyznała, że była uprzedzona do pani Leidner i serdecznie jej nie znosiła, chociaż, jak przyznała, pani Leidner była wobec niej uprzedzająco grzeczna.

— Tak chyba właśnie było — zgodził się pan Carey.

— Za to później uciałem sobie pogawędkę z panią Mercado, która mi szeroko opowiadała o swoim oddaniu dla pani Leidner i wielkiej dla niej sympatii.

Carey nie zareagował. Po minucie milczenia Poirot kontynuował:

— Nie uwierzyłem jednak pani Mercado. Potem przyszedłem tutaj porozmawiać z panem. Wysłuchałem tego, co pan powiedział i znowu nie wierzę...

Carey zeszytniał. W jego głosie wyczułam z trudem hamowany gniew:

— Trudno mi odpowiadać za to, w co pan wierzy czy nie. Usłyszał pan prawdę i jeśli o mnie chodzi, może pan z nią robić, co się panu żywnie podoba.

Poirot wcale się nie rozgniewał. Przeciwnie, na pozór wydał się zbity z tropu i nieco zdeprymowany.

— Rzeczywiście to tylko ode mnie zależy w co wierzę albo nie wierzę. Wie pan jednak, że mam bardzo wyczułone ucho. A poza tym tyle rzeczy ludzie opowiadają. Tyle plotek! Człowiek słucha i czasami się czegoś dowiaduje. O tak, bardzo dużo się słyszy...

Carey zerwał się na równe nogi. Dostrzegłam pulsującą żyłkę na jego skroni. Wyglądał cudownie! Szczupły, ogorzały. Co za sylwetka! A jaki wspaniały profil! Nic dziwnego, że kobiety za nim szalały.

— Co takiego się słyszy? — zapytał ostro. Poirot spojrział na niego z ukosa.

— Może pan zgadnie. Zwykła historia. O panu i pani Leidner...

— Jakież brudne myśli mają ludzie!

— *N'est-ce pas?* Ludzie są jak ujadające psy! Ale wiadomo też, że choćby nie wiem jak głęboko zakopało się kość, to pies ją wygrzebie...

— I pan wierzy temu, co opowiadają?

— Ja zawsze daję się przekonać... prawdzie — odparł Poirot bardzo poważnie.

— Tylko czy pan potrafi poznać prawdę? — Carey zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Niech pan zaryzykuje — powiedział Poirot, pilnie przyglądając się swemu rozmówcy.

— No to panu powiem. Niech pan usłyszy tę swoją prawdę! Nienawidziłem Luizy Leidner! Nienawidziłem jej z całego serca!

DAWID EMMOTT, OJCIEC LAVIGNY I ODKRYCIE

Obracając się na pięcie Carey odszedł długimi zdecydowanymi krokami.

Herkules Poirot długo za nim patrzył i wreszcie wymamrotał:

— Aha! Rozumiem.

Nie odwracając głowy odezwał się nieco głośniej:

— Jeszcze przez chwilę niech siostra się nie pokazuje, siostrzo Leatheran. Na wypadek, jakby miał odwrócić głowę. Teraz już można. Ma siostra moją chusteczkę? Bardzo dziękuję. Jest siostra niesłychanie uprzejma.

Nie powiedział ani słowa na temat tego, że byłam w pobliżu i słuchałam. I nie mam pojęcia, skąd o tym wiedział. Ani razu nie spojrzął nawet w moim kierunku. Odetchnęłam z ulgą, że nie miał pretensji. Ja nie miałam żadnych wyrzutów sumienia, ale gdyby zapytał czemu to zrobiłam, głupio byłoby mi się tłumaczyć.

— I myśli pan, że on jej naprawdę nienawidził, panie Poirot? — spytałam.

Na twarzy Herkulesa Poirota malował się bardzo dziwny wyraz.

— Chyba tak — kiwnął głową. — Myślę, że tak.

Następnie się zerwał i ruszył w kierunku wykopalisk, gdzie pracowali robotnicy. Poszłam za nim. Najpierw widzieliśmy tylko Arabów, ale potem dostrzeżliśmy pana Emmotta leżącego plackiem na ziemi i zdmuchującego pył z jakiegoś szkieletu, który właśnie odkopano.

Kiedy nas zobaczył, uśmiechnął się swym miłym, poważnym uśmiechem.

— Przyszlicie państwo obejrzeć? Za minutę będę do dyspozycji. Usiadł, wziął do ręki nóż i zaczął odskrobywać glinę z kości.

Przerywał często, brał do ręki miech i dmuchał. Niekiedy używał do tego również własnych ust, co moim zdaniem było bardzo niehygieniczne.

— Nałyka się pan całej masy różnych zarazków, panie Emmott — ostrzegłam go.

— Zarazki to mój codzienny pokarm, siostrzo — odparł. Archeologowi najgorsze nawet zarazki nic nie zrobią. Szybko rezygnują.

Poskrobał kość udową, po czym wydał brygadziście jakieś polecenie.

— No dobrze — powiedział wstając. — Wszystko przygotowane dla Reitera. Po lunchu może zabrać się za robienie zdjęć. Ta kobieta miała przy sobie ładne przedmioty. — Pokazał małą spatynowaną miedzianą miseczkę i kilka szpilek. I dużo złotych i niebieskich koralików, pozostałość po naszyjniku.

Wszystko to razem z oskrobanymi kośćmi czekało na fotografa.

— Kim ona była? — spytał Poirot.

— Pierwsze milenium. Być może dama znacznego rodu. Czaszka wyglądała dość dziwnie. Mercado musi rzucić na to okiem. Prawdopodobnie śmierć z nienaturalnych przyczyn.

— Pani Leidner sprzed dwu tysięcy lat? — zasugerował Poirot.

— Kto wie — powiedział Emmott.

W pobliżu pan Coleman stuknął małym kilofem w resztki muru. Dawid Emmott coś do niego zawołał, ale nie zrozumiałam, o co chodzi, i następnie zaczął oprowadzać pana Poirota. Gdy zakończył rolę przewodnika, spojrzął na zegarek.

— Kończymy pracę za dziesięć minut. To co, ruszamy w stronę domu? — spytał.

— Bardzo mi to odpowiada — odparł pan Poirot. Ruszyliśmy powoli już mocno wydeptaną ścieżką.

— Chyba wszyscy są zadowoleni z wznowienia prac — powiedział Poirot.

— O tak, to najlepsze co teraz można zrobić. Straszne jest to kręcenie się po domu i udawanie, że się rozmawia.

— ... ze świadomością, że jedno z was jest mordercą — dość obcesowo dodał Poirot.

Emmott nic na to nie odpowiedział. Nawet nie uczynił gestu wyrażającego protest. Teraz już wiedziałam, że Emmott podejrzewał prawdę od pierwszej chwili, kiedy tak wypytywał służących.

— Czy jest pan bliski rozwiązania? — spytał po paru minutach spaceru.

— Pomoże mi pan jeszcze bardziej się do niego zbliżyć? — odparł poważnie pytaniem Poirot.

— Ależ oczywiście!

— Kluczem do rozwiązania jest pani Leidner — powiedział Poirot przyglądając się bacznie Emmottowi. — Chcę o niej wszystko wiedzieć.

— Co pan ma na myśli?

— Nie chodzi mi o to, skąd pochodzi i jakie było jej panieńskie nazwisko. Nie mówię o owalu jej twarzy i kolorze oczu. Chcę wiedzieć jaka była naprawdę!

— Myśli pan, że to takie ważne w tym wypadku?

— Jestem tego pewien.

Emmott chwilę milczał.

— Chyba ma pan rację — stwierdził wreszcie.

— I tu mi pan właśnie może pomóc.

— Czy naprawdę mogę? Nie wiem. Sam się często zastanawiałem, jaka ona właściwie jest.

— I doszedł pan do jakichś wniosków?

— W końcu chyba tak.

— *Eh bien?*

Jednakże pan Emmott bardzo długo milczał, zanim zaczął mówić.

— A co siostra o niej myśli? Kobiety dość szybko potrafią ocenić przedstawicielki swojej płci, a pielęgniarka ma chyba duże doświadczenie.

Poirot nie dał mi żadnej szansy odpowiedzieć, nawet gdybym chciała.

— Mnie interesuje to, co myśli o pani Leidner mężczyzna — powiedział szybko.

Emmott uśmiechnął się blado.

— Myślę, że wszystkie oceny mężczyzn będą do siebie podobne. — Chwilę milczał. — Choć nie pierwszej młodości była to, moim zdaniem, jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałem w życiu.

— To nie jest odpowiedź na pytanie, panie Emmott.

— Ale jestem bardzo blisko odpowiedzi, panie Poirot! — I znów milczał nim ponownie zabrał głos. — Jako dziecko czytałem kiedyś bajkę o Królowej Śniegu i małym Kayu. Myślę, że pani Leidner była bardzo podobna do Królowej Śniegu. Sypała śniegiem w oczy małemu Kayowi.

— Chyba znam tę bajkę. Hans Andersen, prawda? Ale tam w bajce jest jeszcze mała Gerda, prawda?

— Może, już nie pamiętam.

— Mógłby pan wyrazić się nieco jaśniej? Dawid Emmott potrząsnął głową.

— Nie jestem pewien, czy dobrze scharakteryzowałem panią Leidner. Trudno ją było rozgryźć. Jednego dnia robiła straszne rzeczy, następnego zachowywała się wręcz uroczo. Ale myślę, że pan ma w pełni rację, mówiąc, że kluczem do rozwiązania zagadki jest właśnie pani Leidner. Właściwie to ona zawsze chciała tym być. Kluczem do wszystkiego. Zajmować centralną pozycję na scenie. Być najważniejsza! I uwielbiała dobierać się do innych ludzi. Jej nie wystarczał zwykły podziw innych. Chciała każdemu wypruć bebechy, żeby im się przyjrzeć.

— A jeśli ktoś nie pozwolił nic sobie wypruć? — spytał Poirot.

— Wtedy stawała się groźna. — Zacisnął wargi.

— Nie przypuszczam, panie Emmott, aby zechciał pan wyrazić swoją osobistą, choć nieoficjalną, opinię na temat mordercy! pani Leidner? Kto to mógł być?

— Nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia. Myślę jednak, że gdybym był na miejscu Carla, Carla Reitera, to bym spróbował ją dopaść. Była dla niego okrutna. On się oczywiście o to prosił, był taki czułościowy. On się zawsze prosi, żeby go kopnąć w zadek.

— No i pani Leidner... kopnęła go?

Emmott niespodziewanie wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Nie. Raczej od czasu do czasu kłuła szpilką. To była jej stała metoda. Carl potrafi oczywiście każdego zirytować. Ale z drugiej strony szpilka to bolesna broń.

Rzuciłam krótkie spojrzenie na Poirota i wydawało mi się, że mu wargi drgają w ukrywanym śmiechu.

— Ale przecież pan nie wierzy, że Carl Reiter zamordował panią Leidner?

— Nie. Nie sądzę, aby człowiek mordował kobietę tylko dlatego, że przy posiłkach robiła z niego idiotę.

Poirot w zamyśleniu pokiwał głową.

Moim zdaniem pan Emmott zrobił z pani Leidner nieludzką istotę. Bardzo jednostronna ocena. Bardzo. Było wiele argumentów wprost przeciwnych, usprawiedliwiających jej zachowanie.

Pan Reiter był przecież okropnie irytujący. Dziwnie podskakiwał, kiedy się do niego zwracała i podawał jej raz po raz marmoladę. Idiotyczne! Pani Leidner nigdy nie jadła marmolady i dobrze o tym wiedział. Też bym w takiej sytuacji miała ochotę powiedzieć mu kilka ostrych słów.

Mężczyźni zupełnie nie rozumieją, jak potrafią denerwować kobiety swoim bezmyślnym zachowaniem. Często człowiek ma ochotę dobrać się im do skóry.

Pomyślałam sobie, że w odpowiedniej chwili muszę to powiedzieć panu Poirotowi.

Weszliśmy na dziedziniec i pan Emmott zaproponował detektywowi, by ten odświeżył się w jego pokoju. Poirot przyjął zaproszenie, a ja poszłam szybko do siebie.

Wysłałam ponownie na dziedziniec prawie jednocześnie z oboma panami. Szliśmy właśnie w kierunku jadalni, kiedy na progu swej sypialni pojawił się ojciec Lavigny zapraszając Poirota do siebie. W tej sytuacji do jadalni dotarliśmy tylko z panem Emmottem. Były tam już panna Johnson i pani Mercado, a po paru minutach dołączyli też panowie Mercado, Reiter i Coleman.

Już mieliśmy wszyscy zasiąść do stołu, a pan Mercado wydawał polecenie arabskiemu służącemu, by zawiadomił ojca Lavigny, że podano do stołu, kiedy usłyszeliśmy słaby, tłumiony krzyk.

Nasze nerwy musiały być jeszcze napięte, ponieważ wszyscy aż podskoczyli, a panna Johnson strasznie zbladła.

— Co to było? Co się stało? — wykrzyknęła.

Pani Mercado spojrzała na nią ciekawie i spytała:

— Co się z tobą dzieje, moja droga? To tylko jakiś odgłos z pola.

Wtedy właśnie do jadalni weszli ojciec Lavigny i pan Poirot.

— Myślałam, że komuś coś się stało — powiedziała panna Johnson.

— Tysiąc kroć przepraszam, *mademoiselle* — zawołał Poirot. Wina jest wyłącznie po mojej stronie. Ojciec Lavigny pokazywał mi tabliczki i opowiadał o nich. Wziąłem jedną do ręki i poszedłem z nią do okna, żeby lepiej się przyjrzeć, no i przez nieuwagę uderzyłem się strasznie w duży palec u nogi. *Ma foi*, bardzo boleśnie. Nie wytrzymałem i krzyknąłem.

— A nam przyszło do głowy, że to kolejne morderstwo — powiedziała wesolutko pani Mercado i zachichotała.

— Mario! — skarcił ją mąż.

Pani Mercado zawstydzona się, zaczerwieniła i przygryzła wargi.

Panna Johnson szybko zaczęła coś mówić na temat wykopalisk i o tym, co ciekawego tego dnia odkopano. Podczas całego lunchu wszystkie rozmowy dotyczyły wyłącznie archeologii.

Wszyscy doszliśmy do wniosku, że to najbezpieczniejsze.

Po kawie przeszliśmy do pokoju dziennego, a następnie panowie — z wyjątkiem ojca Lavigny — odeszli znowu na wykopaliska.

Ojciec Lavigny zabrał pana Poirota do magazynu. Poszłam za nimi. Czułam się już niemal członkiem ekspedycji i dość dobrze orientowałam się w eksponatach, dlatego też wręcz z dumą przyglądałam się, jak ojciec Lavigny prezentuje Poirotowi złoty pucharek. Poirot zachował się odpowiednio i wydał okrzyk zachwyty.

— Jakie piękne! To dzieło sztuki!

Ojciec Lavigny zgodził się ochoczo i z wielkim znanstwem zaczął wyjaśniać znaczenie elementów zdobniczych.

— Dziś nie ma śladów wosku — stwierdziłam.

— Wosku? — zapytali równocześnie Poirot i ojciec Lavigny, spoglądając na mnie w zdumieniu.

Wyjaśniłam.

— *Ach, je comprends* — powiedział ojciec Lavigny. — Tak, tak, ze świecy! Stearyna!

I to przywołało natychmiast temat nocnej wizyty w magazynku. Zapominając o mnie obaj panowie zaczęli mówić po francusku, więc zostawiłam ich i przeszłam z powrotem do dziennego pokoju.

Pani Mercado cerowała skarpetki męża, a panna Johnson czytała książkę. Raczej niezwykle jak na nią, zawsze przecież miała tyle do roboty.

Po pewnym czasie z magazynku wyszli ojciec Lavigny i pan Poirot. Ten pierwszy przeprosił, że musi iść, bo czeka na niego praca, Poirot zaś usiadł z nami.

— Bardzo interesujący człowiek — stwierdził po wyjściu ojca Lavigny i spytał, czy zakonnik ma tutaj dużo zajęć.

Panna Johnson wyjaśniła, że dotychczas nie znaleziono wielu tabliczek i zaledwie kilka cegieł z napisami i cylindrycznych pieczęci. Jednakże ojciec Lavigny dyżuruje również przy wykopalisku i nauczył się sporo potocznego arabskiego.

Zaciekawiony Poirot spytał o te cylindryczne pieczęcie, więc panna Johnson wyjęła z szafy arkusz plasteliny na tacce. W plastelinie odcisnięte były wzory pieczęci.

Kiedy staliśmy nad nimi podziwiając bardzo ciekawe rysunki, uzmysłowiłam sobie, że owego fatalnego popołudnia panna Johnson właśnie nad tymi pieczęciami pracowała.

Zauważyłam też, że Poirot miętosi w palcach małą kulkę plasteliny.

— Pani używa dużo plasteliny, *mademoiselle*? — zadał śmieszne pytanie pannie Johnson.

— Sporo. W tym roku zużyliśmy nawet bardzo dużo. Nie wiem, jak i kiedy poszła już ponad połowa zapasów.

— A gdzie przechowuje się plastelinę, *mademoiselle*?

— Tu, w tej szafie.

Po odłożeniu tacki wskazała mu półkę z laskami plasteliny, durofixem, klejem fotograficznym i materiałami biurowymi. Poirot pochylił się.

— A cóż to takiego?

Włożył rękę w głąb półki i wyciągnął coś zmiętego.

Kiedy to wyprostował i wygładził, zobaczyłam prymitywną maskę — oczy i usta narysowane tuszem, dość nieporadnie, a zarys głowy wysmarowany miękką plasteliną.

— Co za przedziwna rzecz! — wykrzyknęła panna Johnson. — Nigdy tego przedtem nie widziałam. Skąd się tu wzięło? I co to jest?

— Na pytanie, skąd się wzięło, odpowiedź prosta: każdy schowek jest dobry. Tej szafy nikt by nie uprzątał do końca sezonu. Jeśli idzie o pytanie, co to jest, to również odpowiedź łatwa, *mademoiselle*: mamy tutaj twarz, którą pani Leidner opisała jako zjawę w oknie. Sama twarz widziana o zmroku, twarz bez ciała.

Pani Mercado wydała krótki ni to okrzyk, ni to pisk.

Pannie Johnson zbieleły usta.

— A więc to nie było przywidzenie! — wyszeptala. — To był kawał. Wstrętny kawał. Kto to zrobił?

— Właśnie! — podchwyciła pani Mercado. — Kto byłby zdolny; zrobić taką straszną, potworną rzecz?

Poirot nie zamierzał odpowiadać. Ze ściągniętą twarzą poszedł do magazynu, skąd wrócił z pustym tekturowym pudełkiem, do którego włożył maskę.

— Trzeba to pokazać policji — oznajmił.

— To okropne! — powiedziała panna Johnson. — Okropne!

— Czy pan sądzi, że wszystko inne jest też gdzieś tutaj schowane? — wykrzyknęła ochryple pani Mercado. — Czy nie myśli pan, że narzędzie... maczuga czy coś tam, czym została zabita, pewno jeszcze zakrwawione, też może...? O Boże, ja się strasznie boję... Okropnie się boję...

Panna Johnson ujęła mocno jej ramię.

— Uspokój się! — powiedziała dość ostro. — Przyjechał doktor Leidner. Nie możemy go denerwować.

W tej chwili rzeczywiście na dziedziniec zajechał samochód. Wsiadł z niego doktor Leidner i ruszył prosto ku drzwiom dziennego pokoju. Miał zmiętą, zmęczoną twarz i wyglądał dwa razy starzej niż przed trzema dniami.

Podszedłszy bliżej powiedział cicho:

— Pogrzeb jutro o jedenastej. Major Deane odczyta modlitwy. Pani Mercado szepnęła coś niezrozumiale i wymknęła się z pokoju.

Doktor Leidner zwrócił się do panny Johnson:

— Pojedziesz, Anno?

— Oczywiście, mój drogi. Wszyscy pojedziemy.

Nie powiedziała nic więcej, ale twarz jej wyrażała to wszystko, czego język nie był zdolny wypowiedzieć. Doktor Leidner to szybko dostrzegł i rozumiał, gdyż na chwilę twarz mu się rozjaśniła.

— Moja droga Anno — powiedział. — Jesteś dla mnie wielkim pocieszeniem i wsparciem. — Oczy błysnęły mu tłumionym uczuciem. Położył dłoń na jej ramieniu. — Moja droga przyjaciółko!

Zaczerwieniła się po uszy i wymamrotała chrapliwym głosem:

— Nic nie mów, daj spokój.

Uchwyciłam jej spojrzenie i wiedziałam, że przez tę krótką chwilę panna Johnson była bardzo szczęśliwą kobietą.

Przemknęła mi przez głowę nowa myśl. Być może wkrótce, naturalnym biegiem rzeczy, profesor Leidner, szukając wsparcia w starej przyjaciółce, odnajdzie spokój ducha i szczęście,

Nie jestem swatką, z pewnością nie. Poza tym było niemalże nieprzyzwoitością myśleć o czymś podobnym jeszcze przed pogrzebem dopiero co zmarłej żony. Niemniej to byłoby dobre rozwiązanie! Doktor Leidner miał wobec niej ciepłe uczucie, a ona była mu bez reszty oddana, i byłaby jeszcze szczęśliwsza mogąc mu oddać resztę życia. Pod warunkiem, oczywiście, że będzie gotowa wysłuchiwać przez cały czas hymny pochwalne na cześć absolutnie doskonałej Luizy. Ale kobiety gotowe są wiele wytrzymać, skoro zdobędą to, co chciały.

Następnie doktor Leidner przywitał się z panem Poirotem pytając go o postępy w śledztwie.

Panna Johnson stała za plecami doktora Leidnera i wpatrując się intensywnie w pudełko trzymane przez Poirota przecząco potrząsnęła głową. Zdałam sobie sprawę, że jest to nieme błaganie, by Poirot nic nie mówił o masce. Uważała z pewnością, że jak na jeden dzień doktor

miał już dość silnych wrażeń. Poirot zastosował się do jej życzenia. — Tego typu dochodzenie nie posuwa się szybko, *monsieur* — odparł.

I po kilku grzecznościowych uwagach opuścił pokój.

Towarzyszyłam mu aż do samochodu.

Miałam masę pytań, które chciałam mu zadać, ale kiedy Poirot się obrócił i spojrzął na mnie, nie otworzyłam nawet ust.

Tak samo, jak po operacji nie zapytałabym chirurga, jak mu poszło. Stałam cierpliwie, czekając na instrukcje. Ale usłyszałam tylko:

— Pilnuj się, moje dziecko! — I po chwili — Zastanawiam się, czy siostra powinna tu zostać...

— Będę rozmawiała z doktorem Leidnerem na temat mojego odejścia, ale pomyślałam, że poczekam z tym do jutra. Po pogrzebie.

Aprobująco pokiwał głową.

— Do tego czasu proszę zbyt wiele nie... jak to się mówi... nie myszkować. Rozumie siostra, o co mi chodzi? Nie chcę, żeby siostra starała się przechytryć mordercę. — I dodał jeszcze z miłym uśmiechem: — Siostra ma przygotowywać sączki, a ja będę operował.

Czy to nie zabawne, że coś takiego przyszło mu do głowy? Potem jeszcze zapytał ni stąd, ni zowąd:

— Ojciec Lavigny to bardzo interesujący człowiek, prawda?

— Zakonnik archeologiem, mnie się wydał raczej dziwny — odparłam.

— Ach, prawda, siostra jest protestantką. Ja jestem dobrym katolikiem i wiem coś niecoś o księżach i zakonnikach.

Zmarszczył brwi, zawahał się i wreszcie powiedział:

— Niech siostra pamięta, że on jest bardzo sprytny i potrafi jak nic siostrę przenieć...

Co za dziwne powiedzenie! Co ten Poirot miał na myśli? Jeśli ostrzegał przed plotkowaniem, to mógł sobie darować.

Bardzo mnie rozzłościł. Chociaż nie pytałam go o nic z tego, co chciałam usłyszeć, to jednak nie było powodu nie zwrócić mu uwagi:

— Panie Poirot, po angielsku nie mówi się „myszkować”. „Przenieć” też brzmi niezręcznie.

— Aaa! Bardzo dziękuję, *Ma soeur*.

— To głupstwo. Zawsze lepiej używać poprawnych wyrażeń.

— Zapamiętam — odpowiedział, jak na niego bardzo pokornie.

Wsiadł do samochodu, szofer od razu ruszył z miejsca, a ja powoli poszłam z powrotem przez dziedziniec rozmyślając o wielu sprawach.

O śladach ukłuc na ramieniu pana Mercado i jakiego to narkotyku używa. O tej okropnej masce wysmarowanej żółtą plasteliną. Pomyślałam też, że to bardzo dziwne, iż panna Johnson i pan Poirot nie słyszeli poprzedniego dnia mojego krzyku z pokoju pani Leidner, a tak dobrze wszyscy słyszeliśmy w jadalni krzyk pana Poirota, a przecież pokój ojca Lavigny znajdował się w tej samej odległości od jadalni, co pokój pani Leidner od pokoju dziennego.

I wreszcie odczuwałam wielkie zadowolenie, że skorygowałam błędne wyrażenia pana Poirota.

Może sobie być wielkim detektywem, ale nie wie wszystkiego.

ZABAWIAM SIĘ W JASNOWIDZA

W sumie pogrzeb był bardzo wzruszający. Oprócz nas wszystkich z Tell Jarimdża przyszło wielu Anglików mieszkających w Hassanieh. Zjawiała się nawet Sheila Reilly. Cicha i jakby zasmucona, w ciemnym kostiumie. Miałam nadzieję, że odczuwa wyrzuty sumienia z powodu wszystkich rzeczy, które naopowiadała.

Kiedy wróciliśmy do domu, poszłam do doktora Leidnera i poruszyłam sprawę mojego odejścia. Był dla mnie miły i dziękował mi za wszystko, co zrobiłam (co zrobiłam! Byłam gorzej niż beзуżyteczna) i nalegał, bym przyjęła wynagrodzenie za dodatkowy tydzień.

Jednakże nie chciałam o tym słyszeć.

— Nie uważam, abym na to zasługiwała. Chcę powiedzieć... Zawiodłam. Ona... mój przyjazd nie ocalił jej... Nie zrobiłam nic, aby zasłużyć na ekstra pieniądze. Wolałabym nic nie brać. Proszę mi tylko zwrócić koszty podróży...

Protestowałam tak, ponieważ naprawdę nie uważałam, bym zasługiwała na cokolwiek. Nic przecież nie zrobiłam.

O tym z kolei doktor Leidner nie chciał słyszeć.

— Proszę tak nie myśleć, siostrzo! — powiedział. — Przecież nie angażowałam siostry jako detektywa. Nie wierzyłem, by mojej żonie groziło niebezpieczeństwo. Byłem przekonany, że to nerwy, może nawet początki choroby psychicznej. Siostra zrobiła wszystko, co mogła. Nikt by nie uczynił więcej. Luiza siostrę lubiła, ufała siostrze. I myślę, że w tych ostatnich dniach życia była szczęśliwsza i czuła się bezpieczniejsza właśnie dzięki obecności siostry. Nie ma najmniejszych podstaw, by siostra cokolwiek sobie wyrzucała.

Zadrzał mu głos, a ja domyślałam się, o czym myślał. Sam siebie obarczał winą, ponieważ nie traktował poważnie lęków swojej żony.

— Doktorze Leidner — spytałam niesłychanie zaciekawiona — czy w efekcie doszedł pan do jakiegoś wniosku na temat tych anonimowych listów?

Westchnął głęboko.

— Już nie wiem, co mam myśleć. Czy pan Poirot coś sugerował?

— Wczoraj jeszcze nie — odparłam dość chytrze lawirując między prawdą a niewinnym kłamstwem. Prawdą było przecież, że do żadnych wniosków nie doszedł, póki mu nie powiedziałam o panie Johnson.

Przyszła mi do głowy myśl, żeby podsunąć doktorowi Leidnerowi ziarenko prawdy i zobaczyć, jak zareaguje. Przyjemnie poruszona wczorajszą wymianą słów między doktorem Leidnerem a panną Johnson, na śmierć zapomniałam o tych listach. Nawet teraz byłoby z mojej strony bardzo brzydko wyciągać tę sprawę. Jeśli to panna Johnson pisała anonimowe listy, to przecież strasznie potem cierpiała z powodu śmierci pani Leidner. To była okropna kara. Chciałam jednak wiedzieć, czy podobna myśl w ogóle kiedykolwiek zaświtała doktorowi Leidnerowi.

— Listy anonimowe są przeważnie autorstwa kobiet — powiedziałam, chcąc zobaczyć, jak to przyjmie.

— Przypuszczam, że tak — odparł z westchnieniem. — Ale siostra zapomina, że mogą to być listy autentyczne. Mógł je napisać Fryderyk Bosner.

— Nie zapominałam o tym. Ale prawdę mówiąc nie bardzo w to wierzę.

— A ja tak. To nonsens przypuszczać, że mordercą jest członek ekspedycji. Taką mądrą teorię wysunął pan Poirot. Moim zdaniem prawda jest znacznie prostsza. To był jakiś szaleniec. Kręcił się tutaj dokoła siedziby ekspedycji. Może nawet w przebraniu. I w jakiś sposób tamtego fatalnego popołudnia dostał się na dziedziniec. Służący mogą kłamać... jeśli ktoś ich przekupił...

— Myślę, że to możliwe — odparłam z powątpiewaniem. Doktor Leidner ciągnął dalej z cieniem irytacji w głosie:

— Bardzo łatwo jest panu Poirotowi podejrzewać kogoś z członków ekspedycji. Ale ja jestem absolutnie pewien, że to nikt z nich. Pracowałem z wszystkimi. Znam tych ludzi! — Zamilkł nagle i potem spytał: — Z doświadczenia to siostra wie? Że anonimowe listy przeważnie pisują kobiety?

— Nie zawsze — odparłam. — Ale jest taki rodzaj kobiecej zawiści, która znajduje ujście w pisaniu anonimów.

— Pewnie siostra myśli o pani Mercado? — Potrząsnął przecząco głową. — Nawet gdyby miała tyle nienawiści, by pragnąć krzywdy Luizy, to nie znalazby faktów, by moje wykorzystać.

Przypomniałam sobie wcześniejsze listy, które pani Leidner trzymała w teczce. Pani Mercado mogła zostać któregoś dnia sama w domu, znaleźć listy i przeczytać. Mężczyźni nigdy nie pomyślą o najprostszym rozwiązaniu.

— Oprócz niej pozostawałaby jedynie panna Johnson — podsunęłam pilnie mu się przyglądając.

— Absolutna bzdura! — odparł.

Uśmiezek, z jakim to powiedział, wyjaśniał sprawę. Myśl o tym, że autorką anonimów mogła być panna Johnson, nigdy nie powstała w jego głowie! Przez chwilę się wahałam, ale ostatecznie nic nie powiedziałam. Kobieta nie powinna wydawać kobiety, a poza tym byłam świadkiem wzruszającego szczerego żalu i wyrzutów sumienia panny Johnson. Co się stało, to się nie odstanie. Po co odbierać doktorowi Leidnerowi złudzenia? Ma dość innych problemów.

Uzgodniliśmy, że wyjadę następnego dnia. Załatwiłam też, za pośrednictwem doktora Reilly, że przez parę dni pozostanę u przełożonej pielęgniarek w szpitalu wykorzystując ten czas na załatwienie spraw związanych z powrotem do Anglii przez Bagdad albo bezpośrednio przez Nissibin samochodem i koleją.

Doktor Leidner był tak uprzejmy, że prosił, abym wybrała sobie coś na pamiątkę spośród rzeczy jego żony.

— Ach nie, doktorze Leidner! — odparłam. — Nie mogę, naprawdę. To nadmiar dobroci z pańskiej strony.

Jednakże on nalegał.

— Naprawdę chciałbym, żeby siostra coś wzięła, I jestem pewien, że Luiza by sobie tego życzyła.

I zaproponował, żebym zabrała szylkretowy komplet toaletowy.

— Ach nie, doktorze Leidner! To bardzo kosztowna rzecz. Nie mogę, naprawdę!

— Ona nie miała rodzeństwa, siostra przecież wie. Nie miała nikogo, kto chciałby to mieć. Siostra jest naprawdę jedyną osobą...

Byłam przekonana, że doktor Leidner po prostu nie chce, aby ten komplet wpadł w chciwe łapska pani Mercado. A nie sądziłam przecież, że chciałby to ofiarować pannie Johnson.

— Niech to siostra przemyśli — powiedział bardzo miło. Aha, a tu jest klucz do szkatułki z biżuterią Luizy. Może tam siostra znajdzie coś, co by siostra wolała. I byłbym siostrze bardzo wdzięczny, gdyby siostra była łaskawa zapakować jej ubrania. Jestem pewien, że Reilly znajdzie potrzebujących z biedniejszych chrześcijańskich rodzin w Hassanieh.

Byłam zadowolona, że mogę się czymś przysłużyć doktorowi Leidnerowi i bez zwłoki zabrałam się do roboty.

Pani Leidner miała bardzo skromną garderobę i szybko się uporałam z zapakowaniem wszystkiego do dwu walizek. Wszystkie jej papiery zgromadziłam w teczce. W kasetce na biżuterię było jedynie kilka prostych przedmiotów: pierścionek z perłą, diamentowa broszka, sznur pereł i dwie złote broszeczki w kształcie agrafek. Aha, jeszcze sznur bursztynów.

Oczywiście nie miałam zamiaru zagarniać dla siebie pereł czy diamentowej broszki, ale zawahałam się nad wyborem między bursztykami a tym szylkretowym zestawem toaletowym. Ostatecznie jednak, pomyślałam sobie, dlaczego nie ten komplet? Doktor Leidner zachował się bardzo uprzejmie proponując mi taki prezent i byłam pewna, że robi to z dobrego serca, a nie litości. Przyjmę podarunek w duchu, w jakim został ofiarowany, nie odmawiając z powodu fałszywej dumy. Ostatecznie przecież bardzo lubiłam panią Leidner.

No, wszystko zostało wreszcie załatwione. Walizki spakowane, a szkatułka ponownie zamknięta na klucz. Odstawiłam ją na bok, by wraz z fotografią ojca pani Leidner i paroma drobiazgami osobiście oddać ją doktorowi.

Ogołocony z rzeczy osobistych pokój wyglądał smutno. Nie miałam już tu nic więcej do roboty, a mimo to coś mnie powstrzymywało przed wyjściem, zupełnie jakby coś tu jeszcze należało zrobić. Jakbym coś jeszcze powinna zobaczyć! Albo czegoś się dowiedzieć. Nie jestem przesadna, ale przyszło mi do głowy, że unosi się tu duch pani Leidner próbujący wejść ze mną w kontakt.

Pamiętam przed laty w szpitalu kilka z nas, dziewcząt, wygrzebało skądś okrągły stolik i bawiłyśmy się w seanse spirytystyczne.

Nigdy o tym przedtem nie myślałam, ale może jestem medium?

Tak się zasugerowałam, że gotowa byłam uwierzyć w te bzdury.

Niepewnie kręciłam się po pokoju. Nie było tu jednak nic oprócz gołych mebli. Nie było nic za szufladami, nic pod szufladami. Nic nigdzie wetkniętego. Zresztą niczego się nie spodziewałam.

Wreszcie (może to zabrzmiało dość głupio, ale jak już wcześniej powiedziałam, człowiek potrafi się zasugerować) zrobiłam raczej dziwną rzecz.

Położyłam się na łóżku i zamknęłam oczy. Świadomie starałam się zapomnieć, kim jestem i co tu w tej chwili robię. Myślnie usiłowałam powrócić w owo tragiczne popołudnie. Byłam panią Leidner, która sobie leży, odpoczywa, spokojna i niczego nie podejrzewa.

Nieprawdopodobne, jak człowiek potrafi doprowadzić się do tak nierzeczywistego stanu.

W zasadzie jestem zupełnie normalną, przeciętną osobą, nie wierzę w żadne duchy, ale teraz leżąc tak przez pięć minut na jej łóżku poczułam się bardzo dziwnie.

Wcale nie usiłowałam z tym stanem walczyć, wprost przeciwnie.

Powtarzałam sobie: „Jestem panią Leidner. Jestem panią Leidner. Leżę na łóżku, zasypiam. Wkrótce, już za chwilę, otworzą się drzwi.”

Powtarzałam to, jakbym chciała się zahipnotyzować. „Jest prawie wpół do drugiej... nadchodzi czas... Drzwi się otworzą... drzwi zaraz się otworzą... Zobaczą, kto wejdzie...”

Wzrok miałam utkwiony w drzwi. Za chwilę drzwi miały się otworzyć. Będę widziała, jak się otwierają. I zobaczą osobę, która wejdzie.

Tego popołudnia musiałam być nieco przemęczona i rozbita wszystkimi wydarzeniami, skoro mogłam przypuszczać, że w ten sposób rozwiążę tajemnicę.

I głęboko w to wierzyłam. Poczułam mrowienie w krzyżu. Dreszcz spłynął mi aż do nóg, które jakby zupełnie sparaliżowane straciły czucie.

„Wpadasz w trans. I w tym transie zobaczysz...”, mówiłam do siebie.

I tak w kółko powtarzałam jedno i to samo.

„Drzwi się zaraz otworzą... Drzwi się zaraz otworzą...”

Czułam coraz bardziej lodowate zimno.

I nagle, powolutku, drzwi zaczęły się otwierać!

To było przerażające.

Nigdy przedtem ani potem nie przeżyłam czegoś podobnie okropnego.

Byłam całkowicie sparaliżowana, na wskroś zlodowaciała! Nie mogłam ruszyć palcem. Nie potrafiłabym drgnąć nawet wówczas, gdyby od tego zależało moje życie.

Byłam przerażona. Czułam zimny, przenikający mnie lęk!

Te wolniutko otwierające się drzwi.

Bezszelestnie.

Za chwilę zobaczę...

Powolutku, powolutku, coraz szerzej!

Do sypialni cichutko wszedł Bill Coleman.

Musiał się na śmierć przerazić.

Z przeraźliwym krzykiem zerwałam się z łóżka i rzuciłam ku drzwiom.

Pan Coleman skamieniał, czerwona twarz jeszcze bardziej mu poczerwieniała, otworzył usta ze zdumienia.

— Rety, rety! — powiedział. — Co tu się dzieje, siostrze? Nagle powróciła rzeczywistość.

— Na miłość boską, panie Coleman! Ale mnie pan przestraszył!

— Przepraszam! — powiedział wykrzywiając twarz w przelotnym uśmiechu.

W tym momencie zobaczyłam, że trzyma w ręku małą wiązkę szkarłatnych jaskrów. Takie ładne kwiatki, które rosły dziko wokół Tell Jarimdża. Pani Leidner bardzo je lubiła.

Splonął się, był czerwieniej niż raka, kiedy powiedział:

— W Hassanieh nie można dostać żadnych kwiatów ani nic. Przykro mi było nie położyć wiązanki na grobie, więc sobie pomyślałem, że tutaj zerwę, zrobię bukiet i wstawię do tego naczynia, w którym ona zawsze trzymała te kwiatki na stole, żeby pokazać, że jej nie zapomniano, prawda? Głupie to może, ale wie siostrze, co chcę powiedzieć...

Pomyślałam sobie, że to bardzo miło z jego strony. Ale jak on się zaczerwienił ze wstydu! Anglicy zawsze purpurowieją, kiedy są wzruszeni. To było wprost słodkie ze strony pana Colemana.

— Bardzo dobrze pan zrobił. To strasznie miło z pana strony, panie Coleman — powiedziałam.

Wzięłam wazonik, wlałam do niego wody i wstawiliśmy kwiaty. Po tym, co pan Coleman zrobił, zaczęłam go bardziej cenić. Potrafił okazać serce i miło się zachował.

Nie pytał mnie, dlaczego tak strasznie krzyknęłam i dzięki Bogu. Czuję się głupio.

Zapowiedziałam sobie, że w przyszłości już nigdy więcej nie będę robić takich głupstw z wymyślaniem sobie różnych rzeczy. Poprawiłam mankiety i wygładziłam fartuch. I jeszcze pomyślałam, że wcale nie jestem stworzona do kontaktów ze światem duchów, żadne tam ze mnie medium.

Zabrałam się z kolei do pakowania moich rzeczy i w ogóle byłam dość zajęta przez resztę dnia.

Ojciec Lavigny wyraził wielki żal z powodu mojego wyjazdu. Bardzo był miły. Powiedział, że moje pogodne usposobienie i zdrowy rozsądek bardzo wiele dla wszystkich znaczyły. Zdrowy rozsądek! Co za szczęście, że nic nie wiedział o moim idiotycznym zachowaniu w pokoju pani Leidner.

— Nie widzieliśmy jeszcze dzisiaj pana Poirota — zauważył. Powiedziałam mu, że pan Poirot będzie cały dzień zajęty wysyłając różne telegramy.

Ojciec Lavigny podniósł brwi.

— Telegramy? Do Ameryki?

— Prawdopodobnie. Powiedział, że na cały świat. Ale ja myślę, że to cudzoziemska skłonność do przesady.

I powiedziawszy to zaczerwieniłam się, bo sobie uświadomiłam, że ojciec Lavigny również nie jest Anglikiem.

Nie wydawał się jednak urażony, a nawet uśmiechnął się lekko i zapytał, czy są jakieś nowiny na temat tego człowieka z zezem.

Nie słyszałam jednak nic na ten temat.

Ojciec Lavigny zapytał mnie, o której godzinie zauważyliśmy z panią Leidner tego człowieka i czy rzeczywiście wspinał się na palce chcąc zajrzeć przez okno.

— Wydaje mi się oczywiste — powiedział w zadumie — że człowiek wykazywał duże zainteresowanie panią Leidner. Został nawiałem się, czy to nie mógł być jednak Europejczyk przebrany za Irakijczyka.

Była to zupełnie nowa dla mnie myśl. Zaczęłam ją dokładnie! rozważać. Dotychczas zakładałam, że to był tubylec, ale kiedy tak naprawdę się zastanowić, to opierałam się wyłącznie na jego stroju i nieco smagłej cerze.

Ojciec Lavigny wyraził gotowość wyjścia za dom do tego miejsca, gdzie widziałyśmy z panią Leidner owego osobnika.

— Nigdy nie wiadomo, może coś upuścił. W powieściach kryminalnych przestępca zawsze coś upuszcza — powiedział.

— Sądzę, że prawdziwi złoczyńcy są ostrożniejsi — odparłam. Na stół w pokoju dziennym wyłożyłam zacerowane przeze mnie skarpetki. Kiedy przyjdą panowie, to sobie wybiorą, każdy swoje. Ponieważ nie miałam już nic więcej do roboty, wyszłam na dach.

Stała tam panna Johnson, ale nie spostrzegła mnie. Obróciła się dopiero wtedy, kiedy podeszłam zupełnie blisko.

Nim to jednak nastąpiło, zdałam sobie sprawę, że dzieje się coś złego.

Panna Johnson stała pośrodku dachu patrząc prosto przed siebie i miała okropny wyraz twarzy. Jakby ujrziała ducha, w co w ogóle nie można uwierzyć.

Byłam wstrząśnięta.

Widziałam ją zupełnie rozklejoną tamtego wieczoru, ale tym razem to było zupełnie coś innego.

— Co się stało, moja droga? — wykrzyknęłam przyśpieszając kroku.

Patrzyła na mnie tak, jakby mnie nie widziała. Stała jak skamieniała.

— Co się stało? — powtórzyłam pytanie.

Wykrzywiła twarz w jakimś dziwnym grymasie, jakby chciała przełknąć, ale nie mogła, bo jej zaschło w gardle. I powiedziała ochryplym głosem:

— Właśnie coś zobaczyłam.

— Co pani zobaczyła, panno Johnson? Niech mi pani powie! Cóż to tak bardzo panią przeraziło?

Uczyniła wysiłek, żeby się wziąć w garść, ale nadal miała okropny wyraz twarzy.

Powiedziała tym samym zduszonym głosem:

— Zobaczyłam, jak ktoś mógł się tutaj dostać z zewnątrz i nikt by tego nie zobaczył.

Spojrzałam w kierunku, w którym patrzyła, ale nic nie dostrzegłam.

Na progu pracowni fotograficznej stał pan Reiter, a przez dziedziniec przechodził ojciec Lavigny. Oprócz nich nic nie widziałam.

Bardzo zdziwiona obróciłam się ku pannie Johnson i napotkałam jej wzrok wlepiony we mnie.

— Nadal nic nie rozumiem. Czy mogłaby mi pani wyjaśnić?

Potrząsnęła tylko głową.

— Muszę to sama przemyśleć — powiedziała.

I odpychając mnie pobiegła w stronę schodów.

Nie poszłam za nią, ponieważ najwidoczniej nie życzyła sobie tego. Usiadłam na murku i próbowałam sama rozwiązać zagadkę. Ale nic mi nie przychodziło do głowy. Na dziedziniec prowadziło tylko jedno wejście — przez sklepioną bramę od frontu. Tuż za bramą stał woziwoda ze swoim koniem i rozmawiał z kucharzem — Hindusem. Nikt nie mógł więc wejść niezauważony.

Pokręciłam głową z zakłopotaniem i zeszałam na dziedziniec.

MORDERSTWO STAJE SIĘ NAWYKIEM

Tego wieczoru wszyscy poszli wcześniej spać. Panna Johnson pojawiła się przy kolacji i zachowywała dość normalnie. Miała tylko nieco nieprzytomne spojrzenie i parokrotnie nie dotarło do niej to, co do niej mówiono.

Nastrój nie był nadzwyczajny. Można by oczywiście powiedzieć, że wcale nie należy się innego spodziewać w dniu pogrzebu, ale mnie chodzi o coś jeszcze.

Ostatnio wspólne posiłki też przebiegały w smętnej i przytłaczającej atmosferze. Jednakże widać było jakieś koleżeństwo, wszystkich jednocześnie współczucie dla biednego doktora Leidnera przeżywającego ciężkie chwile po śmierci żony. Świadomość, że wszyscy jedziemy na tym samym wozie, była łącząca, jeśli tak można powiedzieć.

Tym razem kolacja przypominała mój pierwszy posiłek w Tell Jarimdza, kiedy to pani Mercado tak mnie świdrowała wzrokiem, a ja miałam wrażenie, że lada chwila coś się wydarzy.

Po raz drugi poczułam to samo, tylko jeszcze silniej, gdy wszyscy siedzieli wokół jadalnego stołu, u którego szczytu zajmował miejsce pan Poirot.

Tego wieczoru jednak napięcie doszło do zenitu! Wszyscy byli jacyś podekscytowani, ledwo nad sobą panowali.

Jak już powiedziałam, wszyscy bardzo szybko się ulotnili. Ja też i zaraz poszłam spać. Ostatnie, co usłyszałam przed zaśnięciem, to głos pani Mercado tuż przed moimi drzwiami mówiącej dobranoc pannie Johnson.

Spałam jak kamień, zmęczona wszystkim, a najbardziej moim niemądrym eksperymentem w pokoju pani Leidner.

I nagle ze snu wytrąciła mnie świadomość mającej nastąpić straszliwej katastrofy. Usłyszałam jakiś dźwięk. Usiadłam na łóżku i oczekiwałam na jego powtórzenie.

I usłyszałam: okropne agonalne charczenie. Natychmiast zapaliłam świecę i wyskoczyłam z łóżka. Chwyciłam też, na wszelki wypadek, latarkę, jeśliby świeca miała zgasnąć. Wyszłam przed drzwi i nasłuchiwałam. Ten odgłos dochodził z bliska. Powtórzył się — z pokoju sąsiadującego z moim. Z pokoju panny Johnson!

Pośpieszyłam tam. Panna Johnson leżała na łóżku, wijąc się w straszliwych bólach. Pochyliłam się nad nią odstawivszy uprzednio świecę na stolik. Poruszała wargami, usiłując coś powiedzieć, ale z jej ust wydobywał się tylko straszliwy charkot. Zauważyłam, że kąciki ust i skórę na brodzie ma sinobiałą.

Oczami wskazała szklankę leżącą na posadzce. Pewno wypadła jej z ręki. W miejscu, gdzie rozlał się płyn, kozia skóra była splamiona na czerwono. Podniosłam szklankę i palcem przeciągnęłam po jej wnętrzu. Z cichym okrzykiem wyjęłam palec. Następnie rozchyliłam usta panny Johnson,

Nie było najmniejszej wątpliwości. Przypadkowo czy też nie, wypłała jakiś żrący kwas, szczawiowy albo solny. Tak podejrzewałam.

Wybiegłam, by obudzić doktora Leidnera, który z kolei obudził pozostałych. Usiłowaliśmy zrobić wszystko co się dało, żeby uratować pannę Johnson, ale przez cały czas czułam, że nic z tego nie wyjdzie. Poiliśmy ją roztworem sody, następnie oliwą z oliwek. Aby złagodzić ból, zrobiłam jej zastrzyk z morfiny.

Dawid Emmott pojechał do Hassanieh, by przywieźć doktora Reilly, ale nim zdążyli powrócić, było już po wszystkim.

Nie będę opisywała szczegółów. Powiem tylko, że wypicie roztworu kwasu solnego (okazało się bowiem, że to właśnie było w szklance) powoduje śmierć w straszliwych mękach.

Kiedy pochylałam się nad nią ze strzykawką, panna Johnson uczyniła ostateczny wysiłek, by coś powiedzieć. Dotarł do mnie zduszony szept:

— Okno... Siostrze, okno...

I to było wszystko. Zabrakło jej sił.

Nigdy tej nocy nie zapomnę. Przyjazd doktora Reilly. Potem przyjazd kapitana Maitlanda. I wreszcie o świcie pojawienie się Herkulesa Poirota.

On właśnie ujął mnie delikatnie pod łokieć i poprowadził do jadalni, gdzie kazał mi usiąść i wypić kubek mocnej herbaty.

— Już dobrze, mon *enfant!* — powiedział. — Teraz siostra poczuje się lepiej. Siostra już padała z nóg.

Słyszając jego słowa wybuchnęłam płaczem.

— To zbyt okropne! — mówiłam łkając. — To był istny koszmar! Jak ona cierpiała! I jej oczy! Panie Poirot, jej oczy...!

Poklepał mnie po ramieniu. Żadna kobieta nie byłaby serdeczniejsza.

— Tak, tak, rozumiem. Proszę już o tym nie myśleć. Siostra zrobiła wszystko, co było można.

— To był strasznie żrący kwas.

Wtedy mi właśnie powiedział, że wypić kwas solny.

— Ten sam roztwór, którego używają do czyszczenia wykopanych skorup?

— Tak. Panna Johnson prawdopodobnie wypić łyk, nim się w pełni rozbudziła. Chyba że... zrobiła to z rozmysłem.

— Ależ panie Poirot, co za pomysł! — wykrzyknęłam.

— Teoretyczna możliwość. A co siostra myśli? Zastanawiałam się przez chwilę, a potem zaprzeczyłam.

— Nie wierzę. Absolutnie nie wierzę! — Chwilę się wahałam, a potem powiedziałam — Wczoraj po południu chyba coś odkryła.

— Co siostra mówi? Panna Johnson coś odkryła?

Opisałam mu przedziwną rozmowę, jaką odbyłyśmy na dachu.

Poirot cichutko zagwizdał.

— *La pauvre femme!* — wykrzyknął. — Powiedziała, że chce przemyśleć, tak? I podpisała tym swój wyrok śmierci. Gdyby tylko powiedziała o co chodzi od razu, wtedy na dachu... Niech mi siostra jeszcze raz powtórzy dokładnie jej słowa.

Powtórzyłam mu.

— Zobaczysz, jak ktoś mógł się tutaj dostać z zewnątrz tak, by nikt go nie zobaczył? Idziemy, *Ma soeur!* Idziemy na dach i siostra mi pokaże, gdzie dokładnie stała panna Johnson.

Poszliśmy razem i pokazałam panu Poirotowi miejsce, gdzie stała panna Johnson.

— Tu, właśnie tu? — spytał Poirot. — Co my stąd widzimy? Widzimy połowę dziedzińca, widzimy bramę, drzwi do kreślarni, drzwi do pracowni fotograficznej i pracowni ogólnej. Czy ktoś wtedy był na dziedzińcu?

— Ojciec Lavigny szedł właśnie w kierunku bramy, a pan Reiter stał w drzwiach pracowni fotograficznej.

— W dalszym ciągu nie widzę sposobu, w jaki ktokolwiek mógłby wejść będąc niewidoczny... Ale ona zobaczyła... Wreszcie się poddał potrząsając głową.

— Do diabła ciężkiego! Cóż ona zobaczyła?

Słońce dopiero wschodziło. Na wschodnim skraju nieba malowała się istna orgia czerwieni, pomarańczy i odcieni szarości.

— Co za piękny wschód słońca! — westchnął Poirot.

Na lewo od nas wiała się rzeka, wysoki brzeg miał w pierwszych promieniach barwę złota. Po stronie południowej kwitły drzewa owocowe i zieleniły się pola. W oddali skrzypiało koło młyńskie. Od północy wznosiły się ku niebu strzeliste minarety i białe mury Hassanieh.

Przepięknie!

I nagle dobiegło mnie z boku westchnienie Poirota.

— Jakimże byłem głupcem! — wyszeptał. — A prawda jest taka oczywista!

SAMOBÓJSTWO CZY MORDERSTWO?

Nie miałam czasu zapytać pana Poirota, co ma na myśli, ponieważ zaczął nas wołać kapitan Maitland prosząc, abyśmy zeszli. Pośpieszyliśmy schodami na dziedziniec.

— Są komplikacje, Poirot! — powiedział kapitan Maitland.— Zakonnik zniknął.

— Ojciec Lavigny?

— Nikt tego przedtem nie zauważył. Wreszcie ktoś zwrócił uwagę, że wszyscy już się zebraли, a jego do tej pory nie ma, więc poszedłem sprawdzić do pokoju. Łóżko wygląda na nietknięte, a po zakonniku ani śladu.

Wszystko to razem zaczynało przypominać senny koszmar. Śmierć panny Johnson, teraz zniknięcie ojca Lavigny.

Przesłuchano służbę, ale nikt nie potrafił udzielić żadnej pomocnej informacji. Po raz ostatni widziano ojca Lavigny około ósmej wieczorem poprzedniego dnia. Powiedział wtedy, że wybierze się na spacer przed snem.

Nikt nie widział, by wrócił.

Wielką bramę wejściową jak zwykle zamknięto i zabezpieczono na noc o dziewiątej wieczorem. Natomiast nikt nie przypominał sobie, by otwierał bramę rano. Z obu służących każdy myślał, że to ten drugi odsunął zasuwki.

Czy więc ojciec Lavigny powrócił poprzedniego wieczoru? Czy też może podczas wcześniejszej przechadzki odkrył coś podejrzanego i wyszedł ponownie, aby to zbadać, i stał się, być może, trzecią ofiarą?

Kapitan Maitland obrócił się w kierunku zbliżającego się szybko doktora Reilly, za którym szła pani Mercado.

— Jak się masz, Reilly? Czego się pan dowiedział?

— Kwas z tutejszej pracowni. Sprawdziliśmy z panem Mercado stan zapasów. To jest na pewno stąd.

— Z pracowni? Nie była zamknięta?

Pan Mercado potrząsnął głową. Ręce mu się trzęsły, przez twarz przebiegały skurcze. Wyglądał jak ruina człowieka.

— Nigdy nie zamykaliśmy — wyjąkał. — Bo widzi pan... teraz to... kwasu przez cały czas... i nikomu nie przyszło do głowy...

— A czy na noc zamykacie pomieszczenie na klucz?

— Tak. Wszystkie drzwi są zamykane. A klucze wiszą w pokoju dziennym...

— To znaczy, że gdyby ktoś wziął klucz do pracowni, miałby dostęp do kwasów i wszystkiego?

— Tak.

— Domyślam się, że klucz jest zwyczajny.

— Jak najbardziej.

— Czy możliwe, żeby panna Johnson sama wzięła kwas z pracowni?

— Na pewno nie — wtrąciłam głośno i zdecydowanie. Poczułam ostrzegawcze dotknięcie na ramieniu. Poirot stał tuż za mną.

I nagle wydarzyło się coś niesamowitego. To znaczy samo wydarzenie nie było niesamowite, a jedynie w zestawieniu z naszą rzeczywistością wydawało się jakby z innego świata.

Na dziedziniec wjechał samochód i wyskoczył z niego drobny mężczyzna w tropikalnym hełmie i krótkiej, grubej kurtce.

Podbiegł prosto do doktora Leidnera, który stał tuż koło doktora Reilly, pochwycił dłoń archeologa i energicznie nią potrząsał.

— *Vous voilà, mon cher!* — wykrzyknął. — Jestem szczęśliwy mogąc cię zobaczyć! Przejedźdzałem tędy w sobotę po południu, I w drodze do Włochów w Fugimie. Wpadłem na wykopalisko, ale nie było tam ani jednego Europejczyka. *Helas*, nie mówię po arabsku. Nie miałem czasu, żeby wpaść do ciebie do domu. Dziś wyjechałem z Fugimy o piątej rano, mam dwie godziny na wizytę tutaj, a potem doganiam konwój i dalej w drogę. *Eh bien*, opowiadaj jak idzie praca?

To była scena jak z innego świata.

Ów wesoły, niefrasobliwy głos uzmysłowił nam jak bardzo ostatnie wydarzenia oddaliły nas od powszedniej codzienności. Ten człowiek nie zdawał sobie sprawy z tego, co u nas zaszło, niczego się nie domyślał ani nie zauważył. Był pełen radości życia.

Nic więc dziwnego, że doktor Leidner tylko się zachłysnął i z niemym błaganiem spojrzął na doktora Reilly. Ten stanął na wysokości zadania.

Zabrał na bok drobnutkiego mężczyznę (a dowiedziałam się później, że był to francuski archeolog o nazwisku Verrier, który wykonywał prace archeologiczne na wyspach greckich) i naświetlił mu całą tę sytuację.

Verrier był przerażony. Przez parę dni przebywał w gościnie u włoskich archeologów, na całkowitym luzie, i nic nie słyszał o nieszczęściu.

Zaczął gorąco przeproszać i składać kondolencje, wreszcie powrócił do doktora Leidnera i chwycił jego obie dłonie.

— Co za tragedia! Mój Boże, co za tragedia! — powtarzał. — Brak mi słów. *Mon pauvre collègue!*

Potrząsając mocno głową w bardzo nieskutecznej próbie wyrażenia głębi swoich uczuć wsiadł do samochodu i odjechał.

Muszę powiedzieć, że wdarcie się na tę krótką chwilę elementu komicznego w naszą tragedię stworzyło efekt zupełnie makabryczny.

— A teraz, proszę państwa, trzeba zjeść śniadanie! — zdecydował stanowczo doktor Reilly. — Leidner, pan musi coś zjeść!

Biedny doktor Leidner był całkowicie załamany. Poszedł z nami do jadalni, gdzie w pogrzebowym nastroju spożyliśmy posiłek. Myślę, że gorąca kawa i smażone jajka dobrze wszystkim zrobiły, chociaż właściwie nikt nie miał wielkiej ochoty najedzenie. Doktor Leidner wypił trochę kawy i siedział sztywno, obracając w palcach kawałek chleba. Twarz miał zszarzałą, ściągniętą i pełną bólu, a także jakby czymś zdumioną.

Po śniadaniu kapitan Maitland zaczął o wszystko nas wypytywać.

Powiedziałam mu, jak mnie coś obudziło, jak usłyszałam dziwne charczenie i poszłam do pokoju panny Johnson.

— Powiedziała siostra, że szklanka była na podłodze?

— Tak, widocznie musiała ją upuścić po wypiciu.

— Potłuczona?

— Szklanka? Nie, była cała. Upadła na kozią skórę. — Dodałam, że kwas wypalił futro. — Podniosłam szklankę i postawiłam na stole.

— Bardzo dobrze, że nam to siostra mówi. Na szklance są odciski palców dwóch osób. Jedną z nich z pewnością była panna Johnson. Drugą siostra.

Przez chwilę się zastanawiał, a potem poprosił, abym mówiła dalej.

Opowiedziałam dokładnie, co zrobiłam i jakich sposobów próbowałam, żeby ją ratować, a mówiąc zerkałam w stronę doktora Reilly oczekując z jego strony aprobaty. Udzielił jej skinieniem głowy.

— Zrobiła siostra absolutnie wszystko, co mogłoby pomóc — dodał.

A chociaż i bez jego potwierdzenia byłam tego pewna, z ulgą przyjąłem świadectwo lekarza.

— Czy siostra wiedziała, co było w szklance? — spytał kapitan Maitland.

— No nie, ale w każdym razie domyślałam się, że to jakiś żrący kwas.

— Jak siostra sądzi, czy panna Johnson świadomie napiła się tego kwasu? — kapitan zadał kolejne pytanie bardzo poważnym głosem.

— Ach nie, ani przez chwilę tak nie pomyślałam! — wykrzyknęłam.

Sama nie wiem, dlaczego byłam tego taka pewna. Częściowo z powodu uwagi pana Poirota, kiedy powiedział, że morderstwo staje się nawykiem. Dobrze to zapamiętałam. A poza tym trudno jest uwierzyć, że ktoś będzie popełniał samobójstwo w sposób sprowadzający takie cierpienie.

Powiedziałam to kapitanowi, który pokiwał głową.

— Zgadzam się, że takiej śmierci się nie wybiera. W zasadzie. Ale powiedzmy, że dostaje się rozstroju nerwowego, pomieszania zmysłów, a pod ręką jest taki środek, to kto wie...

— Żadnego pomieszania u niej nie dostrzegłam — odparłam.

— Pani Mercado twierdzi wprost przeciwnie. Mówiła mi, że podczas kolacji panna Johnson dziwnie się zachowywała. Że nie odpowiadała, gdy się do niej zwracano. Pani Mercado jest pewna, że pannę Johnson coś dręczyło i że było właściwie widać, iż myśli o samobójstwie.

— Absolutnie w to nie wierzę — odparłam bez ogródek. Pani Mercado! Wstrętne kocica!

— A więc co siostra sądzi?

— Sądzę, że została zamordowana.

Następne pytanie kapitan Maitland wypowiedział ostrym tonem, jakby był w koszarach. Tak w każdym razie odczułam.

— Z jakiego powodu? Jakie siostra ma uzasadnienie dla takiego twierdzenia?

— Po prostu wydaje mi się to jedyną możliwością.

— To jest tylko prywatna opinia siostry. Z jakich to powodów ktoś miałby tę panią zabijać?

— Pan kapitan wybaczy, ale jest powód. Panna Johnson coś odkryła.

— Coś odkryła! A co ona odkryła?

Słowo w słowo powtórzyłam rozmowę, jaką miałyśmy na dachu.

— Ale nie powiedziała siostrze, o co konkretnie chodziło?

— Nie. Powiedziała, że musi to jeszcze przemyśleć.

— Ale była tym bardzo poruszona?

— Tak.

— Sposób dostania się z zewnątrz... — Kapitan Maitland zastanowił się głęboko nad tymi słowami. — I nie domyśla się siostra do czego panna Johnson zmierzała?

— Nie. Głowiłam się nad tym i głowiłam, ale zupełnie nic mi do głowy nie przyszło.

— A pan co sądzi, panie Poirot?

— Myślę, że jest to prawdopodobny motyw.

— Morderstwa?

— Morderstwa.

Kapitan Maitland zmarszczył brwi.

— Przed śmiercią nie mogła już mówić?!

— Nie, ale udało jej się wykrztusić jedno słowo — odparłam.

— Jakie?

— Okno... okno.

— Okno? — powtórzył kapitan Maitland. — O jakie okno jej chodziło?

Potrząsnęłam głową.

— Ile jest okien w jej pokoju?

— Tylko jedno.

— Wychodzi na dziedziniec?

— Tak.

— Było zamknięte czy otwarte? Aha, przypominam sobie: otwarte. Ale może ktoś z państwa je otworzył?

— Nie. Było otwarte przez cały czas. Tak sobie myślę... — urwałam.

— No dalej, siostró...!

— Sprawdzałam okno, ale nic nie zauważyłam. Tylko teraz tak sobie myślę, czy nikt nie podmienił szklanek przez okno...

— Podmienił szklanę?

— Właśnie. Bo widzi pan, kapitanie, przypomniałam sobie, panna Johnson zawsze zabierała ze sobą na noc wodę do picia. Myślę, że może ktoś tę szklanę zabrał, a podstawił drugą z kwasem.

— Co pan na to, Reilly?

— Jeśli mamy do czynienia z morderstwem, to chyba właśnie i w ten sposób zostało dokonane — odparł natychmiast doktor I Reilly. — Żadna nawet średnio rozgarnięta osoba nie wypije kwasu solnego zamiast wody, jeśli jest w pełni przytomna. Natomiast osoba przyzwyczajona do wypijania szklanki wody w środku nocy, to zupełnie co innego. Taka osoba rozespana, albo nawet w półśnie, sięga po omacku po szklanę i nim zdoła oprzytomnieć wypija sporo płynu, nie zdając sobie w ogóle sprawy z tego, co pije.

Kapitan Maitland zadumał się.

— Muszę tam pójść i obejrzeć to okno. Jak daleko się znajduje od wezłowania?

— Zastanowiłam się.

— Sięgając głęboko można dotknąć stojącego przy łóżku stolika.

— Stolika, na którym stała szklanka?

— Tak.

— Czy drzwi były zamknięte na klucz?

— Nie.

— A więc zamiany szklanek można by dokonać również wchodząc po prostu drzwiami?

— Oczywiście.

— Ale z tym łączyło się większe ryzyko — powiedział doktor Reilly. — Osoba nawet głęboko śpiąca potrafi się obudzić na odgłos stapania. Jeśli rzeczywiście przez okno można dosięgnąć stolika, to jest znacznie bezpieczniej...

— Myślę nie tylko o szklance — powiedział kapitan Maitland z roztargnieniem.

Po chwili jednak skoncentrował się i spytał:

— A więc siostra jest zdania, że ta biedna kobieta, świadoma, że umiera, postanowiła przekazać informację, iż ktoś zamienił szklanki korzystając z otwartego okna? Znacznie lepszym sposobem byłoby podać nazwisko sprawcy.

— Mogła go nie znać — odparowałam.

— Albo co innego: mogłaby coś nadmienić na temat swojego odkrycia z poprzedniego dnia.

— Kiedy się umiera, Maitland — wtrącił się doktor Reilly — traci się świadomość właściwych proporcji. Umysł potrafi być zaprzątnięty jakimś szczegółem. To, że w oknie pojawiła się ręka mordercy, mogło być jedynym faktem, który w tym czasie zaprzętał jej myśli. Mogła sądzić, że przekazanie tej wiadomości jest niezwykle istotne. I miała rację. To było bardzo ważne. Może obawiała się, że siostra pomyśli, że ona popełniła samobójstwo? Gdyby mogła lepiej mówić, to prawdopodobnie powiedziałaby: „Słuchajcie! To nie samobójstwo. Ktoś musiał postawić koło mnie szklanę sięgając zza okna.”

Kapitan Maitland bębnił palcami po stole w milczeniu. Wreszcie powiedział:

— Można na to patrzeć różnie. Albo samobójstwo, albo morderstwo. Co pan sądzi, doktorze Leidner?

Doktor Leidner nie od razu odpowiedział. Po dłuższej chwili stwierdził zdecydowanie:

— Morderstwo. Anna Johnson nie należała do kobiet, które by mogły odebrać sobie życie.

— Oczywiście, że nie — zgodził się Maitland. — W normalnych warunkach. Tutaj jednak powstały okoliczności, które mogłyby skłonić ją do targnięcia się na własne życie.

Kapitan Maitland schylił się, żeby podnieść z ziemi pakunek, jaki poprzednio położył koło swego krzesła. Z pewnym wysiłkiem dźwignął go na stół.

— Tutaj mam coś, o czym państwo nie wiecie — powiedział. — Znaleźliśmy to pod jej łóżkiem.

Rozwiązał supeł, odsłonił zawartość i ujrzeliśmy ciężkie żarna.

Nie była to żadna rewelacja, ponieważ podczas kopania znaleziono już wiele podobnych.

Ale naszą uwagę przykuła brunatna plama na kamieniu i coś, co było podobne do resztek włosów.

— Robota dla ciebie, Reilly — powiedział Maitland. — Chyba jednak możemy założyć, że tym właśnie narzędziem zabito panią Leidner.

NASTĘPNA BĘDĘ JA

To było okropne. Doktor Leidner wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć, a i mnie zrobiło się słabo.

Doktor Reilly z zawodową pasją oglądał plamę.

— Żadnych odcisków palców oczywiście nie było? — pytał.

— Żadnych.

Doktor Reilly wziął szczypczyki.

— Hm. Skrawek ludzkiej skóry. I włos. Włos blond. Mówię oczywiście nieoficjalnie. Będę musiał wykonać testy. Grupy krwi i tak dalej. Ale właściwie nie ma wątpliwości. I znaleziono to pod łóżkiem panny Johnson? Hmm. A więc to było tak. Więc to ona ją zamordowała. Potem przyszły wyrzuty sumienia i biedna kobieta, niech Pan Bóg zapewni spokój jej duszy, odebrała sobie życie. Ale to tylko teoria! Nawet ładna.

Doktor Leidner bezradnie potrząsnął głową.

— Nie Anna, na pewno nie Anna! — powtarzał.

— Ciekawe tylko, gdzie ona to początkowo schowała — odezwał się kapitan Maitland. Po pierwszym morderstwie przeszukaliśmy wszystkie pomieszczenia.

Przyszło mi do głowy, że narzędzie zbrodni mogło być schowane w szafie z materiałami kancelaryjnymi. Ale nic nie powiedziałam.

— Nieważne teraz, gdzie schowała. Ważne, że niezadowolona ze schowka, przeniosła to do swojego pokoju, który był już przecież przeszukany. A może dopiero wtedy, kiedy postanowiła popełnić samobójstwo?

— A ja temu wszystkiemu nie wierzę — powiedziałam głośno.

Po prostu nie mogłam uwierzyć, że ta miła panna Johnson rozwalila głowę pani Leidner. Nie wyobrażałam sobie tego. I jeśli nawet pewne fakty pasowały do tej teorii, na przykład ów napad płaczu tamtej nocy, to mimo to nie wierzę. Przecież to ja sama mówiłam o wyrzutach sumienia panny Johnson, ale myślałam wówczas o wyrzutach sumienia z powodu czegoś znacznie mniej poważnego — jakiegoś drobnego wykroczenia.

— Nie wiem, co o tym sądzić — powiedział kapitan Maitland. — A w dodatku znika nam jeszcze francuski zakonnik. To również trzeba wyjaśnić. Moi ludzie przeszukują teren, bo możliwe, że ktoś go napadł i ciało stoczyło się do kanału irygacyjnego.

— Ooo, teraz sobie przypominam! — powiedziałam. Wszyscy spojrzeli w moim kierunku.

— Wczoraj po południu! Ojciec Lavigny wypytywał mnie o człowieka z zezem, który usiłował zajrzeć przez okno. Tego, którego widziałyśmy z panią Leidner. Ojciec Lavigny pytał mnie, w którym miejscu ten człowiek stał, i powiedział, że pójdzie rozejrzeć się. W powieściach kryminalnych mordercy zawsze coś gubią.

— Niestety, moi nigdy nic nie gubią i nie zostawiają żadnych śladów — smutno zauważył kapitan Maitland. — A więc po to poszedł! Na Jowisza, ciekaw jestem, czy coś znalazł. Byłby to ciekawy zbieg okoliczności, gdyby prawie w jednym czasie panna Johnson i ojciec Lavigny natrafili na wyraźny ślad prowadzący do mordercy.

Po chwili jakby poirytowany dodał:

— Człowiek z zezem? Właśnie! To jakaś tajemnicza postać. Moi ludzie nie mogą natrafić na żaden ślad. Ciekawe co się za tym kryje?

— Nie mogą go znaleźć, ponieważ nie ma zeza — odezwał się pan Poirot bardzo spokojnie.

— Chce pan powiedzieć, że udawał? Nie wiedziałem, że zeza można udawać.

— Zez to bardzo pożyteczna wada — odpowiedział nie wprost Poirot.

— Czyżby? Wiele bym dał, żeby wiedzieć, gdzie ten człowiek teraz jest, zezowaty czy też nie.

— Moim zdaniem przeszedł syryjską granicę — powiedział Poirot.

— Zawiadomiliśmy punkty graniczne Tell Kotchek i Abu Kemal. I nie tylko te. Wszystkie.

— Myślę, że pojechał przez góry, drogą, którą jeżdżą ciężarówki z kontrabandą.

Kapitan Maitland mruknął:

— Może należy wysłać telegram do Deir ez Zor?

— Już to zrobiłem wczoraj informując, by mieli baczenie na samochód, którego dwaj pasażerowie będą wyposażeni w paszporty bez zarzutu.

Kapitan Maitland obrzucił Poirota przenikliwym spojrzeniem.

— Wysłał pan telegram? Dwaj pasażerowie? Poirot skinął głową.

— Są w sprawę zamieszani dwaj mężczyźni.

— Dochodzę do wniosku, panie Poirot, że chowa pan w rękawie parę asów.

Poirot potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie, nic właściwie nie chowam. Prawda oświeciła mnie dopiero dziś, kiedy obserwowałem wschód słońca. Bardzo piękny wschód słońca.

Chyba nikt nie zauważył, że jest wśród nas pani Mercado. Musiała się wślizgnąć wtedy, kiedy zajęci byliśmy tymi okropnymi żarnami.

I teraz nagle bez żadnego ostrzeżenia rozdarła się jak prosię, któremu podrzynają gardło.

— O mój Boże! — wrzasnęła. — Teraz wszystko widzę! Jasne jak słońce! To był ojciec Lavigny! Szalony człowiek. Ma religijną manię. Myśli, że wszystkie kobiety są grzeszne. On je wszystkie zabija. Najpierw panią Leidner, potem pannę Johnson. Następna będę ja!

Z krzykiem rzuciła się przez pokój i dopadła doktora Reilly czepiając się jego marynarki.

— Ja tu nie zostanę! Ani jednego dnia dłużej! Wisi nad nami groźba! On się gdzieś ukrywa! Czatuje, czyha! W każdej chwili może zaatakować!

Otworzyła szeroko usta i znów zaczęła się głośno wydzierać.

Pośpieszyłam do doktora Reilly, który pochwyił panią Mercado za przeguby. Trzepnęłam ją mocno w każdy policzek i z pomocą doktora Reilly usadziłam w krześle.

— Nikt pani nie zabije — powiedziałam. — Jest pani pod opieką. Proszę spokojnie siedzieć. Zachowywać się przyzwoicie. Dość tego!

Przestała krzyczeć. Zamknęła usta i patrzyła na mnie zdumionymi głupimi oczami.

Potem nastąpiło nowe zamieszanie, bowiem weszła Sheila Reilly. Twarz miała bladą i bardzo poważną. Podeszła prosto do Poirota.

— Poszłam wcześniej na pocztę i był tam telegram dla pana... Więc go przywiozłam.

— Dziękuję, *mademoiselle*.

Wziął telegram do ręki, rozerwał kopertę. Sheila Reilly pilnie obserwowała jego twarz. Ale ta pozostała nieruchoma. Po przeczytaniu telegramu złożył go starannie i schował do kieszeni.

Pani Mercado też się przyglądała panu Poirot. Zdławionym głosem spytała:

— Czy to... telegram z Ameryki?

— Nie, *madame* — odparł. — Z Tunisu.

Przez chwilę patrzyła, jakby nie rozumiejąc, a potem z głębokim westchnieniem opadła na oparcie krzesła.

— Ojciec Lavigny — powiedziała. — Miałam rację. Zawsze sądziłam, że jest bardzo dziwny. Rzeczy, które mi raz mówił... Przypuszczam, że to szaleniec. — Na chwilę zamilkła, a potem dodała: — Będę już spokojna. Ale muszę stąd wyjechać. Możemy pojechać z mężem do Domu Gościnnego.

— Cierpliwości, *madame* — odezwał się Poirot. — Wszystko wyjaśnię.

Kapitan Maitland patrzył na Poirota z wielką ciekawością.

— Uważa pan, że rozwiązał już zagadkę? — spytał. Poirot skłonił się głęboko.

Był to ukłon iście teatralny. Chyba rozzłościł kapitana Maitlanda.

No więc — burknął. — Mówże, człowieku! Poirot jednakże wyznawał inne zasady. Nie miałam wątpliwości, że urządzi nam prawdziwe przedstawienie. Ciekawiło mnie, czy naprawdę znał już prawdę, czy też się tylko przechwalał.

Detektyw obrócił się do doktora Reilly. — Będzie pan łaskaw, doktorze, zawołać resztę? Lekarz zerwał się, by spełnić prośbę.

Wkrótce pozostali członkowie ekspedycji zaczęli przybywać. Najpierw Reiter i Emmott, następnie Bill Coleman, wreszcie Ryszard Carey i za nim pan Mercado.

Pan Mercado wyglądał jak chodząca śmierć. Przypuszczam, że bał się śmiertelnie, że zarzucą mu niefrasobliwość w przechowywaniu niebezpiecznych chemikaliów.

Wszyscy obsiedli stół dookoła podobnie jak za pierwszym razem po przyjeździe pana Poirota. Zarówno Bill Coleman jak i Dawid Emmott wahali się chwilę, spoglądając ku pannie Reilly. Stała odwrócona od nich plecami i wyglądała przez okno.

— Krzesło, Sheilo? — spytał Bill.

A Dawid Emmott spytał swym miłym głosem:

— Będziesz łaskawa usiąść, Sheilo?

Obróciła się wówczas i przez dłuższą chwilę przyglądała się obu młodym ludziom. Każdy ofiarowywał jej odsunięte od stołu krzesło. Zastanawiałam się, które przyjmie.

W rezultacie odmówiła obu.

— Tutaj usiądę — powiedziała krótko i zajęła miejsce na stole w pobliżu okna. — Oczywiście, jeśli kapitan Maitland ma nic przeciwko temu, abym została.

Nie wiem, co odpowiedziałby kapitan Maitland, ponieważ Poirot go uprzedził:

— Ależ oczywiście, *mademoiselle*. Proszę z nami zostać. Jest nawet konieczne, aby pani została.

Uniosła brwi.

— Konieczne?

— Takiego słowa użyłem, *mademoiselle*. Mam kilka pytań, które pragnę pani zadać.

Ponownie uniosła brwi, ale nic już nie powiedziała. Znowu obróciła się w stronę okna, jakby chciała podkreślić, że nie obchodzi jej to, co dzieje się w pokoju.

— Może wreszcie zajmiemy się odkrywaniem owej prawdy — odezwał się kapitan Maitland z wyraźną niecierpliwością w głosie. Należał do ludzi czynu. I w chwili obecnej był przekonany, że niepotrzebnie traci czas, że powinien być w terenie kierując poszukiwaniami ciała ojca Lavigny lub też wysyłając ludzi w celu schwytania i aresztowania mordercy.

Obrzucił też Poirota wzrokiem dalekim od przyjaznego.

Jeśli ten facet ma coś do powiedzenia, to dlaczego, do diabła, jeszcze tego nie mówi? Niemalże go słyszałam.

Poirot przyjrzał się nam wszystkim bacznie, a następnie wstał.

Nie wiem, jakich na początek słów spodziewałam się z jego ust. Z pewnością jednak czegoś niesłychanie dramatycznego. Taki był bowiem Poirot.

Nie spodziewałam się jednak zdania po arabsku.

Wypowiedział je powoli i uroczyście, z namaszczeniem, jeśli tak można powiedzieć.

Bismillahi ar rahman ar rahim.

I następnie przetłumaczył je na angielski:

— W imię Allacha, Litościwego i Współczującego.

POCZĄTEK PODRÓŻY

— *Bismillahi ar rahman ar rahim*. Tak mówią Arabowie, kiedy ruszają w podróż. *Eh bien*, my także wyruszamy w coś w rodzaju podróży. Do przeszłości. W przedziwne zakamarki ludzkiej duszy. Do tej chwili chyba nigdy nie odczuwałam tego, co nazywane jest „czarem Wschodu”. Tak szczerze mówiąc to widziałam jedynie wszechobecny bałagan. Jednakże po słowach pana Poirota pojawiła się przed moimi oczami inna wizja. Rozpamiętywałam takie nazwy jak Samarkanda i Isfahan, przed oczami pojawiały się twarze brodatych kupców i klękające wielbłądy; uginający się pod ciężarem bel tragarze, którzy podtrzymywali ładunek sznurową pętlą zarzuconą na głowę, kobiety o farbowanych henną włosach i tatuowanych twarzach, klęczące nad Tygrysem i piorące bieliznę, ich dziwne zawodzące śpiewy i skrzypienie koła wodnego.

Wszystko to przecież już przedtem widziałam i słyszałam, a jednocześnie jakbym nie dostrzegąła i nie doceniała. Ale teraz, nagle, każde wspomnienie nabrało barwy. Zupełnie tak jakbym wyjęła z mrocznej szafy jakiś starość, uniosła do światła i zachwyciła się pięknem haftu. Rozejrzałam się po pokoju, w którym siedzieliśmy i odniosłam przedziwne wrażenie, że to, co powiedział Poirot, to absolutna prawda — rzeczywiście wybieraliśmy się wszyscy w podróż. Ale chociaż byliśmy razem, każdy jechał w innym kierunku.

I patrzyłam na ludzi zebranych wokół stołu też zupełnie inaczej — jakbym widziała ich po raz pierwszy, a jednocześnie ostatni. Może to było bardzo głupie, ale właśnie tak czułam.

Pan Mercado nerwowo spletał palce spoglądając swymi wyblakłymi oczami na Poirota. Pani Mercado wpatrywała się w swego męża. Miała dziwnie czujny wzrok — tygrysyca szykującej się do skoku. Doktor Leidner jakby się skurczył, zrobił się mniejszy. Ostatni cios zupełnie go przygniótł. Można było nawet powiedzieć, że był jakby nieobecny, znajdował się gdzieś daleko, w sobie tylko znanym świecie. Bill Coleman spoglądał prosto na Poirota. Miał lekko otwarte usta i nieco wybaluszone oczy. Właściwie to wyglądał niesłychanie głupio. Pan Emmott wpatrywał się w swoje stopy i dobrze nie widziałam jego twarzy. Reiter sprawiał wrażenie człowieka bezgranicznie zdumionego. Usta zwinął w świński ryjek, przez co bardziej niż kiedykolwiek przypominał prosiaka. Panna Reilly uparcie wyglądała przez okno. Nie miałam pojęcia, co czuje albo co myśli. Spojrzałam na pana Careya i to, co ujrzałam w jego twarzy, sprawiło mi ból, więc odwróciłam wzrok. Pomyślałam sobie, że kiedy pan Poirot skończy mówić, każde z nas będzie już nieco inne. Przedziwne uczucie...

Poirot mówił spokojnie, nie przerywając. Jego słowa były jak rzeka spokojnie płynąca między dwoma brzegami, dążąca hen do morza...

— Od samego początku uważałem — mówił pan Poirot — że aby zrozumieć to, co się wydarzyło, nie należy szukać fizycznych śladów, ale poszlak subtelniejszych, wynikających ze zderzenia charakterów i tajemnic serc.

— I chciałbym na wstępie wyjaśnić, że chociaż w moim przekonaniu znalazłem prawdziwe rozwiązanie zagadki, nie posiadam konkretnych dowodów. Wiem jednak, że tak jest, ponieważ tak musi być, bowiem inaczej nic do siebie nie pasuje: ani fakty ani miejsca. Dlatego też moja wersja wydarzeń jest jedyną logiczną.

Zamilkł na chwilę, by zaraz wznowić opowieść: Rozpocznę moją podróż od chwili, kiedy włączyłem się do sprawy, kiedy mi ją przedstawiono jako czyn już dokonany. Moim zdaniem każda tego typu sprawa ma swój kształt i formę. W tej konkretnej wszystko obracało się wokół osobowości pani Leidner. Wiedziałem, że póki nie dowiem się, jaką naprawdę kobietą była pani Leidner, nie dotrę do motywów i osoby mordercy. Tak więc punktem wyjścia była osobowość pani Leidner. Istniało tu jeszcze jedno ciekawe zjawisko natury psychologicznej. Opisany mi przedziwny stan napięcia, jaki istniał wśród członków ekspedycji. Potwierdzali to liczni świadkowie. Niektórzy nawet spoza zespołu. I chociaż stwierdzenie powyższego nie

mogło stanowić punktu wyjścia do dalszych poszukiwań, to jednak postanowiłem mieć je przez cały czas na uwadze. Według powszechnej opinii bezpośrednim źródłem napięcia panującego między członkami ekspedycji miała być pani Leidner, ale z powodów, które nieco później wyjaśnię, nie mogłem się z tym całkowicie zgodzić.

Jak już powiedziałem, na samym początku skoncentrowałem się wyłącznie na osobowości pani Leidner. Docierałem na różny sposób do faktów. Przede wszystkim miałem reakcje licznych osób, różne w zależności od temperamentu i charakteru moich rozmówców. No i własne obserwacje i wnioski wypływające z tych reakcji. Oczywiście ograniczone, bo, jak to się mówi, otrzymywałem informacje z drugiej ręki. Niemniej dowiedziałem się paru istotnych rzeczy.

Pani Leidner miała bardzo skromne wymagania. Ktoś nawet powie, że żyła w niezwykle spartańskich warunkach. Zdecydowanie nie należała do luksusowych kobiet. Z drugiej strony ostatni haft, który wykonywała, świadczył o wybornym smaku i wyrobionym poczuciu piękna. Wskazywało to na kobietę o zmyśle artystycznym. Z książek w jej pokoju wyciągnąłem kolejny wniosek. Była to kobieta bardzo inteligentna, a także, pozwolę sobie powiedzieć, wielka egoistka.

Sugerowano, że pani Leidner była kobietą, której podstawowym celem było uwodzenie płci przeciwnej, innymi słowy, że była zmysłowa. Nie podzielałem tego zdania.

W jej sypialni zauważyłem następujące książki: „Kim byli Grecy”, „Wstęp do teorii względności”, „Życie lady Hester Stanhope”, „Powrót do Matuzalema”, „Linda Condon”, „Crewe Traine”. Interesowała ją kultura i nauki społeczne. Była więc wyrobiona intelektualnie. Dwie powieści, „Linda Condon” i „Crewe Traine”, wskazywały, że pani Leidner interesuje się problemem kobiet niezależnych, samodzielnych, nie dających się wciągnąć w pułapki zastawiane przez płęć przeciwną, nie obciążonych, jeśli tak wolno powiedzieć, związkami z mężczyznami. Była także zainteresowana osobowością lady Hester Stanhope. Ale trzeba również pamiętać, że „Linda Condon” jest misternym studium kobiety zakochanej w swojej urodzie. „Crewe Traine” z kolei studium namiętności indywidualistki. „Powrót do Matuzalema” opowiada się raczej za intelektualnym niż emocjonalnym podejściem do życia. Poczulem, że zaczynam rozumieć panią Leidner. Następnie zacząłem analizować reakcje osób z najbliższego jej otoczenia. I mój obraz zmarłej kobiety zaczął nabierać barw. Na podstawie słów doktora Reilly i innych stało się dla mnie jasne, że pani Leidner należała do kobiet obdarzonych przez naturę nie tylko urodą, ale i fatalną, zgubną magią, która często towarzyszy urodzie, ale może też istnieć od niej niezależnie. Takie kobiety pozostawiają na ścieżce swojego życia tragiczne wydarzenia. Sprowadzają nieszczęścia, czasami na innych, często na siebie.

Doszedłem do wniosku, że pani Leidner była kobietą, która przede wszystkim uwielbiała siebie, a także ponad wszystko ceniła sobie panowanie nad innymi. Gdziekolwiek się pojawiła, musiała być ośrodkiem zainteresowania. Manipulowała mężczyznami i kobietami podporządkowując ich sobie. Z niektórymi szło jej niesłychanie łatwo. Na przykład siostra Leatheran, kobieta dobra i szlachetna, pełna romantycznych wyobrażeń, dała się natychmiast pochwyć w sidła i gotowa była wystawiać pani Leidner entuzjastyczną opinię. Był jeszcze inny sposób, jakim pani Leidner utrzymywała swoje panowanie. Strach. Jeśli podbój okazywał się zbyt łatwy, pani Leidner ujawniała okrutniejsze cechy charakteru. Chciałbym tu jednak zdecydowanie podkreślić, że nie było to w żadnym wypadku świadome okrucieństwo. Postępowała żywiołowo, zgodnie ze swoją naturą, tak jak kot kiedy bawi się z myszką. Tam, gdzie wchodziło w grę działanie świadome, pani Leidner była dobra i życzliwa, a często wychodziła wprost z siebie, żeby być pomocna innym ludziom.

Pierwszym i podstawowym problemem domagającym się rozwiązania była sprawa anonimowych listów. Kto je pisał i po co? Zadałem sobie pytanie: czy ich autorką była sama pani Leidner? Aby mi na to odpowiedzieć, musiałem wykonać, jak to się mówi, podróż w

czasie. Cofnąć się do okresu pierwszego małżeństwa pani Leidner. I właściwie od tamtych dni powinniśmy teraz rozpocząć naszą wspólną wyprawę. Wyprawę poprzez życie pani Leidner.

Przede wszystkim musimy zrozumieć, że Luiza Leidner tamtych lat była właściwie tą samą kobietą, którą poznaliście.

Wówczas tylko była bardzo młoda i bardzo piękna. Miała tę samą olśniewającą urodę, która podbijała dusze mężczyzn i opanowywała ich zmysły znacznie silniej i bardziej bezwzględnie niż najpiękniejszy przedmiot na świecie. A już wtedy Luiza Leidner była egoistką.

Tego rodzaju kobiety odstręcza instytucja małżeństwa. Mężczyźni stanowią wielką atrakcję, to prawda, ale one wolą niezależność. Jak *La Belle Dame sans Merci* z legendy. Niemniej pani Leidner wyszła za mąż. I należy założyć, że jej mąż miał silny charakter.

Jednakże pani Leidner dowiedziała się o jego hańbiącej zdradzie. Zareagowała wówczas tak, jak to opowiedziała siostrze Leatheran. Zawiadomiła władze, że jej mąż jest niemieckim szpiegiem.

Pozwalam sobie wysunąć hipotezę, że postępowanie Leidner ma podtekst psychologiczny. Powiedziała mianowicie siostrze Leatheran, że była dziewczyną pełną ideałów i patriotką, co też pchnęło ją ku decyzji zadenuncjowania męża. Znanym jest jednak faktem, że każdy z nas ma skłonności do oszukiwania samego siebie. Instynktownie wybieramy najlepiej brzmiącą wersję. Pani Leidner być może nawet wierzyła, że działa z pobudek patriotycznych, ja natomiast uważam, że było to nieświadome pragnienie pozbycia się męża. Nie mogła ścierpieć męskiej dominacji ani faktu przynależności do kogokolwiek. Pani Leidner nie znosiła grania drugich skrzypiec. Wybrała więc ową patriotyczną drogę do odzyskania wolności.

Jednakże podświadomie coś ją gryzło. Poczucie winy, które następnie miało odegrać rolę w jej przeznaczeniu.

A teraz przejdźmy do kwestii listów! Pani Leidner miała wielkie powodzenie u płci brzydkiej. Wielokrotnie też podobali się jej różni mężczyźni. W każdym wypadku jednakże list z groźbami ucinął romans. Kto pisał te listy? Fryderyk Bosner? Jego brat, Wiliam? Czy też sama pani Leidner?

Każda z tych wersji jest możliwa. Wydaje mi się jasne, że pani Leidner była kobietą, która wywołuje u mężczyzn pragnienie służenia jej. Oddanie, które prowadzi do obsesji. I mogę uwierzyć we Fryderyka Bosnera, dla którego jego żona, Luiza, znaczyła więcej niż cokolwiek innego na świecie. Zdradziła go. Bosner nie odważył się ujawnić, niemniej postanowił, że skoro nie może być jego, pozostanie niczyja. Wolał jej śmierć niż poślubienie innemu mężczyźnie.

Można też przypuszczać, że skoro pani Leidner kryła w głębi duszy niechęć do wejścia w związku małżeńskie, uznała historię o anonimach za sposób wybrnięcia z niezręcznych sytuacji. Była jak myśliwy, który dopadłszy ofiary, nie wie co z nią począć. W poszukiwaniu emocjonującego i bogatego życia wynalazła sobie bardzo wygodny rekwizyt: zamartwychwstałego męża, który uniemożliwia ślub. Zaspokajało to jej potrzebę dramatu. Czyniło z niej romantyczną postać. Tragiczną heroinę. I pozwalało nie wychodzić powtórnie za mąż.

Ten stan rzeczy trwał przez wiele lat. Ilekroć powstawała groźba małżeństwa, nadchodził list z pogrózkami.

Zbliżamy się jednak do nowej interesującej sytuacji. Na scenie pojawia się doktor Leidner. I żaden list nie nadchodzi. Nic nie stoi na przeszkodzie staniu się panią Leidner. List nadchodzi dopiero po ślubie!

Natychmiast zadajemy sobie pytanie: dlaczego? Rozpatrzmy kolejno różne teorie.

Jeśli to pani Leidner sama do siebie pisała listy, odpowiedź jest łatwa. Pani Leidner zapragnęła wyjść za mąż za doktora. No i wyszła. Ale w tym wypadku powstaje pytanie:

czemu pisała listy po ślubie? Czy tak pragnęła owej emocji i bogatego życia, że się nie mogła oprzeć pokusie? I jeszcze, czemu nadeszły tylko dwa listy? Potem przez półtora roku cisza, aż do teraz.

Oto druga teoria: listy pisał Fryderyk Bosner (albo jego brat). Dlaczego listy z groźbą przyszły po ślubie? Przecież Fryderyk nie życzył sobie, by wyszła za męża. Dlaczego nie przeszkodził małżeństwu? Przecież tak dobrze mu się to udawało poprzednio. I dlaczego wznowił groźby, skoro odczekał, aż ślub się odbył?

Odpowiedź, choć niezbyt zadowalająca, brzmi, że z jakiegoś powodu nie mógł interweniować wcześniej. Może przebywał w więzieniu, może go nie było w kraju?

Należy teraz rozpatrzyć sprawę otrucia gazem. Wydaje się mało prawdopodobne, aby mógł to spowodować ktoś z zewnątrz. Osobami, które to mogły zaaranżować byli jedynie doktor Leidner i jego żona. Nie widzę logicznego powodu, dla którego miałby to zrobić doktor. Płyne stąd wniosek, że autorką i reżyserką pomysłu była pani Leidner. Po co? Pragnęła więcej emocji?

Następnie doktor Leidner z małżonką wyjeżdżają za granicę i przez osiemnaście miesięcy prowadzą szczęśliwe, spokojne życie. Są przeświadczeni, że zatarli za sobą ślady, ale jest to przypuszczenie absurdalne. W naszych czasach wyjazd za granicę nie wystarcza, aby zmylić ewentualnego prześladowcę. Zwłaszcza w przypadku Leidnerów. Doktor Leidner był kierownikiem ekspedycji. Zadając jedno proste pytanie w muzeum Fryderyk Bosner mógłby uzyskać adres. Nawet zakładając, że miał ograniczone możliwości poruszania się, nic mu nie przeszkadzało wysyłać kolejne listy. A wydaje mi się, że człowiek, którym rządzi obsesja, nie zrezygnowałby z tego.

Tymczasem nic o nim nie słyhać prawie przez dwa lata. Nagle listy znowu nadchodzą.

Dlaczego?

To jest trudne pytanie, ale najłatwiej na nie odpowiedzieć zakładając, że to pani Leidner się znudziła i pragnęła nowych emocji. Ale ja nie byłem zadowolony z takiej odpowiedzi. Wydawało mi się to zbyt wulgarne i niedojrzałe w zestawieniu z jej wybredną i skomplikowaną osobowością.

Na razie pytanie pozostawimy bez odpowiedzi.

Były trzy możliwości: pierwsza, że listy pisała sama pani Leidner; druga, że ich autorem był Fryderyk Bosner lub jego brat; wreszcie trzecia, że choć tamte dawne listy były pisane albo przez panią Leidner, albo przez Fryderyka czy Wiliama Bosnera, to obecne pisała trzecia osoba wiedząca o poprzednich.

Zajmijmy się teraz otoczeniem pani Leidner.

Najpierw sprawdziłem możliwości. Jaką możliwość popełnienia morderstwa miał każdy z członków ekspedycji.

Właściwie mógł to być każdy (jeśli idzie o okazję), z wyjątkiem trzech osób. Doktor Leidner ani na chwilę nie zszedł z dachu, co potwierdzają liczni świadkowie. Pan Carey miał dyżur przy wykopalisku. Pan Coleman zaś był w Hassanieh.

Ale owe alibi, moi przyjaciele, wcale nie są niepodważalne, jak może się wydawać na pierwszy rzut oka. Z wyjątkiem doktora Leidnera. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że przez cały czas przebywał na dachu i zszedł dopiero w pięć kwadransów po popełnieniu morderstwa.

Czy jednak możemy być pewni, że pan Carey przez cały czas przebywał przy wykopalisku? I że pan Coleman był rzeczywiście w Hassanieh w chwili popełnienia zbrodni?

Bill Coleman poczerwieniał, otworzył usta, zamknął je i niepewnie rozejrzał się wokół.)

Poirot kontynuował z niezmaconym spokojem: — Brałem pod uwagę jeszcze jedną osobę, która, jak się upewniłem, byłaby zdolna popełnić morderstwo pod wpływem silnych emocji. Panna Reilly ma odwagę, inteligencję i charakteryzuje ją pewna bezwzględność. Kiedy rozmawiała ze mną na temat pani Leidner, powiedziałem do niej żartem, że mam nadzieję, iż

posiada alibi. Wydaje mi się, że panna Reilly zdawała sobie sprawę ze swej podświadomej chęci usunięcia pani Leidner. Na moje żarty odpowiedziała bardzo niemądrym i bezcelowym kłamstwem. Twierdziła, że tego popołudnia grała w tenisa. Następnego dnia odkryłem podczas przypadkowej rozmowy z panną Johnson, że panna Reilly nie tylko nie grała w tenisa, ale w czasie, gdy popełnione było morderstwo, znajdowała się w pobliżu tego domu. Przyszło mi do głowy, że choć panna Reilly nie jest winna zbrodni, mogłaby powiedzieć mi coś użytecznego.

Poirot przerwał opowieść i zwrócił się cichym głosem do dziewczyny:

— Czy powie nam pani, co pani zobaczyła owego popołudnia? Sheila nie od razu odpowiedziała. Nadal patrzyła przez okno nie odwracając głowy, a kiedy się wreszcie odezwała, mówiła obojętnie, ale z rozwagą.

— Po lunchu pojechałam do wykopaliska. Dotarłam tam chyba za kwadrans drugą.

— Czy spotkała pani kogoś ze swoich przyjaciół?

— Nie, nie było nikogo oprócz arabskiego brygadzysty.

— Więc nie spotkała pani pana Careya?

— Nie.

— Ciekawe — powiedział pan Poirot. — Nie spotkał go również pan Verrier, kiedy przyjechał tam tego samego popołudnia.

Poirot spojrział pytająco na pana Careya, ale ten nie poruszył się i nie odezwał.

— Czy może pan to wyjaśnić, panie Carey?

— Poszedłem na spacer. Nie działo się nic interesującego.

— W jakim kierunku pan się udał?

— Nad rzekę.

— Nie w stronę domu?

— Nie.

— Przypuszczam, że nad rzeką czekał pan na kogoś, kto się nie pojawił? — odezwała się panna Reilly.

Spojrzał na nią wymownie, ale nic nie powiedział. Poirot nie nalegał dalej. Raz jeszcze zwrócił się do dziewczyny:

— Czy jeszcze coś pani zaobserwowała?

— Tak. Byłam już niedaleko domu ekspedycji, kiedy zobaczyłam ciężarówkę należącą do ekspedycji stojącą w wadi.

— W wadi? W wyschniętym korycie rzeki?

— Tak. Widziałam pana Colemana. Szedł powoli z głową opuszczoną, jakby czegoś szukał.

— Chwileczkę! — przerwał pan Coleman. — Ja... Poirot uciszył go zdecydowanym gestem.

— Proszę poczekać! No i co, rozmawiała pani z nim, panno Reilly?

— Nie. Nie rozmawiałam.

— Dlaczego? Odpowiedziała bardzo powoli:

Ponieważ od czasu do czasu podnosił głowę i rozglądał się dokoła, jakby chciał sprawdzić, czy nikt go nie widzi. Sprawiał bardzo dziwne wrażenie. Zawróciłam konia i odjechałam. Chyba mnie nie spostrzegł. Na szczęście za bardzo się zbliżyłam, a on był pochłonięty tym, co robił.

— Teraz ja powiem! — nie wytrzymał pan Coleman. — Mogę wytłumaczyć... tę scenę, która, zgadzam się z tym, pozornie wydaje się dziwna. Otóż poprzedniego dnia na wykopalisku włożyłem do kieszeni rewelacyjną pieczęć cylindryczną i zapomniałem ją odnieść do magazynu. A później zobaczyłem, że nie mam jej w kieszeni. Pomyślałem sobie, że mi wypadła, kiedy ją niosłem. Nie chciałem tego rozgłaszać, obawiałem się nieprzyjemności, więc postanowiłem sam jej szukać. Byłem pewny, że wypadła mi z kieszeni

w drodze z wykopaliska albo w drodze na wykopalisko. Załatwiłem szybko interesy w Hassanieh, chłopaka posłałem po sprawunki i wróciłem. Zostawiłem wóz w osłoniętym miejscu i przez ponad godzinę łąziłem szukając. Niestety nie znalazłem tej cholernej pieczęci. Wsiadłem do wozu i zajechałem na dziedziniec. No i wszyscy myśleli, że wracam prosto z Hassanieh.

— Nie wyprowadził ich pan z błędu? — spytał Poirot słodziutko.

— W sytuacji, jaka powstała, nie uważałem tego za wskazane, to chyba zrozumiałe?

— Trudno mi podzielać pańską opinię — odparł Poirot.

— Niech pan da spokój! Moje motto brzmi zawsze „nie szukaj guza”. Nic mi pan nie przyczepi, panie Poirot. Nie wchodziłem w ogóle na dziedziniec i nie znajdzie pan żadnego świadka, który mógłby twierdzić coś podobnego.

— W tym leży pewna trudność — powiedział Poirot. — Służący stwierdzają, że nikt nie wszedł na dziedziniec z zewnątrz. Ale po zastanowieniu wpadło mi do głowy, że oni właściwie nie to mieli na myśli. Przysięgali, że nikt obcy nie wszedł na podwórko. Nie zadano im pytania, czy wchodzili członkowie ekspedycji.

— No to niech ich pan zapyta! — rzucił wyzywająco Coleman. — Zjem mój kapelusz, jeśli widzieli mnie lub Careya.

— Niestety powstaje kolejna wątpliwość. Służący bez wątpienia zwróciliby uwagę na obcego. Ale czy zauważyliby członka ekspedycji? Ci przecież kręcą się przez cały dzień. Służący tego nie zapamiętują, właściwie nie dostrzegają. Uważam, że jest możliwe, by pan Coleman czy pan Carey wszedł i by żaden ze służących tego nie zapamiętał.

— Bzdura! — odparł pan Coleman.

— Z obu panów większą szansę przejścia bez zauważenia miał pan Carey — spokojnie kontynuował Poirot. — Pan Coleman rano wyjechał do Hassanieh samochodem i miał wrócić po południu. Gdyby po prostu wszedł na dziedziniec, byłby raczej zauważony.

— Bez wątplenia! — wykrzyknął pan Coleman.

Ryszard Carey uniósł głowę. Niebieskie oczy wbił w Poirota.

— Czy oskarża mnie pan o popełnienie morderstwa, panie Poirot? — spytał spokojnie, ale w głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta.

Poirot skłonił się w jego kierunku.

— Chwilowo zabieram wszystkich państwa w podróż. W podróż do krainy prawdy. Na razie ustaliliśmy jeden niezbity fakt, a mianowicie, że wszyscy, dosłownie wszyscy, w tym także siostra Leatheran, mogą być podejrzani, ponieważ mieli fizyczną sposobność popełnienia przestępstwa. Jest sprawą zupełnie drugorzędną, czy jest prawdopodobne, by niektórzy z podejrzanych to uczynili.

Ja po prostu sprawdziłem sposobność. Następnie przeszedłem do sprawy motywu zbrodni i doszedłem do wniosku, że każdy z tutaj obecnych miałby powody owej zbrodni dokonać

— Ach, panie Poirot! — wykrzyknęłam. — Chyba nie ja? Jestem osobą obcą. Dopiero co przyjechałam!

— *Eh bien, ma soeurt* Czy właśnie nie tego pani Leidner się obawiała? Osoby z zewnątrz?

— Ale... ale, przecież doktor Reilly wszystko o mnie wiedział! To właśnie on zaproponował mi przyjazd tutaj...!

— Co tak naprawdę wiedział o siostrze? Głównie to, co mu siostra sama opowiedziała! Nie raz oszustki przedstawiały się jako pielęgniarki.

— Może pan napisać do szpitala Świętego Krzysztofa! — zaczęłam.

— Chwilowo proszę siedzieć cicho! — powiedział surowo. — Niepodobna kontynuować całej sprawy, kiedy siostra ze mną tak polemizuje. Wcale nie powiedziałem, że siostrę nadal podejrzewam! Powiedziałem tylko, że, jak to się mówi, mając umysł otwarty na wszystkie możliwości, nie wykluczałem, że siostra mogła być kimś innym, a nie osobą, za którą się podawała. Kobiety doskonale potrafią stroić się w cudze piórka! Można tak powiedzieć?

Świetnie umięją udawać mężczyzn. I odwrotnie. Młody Wiliam Bosner mógł udawać kobietę?

Miałam wielką ochotę powiedzieć mu coś do słuchu. Ja jako mężczyzna przebrany za kobietę! Też pomysł! Ale Poirot podniósł głos i z takim ferworem zaczął mówić dalej, że zrezygnowałam.

— A teraz, proszę państwa, będę brutalnie szczery! Jest to absolutnie konieczne. Odsłonię wszystkie i tajemne sprawy.

Niezbyt dobrze zrozumiałam, co chciał powiedzieć w tej swojej dziwnej czasami angielszczyźnie.

— Zastanawiałem się nad każdym z tutaj obecnych. Dokładnie mu się przyjrzałem. Zacząłem od doktora Leidnera i wkrótce stwierdziłem, że miłość do żony była..., jak to powiedzieć, istotą jego egzystencji. Stał się człowiekiem rozdartym przez miłość i niszczone przez rozpacz. O siostrze Leatheran już mówiłem. Jeśli była kimś innym i tylko udawała, to *chapeau bas*! Mamy do czynienia z wielką artystką. Założyłem więc, że jest tylko tym, kim zdaje się być: bardzo kompetentną pielęgniarką.

— Zdaje się, że powinnam być za to wdzięczna — odparłam z goryczą.

— Moją uwagę natychmiast przyciągnęli pan i pani Mercado. Oboje ujawniali wielki niepokój wewnętrzny i znajdowali się w stanie ciągłego napięcia. Najpierw zająłem się panią Mercado. Czy jest to osoba zdolna popełnić morderstwo, a jeśli tak, to z jakich powodów.

Pani Mercado jest delikatnej budowy. Na pierwszy rzut oka wydaje się niemożliwe, by miała siłę zadać cios ciężkim kamiennym przedmiotem. Gdyby jednak na przykład klęczała, to stawało się to już fizycznie możliwe. Jedna kobieta potrafi niekiedy skłonić drugą, by ta uklękła. Nie potrzeba żadnych tam emocjonalnych sztuczek. Można poprosić o przysługę podpięcia szpilką skraju sukni.

No a motyw? Siostra Leatheran mówiła mi o pełnych nienawiści spojrzeniach, jakie pani Mercado posyłała pani Leidner. Można założyć, że jej mąż łatwo uległ i wpadł do sieci pani Leidner. Jednakże nie sądziłem, aby tę zbrodnię można było wyjaśnić zazdrością. Byłem pewien, że pani Leidner absolutnie nie interesowała się panem Mercado, a pani Mercado musiała być tego świadoma. Mogła być wściekła na panią Leidner, ale morderstwo wymaga większej prowokacji. Pani Mercado jest osobą o silnie rozwiniętym instynkcie macierzyńskim. Ze sposobu, w jaki patrzyła na męża, wywnioskowałem, że nie tylko go kocha, ale byłaby gotowa walczyć o niego. Co więcej: że zakładała możliwość stoczenia takiej walki. Zawsze była czujna i niespokojna. Niepokój nie dotyczył własnej osoby. A kiedy przyjrzałem się bliżej panu Mercado, łatwo odkryłem źródło problemu. Pan Mercado jest narkomanem i to zaawansowanym, jeśli tak można powiedzieć.

Chyba nie muszę państwu mówić, że dłuższe zażywanie narkotyków powoduje znaczne stopienie zasad moralnych. Pod wpływem narkotyków człowiek potrafi popełniać czyny, jakich by nigdy nie dokonał wcześniej, zanim zaczął je zażywać. W wielu wypadkach ludzie popełniali morderstwa i trudno było powiedzieć, czy zachowywali świadomość tych czynów i czy byli za nie w pełni odpowiedzialni. Co do tego ostatniego prawodawstwa różnych krajów różnie się ustosunkowują. Cechą charakterystyczną przestępców–narkomanów jest ich absolutne przekonanie o własnym sprycie.

Pomyślałem sobie, iż jest rzeczą możliwą, że w przeszłości pana Mercado zaistniała jakaś sprawa lub incydent, który pani Mercado udało się ukryć! Jednakże gdyby rzecz wydała się, kariera pana Mercado zawisłaby na włosku. Pani Mercado była więc niesłychanie czujna. Miała niestety do czynienia z panią Leidner, kobietą inteligentną i żądną władzy. Może nawet skłoniła nieszczęśnika, by się jej zwierzył. Uzyskanie władzy nad człowiekiem przez wejście w posiadanie jego tajemnicy, której ujawnienie miałoby katastrofalne skutki, sprawiłoby jej dużą przyjemność.

Mamy oto możliwą motywację morderstwa. Byłem pewny, że pani Mercado nie zawaha się przed niczym byle ochronić męża. Oboje zresztą mieli sposobność. W czasie owych dziesięciu minut, kiedy nikogo nie było na dziedzińcu.

— To nieprawda! — wykrzyknęła pani Mercado. Poirot nie zwrócił na nią uwagi.

— Następnie wziąłem pod lupę pannę Johnson — kontynuował. — Czy była zdolna popełnić morderstwo? Moim zdaniem tak. Panna Johnson to osoba o silnej woli i żelaznej samokontroli. Tacy ludzie nieustannie się hamują i powstrzymują, ale pewnego dnia tama pęka. Jeśli jednak panna Johnson miała popełnić tę zbrodnię to jedynie w związku z panem Leidnerem. Gdyby panna Johnson doszła na przykład do wniosku, że żona niszczy życie doktora, to skrzętnie ukrywana nawet przed sobą samą zazdrość mogłaby się nagle ujawnić, stanowiąc dostateczną motywację do popełnienia morderstwa. Tak, panna Johnson mogła wchodzić w grę!

Mamy jeszcze trzech młodych panów. Najpierw Carl Reiter. Jeśliby jednym z członków ekspedycji miał być Wiliam Bosner, to Reiter najbardziej pasował do tej roli. Ale musiałby być jednocześnie doskonałym aktorem. Gdyby natomiast Carl Reiter był jedynie sobą, to jakie mógłby mieć powody do dokonania zbrodni?

Z punktu widzenia pani Leidner Reiter stanowił zbyt łatwą zdobycz dla prawdziwej sportsmenki. Był przecież gotów paść przed nią plackiem i głośno wielbić. Pani Leidner nie znosiła tak prostackiej adoracji. Widok mężczyzny na kolanach budzi w kobietach najgorsze emocje. Trudno zaprzeczać, że pani Leidner okazywała wobec Carla Reitera świadome okrucieństwo. Tu szyderstwo, tam kpina. Zamieniła życie młodego człowieka w piekło.

Poirot nagle przerwał opowieść i zwrócił się do Carla Reitera konfidencjonalnym tonem:

— Niech to będzie dla pana nauczką, *mon ami*! Jest pan mężczyzną, niech więc się pan zachowuje po męsku! To jest przeciwko naturze, żeby samiec się czołgał. Kobiety reagują zgodnie z naturą. Niech pan pamięta, że w takich sytuacjach najlepiej jest wziąć najpełniejszy talerz, jaki jest w zasięgu ręki i cisnąć jej w twarz, a nie wic się niby robak, ilekroć ona na pana spojrzy!

Poirot porzucił osobisty ton i powrócił do opowieści:

— Czy Carl Reiter mógł zostać doprowadzony do takiego stanu, że obrócił się przeciwko swojej prześladowczyni i zabił ją? Cierpienia wywołują ciekawe reakcje u człowieka. Nie miałem więc pewności, że jest niewinny.

Następnie mamy pana Williama Colemana. Jego zachowanie, jak nam to powiedziała panna Reilly, było w istocie podejrzanе. Czyżby maska beztroskiej osobowości kryła Williama Bosnera? Gdyż prawdziwy Wiliam Coleman nie mógłby być mordercą. Jego grzeszki są innego rodzaju. Aha! Może siostra Leatheran nam pomoże w tej sprawie?

Jakże ten Poirot to robi? Jestem pewna, że moja twarz jest bez wyrazu, a on jakby odgadł moje myśli.

— To właściwie nic takiego — odparłam z wahaniem. — Ale skoro mamy mówić całą prawdę... Sam pan Coleman powiedział mi, że byłby z niego dobry fałszerz.

— Otóż to! I jeśliby pan Coleman natrafił na jakieś stare listy z pogrózkami, to bez trudu potrafiłby je podrobić.

— Ojej! — wykrzyknął pan Coleman. — To się nazywa stawianiem człowieka pod ścianą bez wyroku.

Poirot mówił dalej:

— A jeśli idzie o to, czy pan Coleman był czy też nie był Wiliamem Bosnerem, to naprawdę niesłychanie trudno to sprawdzić.

Jest jeden ciekawy element. Pan Coleman wspomniał raz o swoim opiekunie. Nie o ojcu. Tak więc sprawa pozostaje otwarta.

— Co za bzdury! — zirytował się pan Coleman. — Zupełnie nie rozumiem, dlaczego wszyscy słuchają tego faceta.

— Pozostał nam jeszcze pan Emmott — ciągnął Poirot niewzruszenie. — I w niego mógł się wcielić Wiliam Bosner. Już na samym początku zorientowałem się, że jeśliby miał osobiste powody, jako autentyczny Emmott, by pragnąć śmierci pani Leidner, to od niego się nic nie dowiem. Mówi się o człowieku, że trzyma wszystkie karty blisko siebie. Pan Emmott trzymał je przy samej piersi. Nie było żadnej szansy sprowokowania go ani zaskoczenia, żeby się zdradził. Ze wszystkich członków ekspedycji okazał się najlepszym i najbardziej bezstronnym sędzią. Świetnie odczytał charakter pani Leidner i przejrzał jej osobowość. Wydaje mi się, że od samego początku właściwie ją ocenił. Natomiast trudno było zgadnąć, jakie wrażenie zrobiła na nim pani Leidner. Mam przeświadczenie, że ona sama czuła się sprowokowana i rozzłoszczona stosunkiem Emmotta do niej. Szczerze tutaj wyznam, że ze wszystkich członków ekspedycji pan Emmott był najbardziej kwalifikowany, by dokonać sprawnie i w doskonale wybranym czasie trudne morderstwo. Mówię to na podstawie oceny jego charakteru i, powiedzmy, umiejętności.

Po raz pierwszy pan Emmott oderwał wzrok od czubków swoich butów.

— Dziękuję — powiedział, a w jego głosie wyczułam ślad rozbawienia.

— Na mojej liście znajdują się jeszcze dwie osoby — ciągnął pan Poirot. — Ryszard Carey i ojciec Lavigny.

— Według zeznań siostry Leatheran i innych pan Carey i pani Leidner bardzo się nie lubili. Ledwo ze sobą rozmawiali. Natomiast jedna osoba, panna Reilly, optuje za zupełnie inną teorią wyjaśniającą ich chłodne publiczne stosunki.

Wkrótce musiałem uznać, że teoria panny Reilly jest słuszna. Sprawdziłem to prowokując pana Careya do nieostrożnych i nierozważnych wypowiedzi. Nie było to trudne. Jak szybko zauważyłem, pan Carey żył w stanie silnego nerwowego napięcia. Był i chyba nadal jest bliski całkowitego załamania. Człowiek u kresu wytrzymałości z rzadka stawia wielki opór. Bardzo szybko opadły wszystkie jego osłony. Powiedział mi ze szczerością, w którą ani na chwilę nie wątpię, że nienawidził pani Leidner. Bez wątpienia był szczery. Nienawidził pani Leidner. Ale dlaczego?

Wspomniałem o kobiecie i jej fatalnej aurze. Ale są i mężczyźni, którzy mają podobną siłę przyciągania. Nie muszą nawet nic robić, by kobiety padały przed nimi plackiem. W dzisiejszych czasach nazywa się to te sex appeal Pan Carey ma tego bardzo dużo. Na początku był bardzo oddany swemu przyjacielowi i pracodawcy, a zupełnie obojętny wobec jego żony. Bardzo to nie odpowiadało pani Leidner. Ona musiała dominować. Postanowiła więc schwytać i ujarzmić pana Careya. Ale wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Ona sama, być może po raz pierwszy w życiu, padła ofiarą zmysłów. Zakochała się, naprawdę zakochała, w panu Ryszardzie Careyu.

A on? On nie był w stanie oprzeć się jej. Oto cała prawda na temat tego okropnego napięcia, w jakim żył. Był człowiekiem rozdartym przez dwie pasje. Kochał Luizę Leidner, ale jednocześnie jej nienawidził. Nienawidził jej za zniszczenie lojalności wobec przyjaciela. Nie ma większej nienawiści, niż nienawiść mężczyzny do kobiety kochanej wbrew swej woli. Miałem więc kompletną motywację. Jestem przekonany, że były chwile, kiedy Ryszard Carey miał nieprzeparte pragnienie zamordowania pani Leidner. I doszedłem do wniosku, że właśnie on mógł uderzyć ciężkim przedmiotem, z całą siłą, w głowę kobiety, która rzuciła nań czar.

Przez cały czas nie opuszczało mnie przekonanie, że mamy do czynienia z *crime passionne!* W panu Careyu znalazłem idealnego kandydata na mordercę.

Ale mam jeszcze jednego kandydata. Ojca Lavigny. Już na samym początku moją uwagę na dobrego ojczulka zwrócił fakt, że zupełnie inaczej niż siostra Leatheran opisał mi sylwetkę owego przedziwnego człowieka, który usiłował zajrzeć przez okno. We wszystkich zeznaniach świadków bywają zawsze jakieś niezgodności, ale w tym wypadku były one zbyt

jaskrawe. Ponadto ojciec Lavigny usiłował wmówić nam, że człowiek ten miał pewne cechy charakterystyczne, na przykład zez, co miało uczynić rozpoznanie łatwiejszym.

Wkrótce jednak okazało się, że opis siostra Leatheran jest prawidłowy, a charakteryzacja ojca Lavigny nie. Wyglądało mi na to, że zakonnik chciał nas świadomie wprowadzić w błąd, jakby obawiając się, by owego mężczyzny nie złapano.

Jeśli to prawda, to w takim razie musiał coś bliżej wiedzieć na temat tej arcyciekawej postaci. Widziano jak rozmawiali, ale informacje, o czym mamy tylko od Lavigny'ego.

Co robił ów Irakijczyk, gdy zobaczyły go siostra Leatheran i pani Leidner? Usiłował zajrzeć w okno. Obie panie myślały, że chodziło o okno pokoju pani Leidner, ale ja zdałem sobie sprawę, kiedy stanąłem tam, gdzie one stały, gdy dostrzegły owego mężczyznę, iż równie dobrze może chodzić o okno do magazynu wykopalisk.

Następnej nocy podniesiono alarm, że ktoś się zakradł do magazynu wykopalisk! Nie stwierdzono, by coś zginęło, to prawda. Bardzo ciekawe jest to, że kiedy doktor Leidner przybiegł do magazynu, zastał już tam ojca Lavigny, który opowiadał o jakimś światełku. Ale na to również mamy tylko jego słowa.

Ojciec Lavigny zainteresował mnie. Kiedy zasugerowałem, że zakonnik może być Fryderykiem Bosnerem, doktor Leidner mnie wyśmiał. Powiedział, że ojciec Lavigny jest bardzo znaną osobistością. Mam prawo założyć, że Fryderyk Bosner mając dwadzieścia lat na stworzenie sobie nowej tożsamości, pod zupełnie nowym nazwiskiem, też mógł się stać znanym człowiekiem. Tak czy inaczej nie przypuszczam, aby Bosner spędził owe dwadzieścia lat w zakonnym gronie. Narzuca się znacznie lepsze rozwiązanie.

Czy ktokolwiek z tu obecnych znał ojca Lavigny przed jego pojawieniem się tutaj? Nikt. Dlaczego więc nie mógłby to być osobnik podszywający się pod ojca Lavigny? Stwierdziłem, że do Kartaginy wysłano telegram zawiadamiający o nagłej chorobie doktora Byrda, który miał towarzyszyć ekspedycji. Cóż bardziej prostego niż przechwycić telegram. A jeśli chodzi o samą pracę: ekspedycja nie miała innego specjalisty od pisma klinowego, a więc człowiek sprytny, posiadający jaką taką wiedzę, może dać sobie radę przy odrobinie bezczelności. Dotychczas znaleziono niewiele tabliczek, a dowiedziałem się także, że interpretacja tekstów przez ojca Lavigny wzbudziła pewne zdumienie.

Wszystko wskazywało na to, że ojciec Lavigny nie był tym, za kogo chciał uchodzić.

Ale czy był Fryderykiem Bosnerem?

Fakty nie układały się tak, by potwierdzić tę teorię. Prawda leży chyba gdzie indziej.

Przeprowadziłem długą rozmowę z ojcem Lavigny. Jestem praktykującym katolikiem i znam wielu księży oraz braci zakonnych. Ojciec Lavigny zachowywał się jak aktor, który niezbyt dobrze gra swoją rolę. Uderzyło mnie natomiast, że robi wrażenie człowieka obytego w innej dziedzinie. Często spotykałem ludzi jego pokroju. Ale nie byli oni członkami religijnej wspólnoty. Raczej nie!

Zacząłem wysyłać telegramy.

W pewnym momencie siostra Leatheran zupełnie nieświadomie wręczyła mi klucz do zagadki. Wtedy, kiedy oglądaliśmy złote ozdoby w magazynie wykopalisk, wspomniała o śladzie wosku znalezionym na złotym kubku. Ja pytam „wosk?“, a ojciec Lavigny mówi „wosk?“, no i ton jego głosu wszystko zdradził. W jednej chwili pojąłem, co on tutaj robi.

Poirot przerwał opowieść i zwrócił się bezpośrednio do doktora Leidnera:

— Przykro mi pana poinformować, panie doktorze, ale złoty kubek, złoty sztylet, szpilki do włosów i inne ozdoby nie są przedmiotami, które pan odkopał, ale doskonałymi odlewami. Z telegramu, który dziś otrzymałem, dowiedziałem się, że nasz ojczulek to Raul Menier, jeden z najsprytniejszych złodziei znanych francuskiej policji. Okrada muzea. Specjalizuje się w *objects d'art*. Działa wspólnie z jakimś Ali Jusufem, pół-Turkiem, który jest znakomitym złotnikiem. Dowiedzieliśmy się sporo o panu Menier wówczas, kiedy okazało się, że kilka eksponatów w Luwrze to współczesne kopie. Wyszło na jaw, że każdy z tych przedmiotów

był uprzednio za zgodą dyrekcji wypożyczony do dokładnego obejrzenia przez sławnego archeologa, osobiście nie znanego przedtem dyrekcji. Wszyscy owi sławni archeologowie zaprzeczyli później, by kiedykolwiek cokolwiek wypożyczali bądź by odwiedzali Luwr w czasie, o jaki chodziło.

Dowiedziałem się także, że kiedy pan wysłał telegram do Kartaginy, w Tunisie przebywał właśnie ów Menier przygotowując się do tak zwanego skoku na muzealia klasztoru w Kartaginie. Prawdziwy ojciec Lavigny był bardzo chory i odmówił panu, ale Menier w jakiś sposób przejął i ten telegram wysyłając swój. Mógł to zrobić z pełnym poczuciem bezpieczeństwa. Nawet jeśli by zakonnicy przeczytali w jakiejś gazecie (co już samo w sobie jest mało prawdopodobne), że ojciec Lavigny jest w Iraku, pomyśleliby, że dziennikarze jak zwykle podają nie sprawdzone wiadomości.

A więc Menier i jego wspólnik tu przybyli. Ten ostatni zostaje dostrzeżony, gdy zagląda do magazynu wykopalisk. Plan przewiduje, że ojciec Lavigny robi woskowe odciski, a Ali sporządza doskonałe kopie. Zawsze się znajdują kolekcjonerzy gotowi zapłacić wysoką cenę za autentyczne wykopaliska nie zadając kłopotliwych pytań. A potem ojciec Lavigny zamienia oryginały na gotowe kopie czyniąc to przeważnie w nocy.

I prawdopodobnie to właśnie robił, kiedy usłyszała go pani Leidner i wszystkich zaalarmowała. Co mógł wówczas zrobić? Sfabrykował historyjkę o tym, że ujrzał światło w magazynie.

Nikomu nie przyszło do głowy, by podważyć tę wersję. Ale czy naprawdę nikomu? Pani Leidner była bardzo inteligentna. Mogła sobie przypomnieć o wosku, który zauważyła na skraju kubka. I mogła połączyć dwa fakty. A jeśli tak było, to co zrobiła? Nic. Do jej charakteru pasowało w pierwszej chwili nic nie zrobić, ale zacząć się bawić jak kotek z myszką, dawać coś do zrozumienia ojcu Lavigny, aby poczuł się nieswojo. Niebezpieczna gra, ale pani Leidner lubiła hazard.

A może zbyt długo igrała z ojcem Lavigny? Rzekomy zakonnik zaczyna się bać i uderza, zanim ona się orientuje w jego intencjach. Ojciec Lavigny alias Raul Menier, złodziej. Ale czy również morderca?

Poirot przeszedł się po pokoju. Z kieszeni wyjął chustkę, otarł sobie czoło, a po chwili powrócił do swej opowieści:

— Do tego punktu dotarłem dziś rano. Miałem do wyboru osiem możliwości i nie wiedziałem, która jest właściwa. Jeszcze nie wiedziałem, kto jest mordercą.

Ale zabijanie staje się nawykiem. Kobieta lub mężczyzna, którzy raz popełnili zbrodnię, popełnią ją jeszcze raz.

Dzięki drugiemu morderstwu dowiedziałem się, kim jest sprawca.

Przez cały czas myślałem sobie, że może któraś z osób włączonych w sprawę wie coś, czego mi nie powiedziała, a co może zdemaskować przestępcę.

Jeśli tak było, osoba ta znalazłaby się w niebezpieczeństwie.

Bąłem się głównie o siostrę Leatheran. Jest energiczna i ma dociekliwy umysł. Bardzo się lękałem, że odkryje coś, co może okazać się dla niej groźne.

Jak wszyscy państwo wiedzą, doszło do drugiego morderstwa. Ofiarą padła jednak nie siostra Leatheran, ale panna Johnson. Myślę, że i tak rozwiązałbym sprawę posługując się precyzyjnym rozumowaniem, niemniej zamordowanie panny Johnson przyspieszyło proces i pomogło mi szybciej rozplątać zagadkę. Zaczniemy od tego, że odpadł jeden podejrzany. Ani przez chwilę bowiem nie akceptowałem teorii samobójstwa. Zajmijmy się teraz faktami towarzyszącymi drugiemu morderstwu. Fakt pierwszy: w niedzielę wieczorem siostra Leatheran zastaje pannę Johnson zalaną łzami i tegoż samego wieczoru panna Johnson pali fragment listu, który zdaniem siostry Leatheran pisany jest tą samą ręką, co anonimowe posłania do pani Leidner. Fakt drugi: w wieczór poprzedzający śmierć panny Johnson, siostra Leatheran znajduje ją na dachu w stanie najwyższego przerażenia. Kiedy siostra zaczyna

wypytywać, panna Johnson mówi, że widziała, jak ktoś może dostać się z zewnątrz niezauważony. Nic więcej nie chce zdradzić. W tym czasie ojciec Lavigny przechodzi przez dziedziniec, a pan Reiter stoi w drzwiach pracowni fotograficznej. Fakt trzeci: siostra Leatheran znajduje pannę Johnson w stanie agonijnym. Jedyne słowo, jakie jest zdolna wypowiedzieć, brzmi: „okno”. Oto fakty, a teraz problemy, w których obliczu stoimy: Jaka jest prawda dotycząca anonimowych listów? Co panna Johnson zobaczyła z dachu? Co miała na myśli mówiąc „okno”?

Eh bien, zacznijmy od drugiego problemu, którego rozwiązanie jest najłatwiejsze. Poszedłem na dach z siostrą Leatheran i ustawiłem się w miejscu, w którym stała panna Johnson. Mogła widzieć dziedziniec, bramę wjazdową, północne skrzydło budynku i dwóch członków ekspedycji. Czy jej wypowiedź miała jakikolwiek związek z panem Reiterem albo ojcem Lavigny?

Natychmiast przyszło mi do głowy możliwe rozwiązanie. Jeśliby ktoś obcy miał przyjść z zewnątrz, mógł to uczynić jedynie w przebraniu. I mógł się przebrać tylko za jedną osobę. Tylko ta jedna osoba nosiła strój, który to umożliwiał: ojciec Lavigny. W hełmie tropikalnym, w okularach przeciwsłonecznych, z czarną brodą i w białym habicie zakonnika każdy obcy mógł wejść na dziedziniec bez zwrócenia uwagi służących.

Czy to panna Johnson miała na myśli? Czy też posunęła się jeszcze dalej? Może zdała sobie sprawę, że ojciec Lavigny jest człowiekiem w przebraniu? Że nie jest żadnym zakonikiem.

Wiedząc to, co wiedziałem o ojcu Lavigny, byłem skłonny przypuszczać, że rozwiązałem zagadkę. Raul Menier był mordercą. Zabił panią Leidner, żeby zamknąć jej usta. A teraz druga osoba sygnalizuje, że przeniknęła jego tajemnicę. Trzeba wobec tego usunąć również tę drugą osobę.

A więc wszystko wyjaśnione! Drugie morderstwo i ucieczka ojca Lavigny już bez habitu i bez brody. (Wraz ze swoim współnikiem przemierzają teraz bez wątpienia Syrię wyposażeni w paszporty i dokumenty zaświadczające, że są handlowcami.) Ale w takim razie po co zakrwawione żarna znalazły się pod łóżkiem panny Johnson? On je tam podłożył?

Tak jak mówię, byłem prawie usatysfakcjonowany, ale nie całkowicie. Bezbłędne rozwiązanie musi tłumaczyć wszystko. A tu nie wszystko było jasne.

Moje wstępne rozwiązanie nie wyjaśniło na przykład, dlaczego panna Johnson umierając wypowiedziała słowo „okno”. Nie tłumaczyło, dlaczego płakała nad listami ani czemu stała niezwykle poruszona na dachu. Nie usprawiedliwiała jej niedowierzającego przerażenia i odmowy podzielenia się z siostrą Leatheran tym, co podejrzewała lub wiedziała.

A więc moje rozwiązanie pasowało co prawda do pewnych faktów, ale nie satysfakcjonowało całkowicie. Coś tu było na bakier z psychologią, jeśli mi tak wolno powiedzieć. Ale kiedy stałem na dachu rozważając wciąż trzy elementy: listy, dach i okno, ujrzałem! Zobaczyłem to, co widziała panna Johnson.

I to tłumaczyło już wszystko!

KONIEC PODRÓŻY

Poirot rozejrzał się po twarzach zebranych. Wszystkie oczy były w niego wlepione. Przed chwilą napięcie jakby opadło. Teraz nagle powróciło.

Coś się zbliżało... Coś...

Tym spokojnym tonem Poirot, nieporuszony, mówił dalej:

— Listy, dach, okno! Tak, wszystko już było jasne, wszystko pasowało. Powiedziałem przedtem, że trzy osoby miały alibi na czas popełnienia morderstwa. Wcześniej wykazałem, że dwa z tych alibi były bezwartościowe. Teraz dostrzegłem swój wielki, zdumiewający błąd. Trzecie alibi także było bezwartościowe. Doktor Leidner nie tylko mógł popełnić tę zbrodnię, ale w moim przekonaniu popełnił ją.

Nastąpiła całkowita, głęboka i obezwładniająca cisza. Doktor Leidner milczał. Wydawał się zagubiony w swoim odległym świecie. Dawid Emmott poruszył się w krześle i przemówił:

— Zupełnie nie rozumiem, co pan chce nam wmówić, panie Poirot. Powiedziałem przecież wyraźnie, że doktor Leidner nie schodził z dachu. Na dziedzińcu pojawił się za kwadrans trzecia. Taka jest prawda, klnę się, że tak było. Nie kłamię. Gdyby doktor Leidner zszedł na dół, musiałbym to widzieć!

Poirot skinął głową.

— Ależ ja panu wierzę. Doktor Leidner nie opuścił dachu. To niepodważalny fakt. Ale ja zobaczyłem i panna Johnson również coś, co dotyczy możliwości popełnienia morderstwa przez doktora Leidnera bez schodzenia z dachu.

Siedzieliśmy jak skamieniali.

— Okno. Jej okno! — wykrzyknął pan Poirot. — Nagle zdałem sobie sprawę z tego faktu. Okno pokoju pani Leidner znajdowało się tuż poniżej dachu, po przeciwnej stronie dziedzińca. Doktor Leidner był na górze bez świadków. Pod ręką miał ciężkie naczynia, żarna i tym podobne. Jakież to było proste! Pod jednym warunkiem: że morderca będzie miał możliwość przesunąć ciało, nim ktokolwiek je znajdzie. Cóż za przepiękny pomysł! Niesłychanie prosty.

Posłuchajcie, jak to było!

Doktor Leidner jest na dachu przy swoich garnkach. Wzywa pana na górę, panie Emmott, i kiedy z panem rozmawia, widzi, że tak jak zwykle chłopak, który panu pomaga, korzysta z okazji i opuszcza dziedziniec. Doktor Leidner zatrzymuje pana przez dziesięć minut, a następnie zwalnia. Pan schodzi na dół i szuka chłopca, a doktor Leidner wprowadza swój plan w życie. Wyjmuje z kieszeni maskę wysmarowaną plasteliną, którą notabene już poprzednio straszył żonę, i wymachuje nią przed samą szybą, maska stuka w szybę. Proszę pamiętać, że mówimy o oknie, które wychodzi na pole, po przeciwnej stronie od dziedzińca. Pani Leidner leży, może drzemie. Może jest tylko w półśnie, odprężona, zadowolona. Nagle uwagę jej zwraca maska obijająca się o okno. Ale teraz nie jest noc, tylko biały dzień. Pani Leidner wcale nie jest przerażona. Rozpoznaje maskę, widzi ją dokładnie i już wie, że to kawał. Wskakuje z łóżka i biegnie do okna, otwiera je, wystawia głowę między prętami kraty i obraca twarz ku górze, żeby zobaczyć, kto robi takie dowcipy.

Doktor Leidner tylko na to czeka. Trzyma w rękach ciężkie żarna. We właściwym momencie upuszcza ciężar... Raz głośno jęknąwszy (słyszała to panna Johnson) pani Leidner pada na skórę leżącą pod oknem. W kamiennych żarnach jest otwór i przez niego już poprzednio doktor Leidner przeciągnął sznur. Teraz wciąga żarna na dach. Odplątuje sznur i kładzie narzędzie zbrodni między innymi glinianymi przedmiotami zakrwawioną stroną do dołu.

Przez godzinę pracuje jeszcze na dachu, aż wybiera odpowiedni moment do rozegrania drugiego aktu. Schodzi na dół, rozmawia z panem Emmottem i siostrą Leatheran, idzie przez dziedziniec i wchodzi do pokoju swojej żony. Oto jak sam o tym opowiedział:

„Zobaczyłem ciało mojej żony, jakby zmięte, leżące przy łóżku. Przez chwilę stałem bez ruchu, po prostu sparaliżowany. Nie potrafiłem zrobić najmniejszego ruchu. Wreszcie zmusiłem się, żeby podejść. Klęknąłem przy niej i uniosłem głowę. Zobaczyłem, że nie żyje... Wreszcie wstałem. Kręciło mi się w głowie, jakbym był pijany. Z trudem podszedłem do drzwi i zawołałem...”

Bardzo prawdopodobne zeznanie człowieka zrozpaczonego. A teraz posłuchajcie mojej wersji, która według mnie jest prawdziwa: doktor Leidner wchodzi do pokoju, biegnie do okna i po włożeniu rękawiczek zamyka je i zabezpiecza od wewnątrz, następnie dźwiga ciało żony i przenosi w inne miejsce, między łóżko a drzwi. Wtedy spostrzega małą plamę na skórze leżącej pod oknem, ale nie może jej zamienić ze skórą przy łóżku, gdyż są różnej wielkości. Wybiera więc drugi możliwy wariant i zamienia ją ze skórą przy umywalce. Jeśli ktoś zobaczy plamę, to ją skojarzy z umywalką, ale nie z oknem. To jest bardzo istotne! Nie wolno dopuścić, by ktokolwiek mógł podejrzewać, że okno odegrało jakąkolwiek rolę. Następnie doktor Leidner podchodzi do drzwi, otwiera je i zaczyna odgrywać rolę porażonego nieszczęściem męża, a to wychodzi mu bardzo dobrze, gdyż doktor Leidner kochał swoją żonę!

— Mój dobry człowieku — przerwał mu doktor Reilly. — Będzie pan łaskaw wyjaśnić, dlaczego ją zabił, skoro ją tak kochał? Jaka motywacja? Czy nie odezwiesz się, Leidner? Powiedz mu, że oszalał.

Doktor Leidner ani drgnął.

— Czyż wam wszystkim nie mówiłem — odparł doktorowi Reilly Poirot — że mamy do czynienia z *crime passionnel*? Dlaczego pierwszy mąż pani Leidner groził, że ją zabije? Bo ją kochał... I wreszcie spełnił swoją groźbę...

Mais oui, mais oui, kiedy zdałem sobie sprawę, że to doktor Leidner dokonał morderstwa, wszystko zaczęło pasować...

Raz jeszcze rozpocznę w skrócie moją podróż od początku: pierwsze małżeństwo pani Leidner, listy z pogroźkami, drugie małżeństwo. Listy zawsze kładły kres związkom. Ale nie przeszkodziły jej poślubić doktora Leidnera. Dlaczego? Odpowiedź jest bardzo prosta. Doktor Leidner jest w rzeczywistości Fryderykiem Bosnerem.

I raz jeszcze rozpocznijmy naszą podróż, tym razem z pozycji młodego Fryderyka Bosnera.

Po pierwsze, kocha swoją żonę Luizę z pasją, jaką jedynie kobiety tego typu potrafią wzniecić w mężczyźnie. Ona go denuncjuje. On jest skazany na śmierć. Ucieka. Pada ofiarą wypadku kolejowego. Wychodzi z tego z nową tożsamością — młodego szwedzkiego archeologa, Eryka Leidnera. Leidner zginął w tym wypadku, ciało jest nie do rozpoznania i zostaje pochowany jako Fryderyk Bosner. Doskonały zbieg okoliczności.

Jaki jest stosunek nowego Eryka Leidnera do kobiety, która go w istocie skazała na śmierć? To bardzo istotne: on ją nadal kocha. Zaczyna budować sobie nowe życie. Ma wielkie zdolności, profesja archeologa bardzo mu odpowiada, osiąga sukces. Ale nigdy nie zapomina pierwszej pasji swego życia! Przez cały czas śledzi poczynania swojej żony. W jednej sprawie jest nieprzejednany (pani Leidner sama przecież powiedziała siostrze Leatheran, że Bosner był dobry, ale bezwzględny): nigdy nie pozwoli, by należała do innego. Ilekroć widzi, że to konieczne, wysyła kolejny list. Specjalnie wprowadza cechy charakterystyczne jej pisma, a to na wypadek, gdyby udała się na policję. Tyle jest kobiet, które same do siebie piszą listy anonimowe, że policja szybko by dostrzegła choćby nawet powierzchowne podobieństwo charakterów. Przez cały czas postępuje tak, aby nie miała pewności, czy on naprawdę żyje, czy też nie.

Wreszcie po wielu latach dochodzi do wniosku, że czas nadszedł, i powraca do jej życia. Wszystko rozwija się jak najlepiej. Jego żona zupełnie nic nie podejrzewa. Eryk jest przecież znanym naukowcem. Buńczuczny przystojny chłopak stał się mężczyzną w średnim wieku, z brodą i spadzistymi ramionami. Jednakże historia się powtarza. Fryderyk ponownie potrafi zdominować swoją żonę. Ona po raz drugi zgadza się za niego wyjść. I nie nadchodzą listy, które przeszkodziłyby małżeństwu. Ale przychodzą zaraz potem. Dlaczego?

Chyba dlatego, że doktor Leidner nie chciał po prostu ryzykować. Małżeńskie zbliżenie mogłoby rozbudzić pamięć, coś z niej przywołać. Ponadto była to okazja podkreślenia, że Fryderyk Bosner i Eryk Leidner to dwie różne osoby, zwłaszcza że list z groźbami od pierwszego przychodzi w związku z istnieniem drugiego. Następnie mamy dość dziecinny pomysł z gazem, oczywiście pomysł doktora Leidnera, wyreżyserowany również w tym samym celu...

To go usatysfakcjonowało. Listy z groźbami przestają przychodzić, państwo Leidner mogą się pograć w beztróskie, szczęśliwe życie. I nagle po dwu latach listy przychodzą ponownie!

— *Pourquoi? Eh bien*, chyba wiem dlaczego! Ponieważ groźba zawarta w listach od samego początku była realna. (Dlatego też pani Leidner znając bezwzględność Fryderyka Bosnera zawsze się go bała!) Zabije ją, jeśli będzie należeć do innego mężczyzny! A ona właśnie oddała się innemu mężczyźnie. Ryszardowi Careyowi!

Doktor Leidner odkrył to i na zimno, metodycznie, zaczął przygotowywać *la scene morderstwa!*

Teraz dopiero dostrzegamy znaczenie roli, jaką miała odegrać siostra Leatheran. Dość dziwny pomysł z zaangażowaniem zrobił) wreszcie się wyjaśnił. Ważne było posiadanie wiarygodnego fachowego świadka, który autorytatywnie stwierdzi, że pani Leidner nie żyła co najmniej od godziny przed odkryciem jej ciała. To znaczy, że została zabita w czasie, kiedy jej mąż był na dachu budynku. Co wszyscy mogli potwierdzić. By nie powstało podejrzenie, że zabił żonę, kiedy wszedł do jej pokoju.

Jeszcze jedna sprawa zostaje wyjaśniona. Owo dziwne napięcie, które ogarnia w tym roku wszystkich członków ekspedycji. Od samego początku nie wierzyłem, by jedyną przyczyną mogło być oddziaływanie pani Leidner. Przez wiele lat ta właśnie ekspedycja miała opinię nadzwyczaj zgranej. Moim zdaniem stan umysłów każdego zespołu ludzi zależy od człowieka stojącego na czele. Doktor Leidner, choć uważany za cichego i spokojnego, ma wybitną osobowość. To właśnie dzięki jego taktowi, jego decyzjom i jego życzliwemu nastawieniu do świata zawsze panowała tu tak dobra atmosfera.

Skoro więc nastąpiło pogorszenie nastrojów, winę ponosi szef. W tym wypadku doktor Leidner, a nie jego żona. On winien jest napięciom. Nic dziwnego, że członkowie zespołu odczuwając zmianę nastroju, nie potrafili znaleźć przyczyny. Dobry, miły doktor Leidner, zewnątrz taki sam, grał tylko siebie samego. A naprawdę stał się fanatykiem opętany planowaną zbrodnią.

A teraz drugie morderstwo. Zabicie panny Johnson. To ona właśnie porządkując w biurze papiery doktora Leidnera (robiła to nieproszona, ponieważ chciała się koniecznie czymś zająć), musiała natrafić na nie dokończony list z pogróżkami.

Przeżyła potężny szok i poczuła się wytracona z równowagi. Po prostu nie była zdolna pojąć, że sam doktor Leidner grozi żonie i straszy ją. I wtedy właśnie zastała ją załamaną i we łzach siostra Leatheran. Nie sądzę, aby już wówczas panna Johnson podejrzewała doktora Leidnera o morderstwo, niemniej pamiętała moje eksperymenty dotyczące krzyków z pokoiów pani Leidner i ojca Lavigny. I pewno nagle zdała sobie sprawę, że jeśli rzeczywiście owego tragicznego dnia słyszała głos pani Leidner, to okno w jej pokoju musiało być otwarte, a nie zamknięte. Jeszcze to jej nic nie powiedziało, ale fakt pozostał w pamięci.

Zacząła rozmyślać szukając prawdy. Może nawet coś powiedziała do doktora Leidnera na temat listów. Chociaż zrobiła to oględnie, mógł się przerazić. Jego stosunek do swej oddanej pracownicy uległ zmianie. Panna Johnson mogła też dostrzec strach doktora Leidnera.

Ale myślała sobie, że przecież on nie mógł zabić swojej żony, gdyż przez cały czas był na dachu.

Aż któregoś wieczoru stojąc na górze doznała, jak to się mówi, objawienia. Ujrzała prawdę! Pani Leidner została zabita z dachu, przez otwarte okno!

I właśnie w tym momencie nadeszła siostra Leatheran.

Natychmiast odezwało się przywiązanie i oddanie doktorowi. Panna Johnson wymyśliła mały *camouflage*! Siostra Leatheran nie mogła domyślić się przerażającej prawdy. Panna Johnson specjalnie spojrzała w przeciwnym kierunku (w stronę dziedzińca) i rzuciła uwagę, którą można było odnieść do ojca Lavigny przechodzącego właśnie przez dziedziniec.

Odmówiła powiedzenia czegokolwiek więcej, twierdząc, że musi „przemyśleć sprawę”.

Doktor Leidner z niepokojem obserwował pannę Johnson i doszedł do wniosku, że jego współpracownica odkryła prawdę. Panna Johnson nie była kobietą umiejącą ukryć, co czuje i co myśli.

To prawda, że dotychczas go nie wydała, ale jakże długo mógł na niej polegać?

Morderstwo staje się nawykiem. Tej samej nocy doktor Leidner zamienia szklanekę z wodą na szklanekę kwasu solnego. Ma nadzieję, że przyjęta zostanie wersja samobójstwa. A może nawet uda się obarczyć pannę Johnson odpowiedzialnością za pierwsze morderstwo. Samobójstwo z powodu wyrzutów sumienia! Doskonałe wyjaśnienie. Aby uprawdopodobnić tę wersję doktor Leidner znosi z dachu żarna i podrzuca pod łóżko swej drugiej ofiary.

Nic dziwnego, że już w agonii panna Johnson pragnie przekazać informację, za którą zapłaciła życiem. Przez okno! Oto jak pani Leidner została zabita! Przez okno, a nie przez drzwi!...

Tym więc sposobem wszystko zostaje wyjaśnione, wszystkie fakty pasują... Psychologicznie doskonałe rozwiązanie.

Ale dowodów nie ma... nie ma żadnych dowodów!

Milczeliśmy ogarnięci przerażeniem. Ale znaleźliśmy także... litość.

Doktor Leidner siedział jak skamieniały. Nie otworzył ust. Nie drgnął nawet. Zmęczony, zniszczony, postarzały człowiek.

Wreszcie obrócił głowę i spojrział na Poirota łagodnymi, zmęczonymi oczami.

— Tak — odezwał się. — Dowodów nie ma. Ale czy to ważne? Pan wiedział od początku, że nie wyprę się prawdy... Nigdy nie wypierałem się prawdy. Myślę, że... jestem chyba zadowolony... czuję się taki zmęczony...

A potem dodał po prostu:

— Przykro mi z powodu Anny. To było niepotrzebne, bez sensu, to nie byłem ja. Jak ona cierpiała, biedaczka! To nie byłem ja, to był strach.

Na jego wykrzywionych bólem ustach pojawił się lekki uśmiech.

— Z pana byłby dobry archeolog, panie Poirot. Posiada pan wielką umiejętność odtwarzania przeszłości. Wszystko było mniej więcej tak, jak pan powiedział. Kochałem Luizę i ją zabiłem... Gdyby pan ją znał, chyba by pan zrozumiał... Chociaż nie, i tak pan rozumie...

POŚLANIE

Właściwie to już nie mam nic więcej do dodania.

Złapano „ojca” Lavigny i jego współnika, kiedy wsiadali na parowiec w Bejrucie.

Sheila Reilly wyszła za młodego Emmotta. To jej chyba dobrze zrobi. On nie da z siebie zrobić podnóżka, będzie ją trzymał na właściwym miejscu. Gdyby wyszła za Billa Colemana, to by go zdręczyła.

Opiekowałam się Billem Colemanem przed blisko rokiem, kiedy miał operację wyrostka robaczkowego. Bardzo go polubiłam. Zdaje się, że rodzina wysłała go na fermę do Południowej Afryki.

Nigdy więcej nie odwiedziłam Bliskiego Wschodu. A właściwie szkoda, chwilami miałam ochotę tam wrócić. Słyszę czasami szum wody spadającej z wodnego koła i pogwarki kobiet piorących nad rzeką. Wspominam to głodne spojrzenie wielbłądów... tak, naprawdę czasami tęsknię za tamtym światem. Może brud wcale nie jest taki niezdrowy, jak się u nas mówi?

Doktor Reilly odwiedza mnie, kiedy przyjeżdża do Anglii. Jak już powiedziałam, on mnie wpakował w to całe pisanie. Powiedziałam mu: „Może pan to wziąć albo nie. Wiem, że pełno tam błędów gramatycznych i innych, bo z pisaniem u mnie nie jest za dobrze, no ale skończyłam.”

I wziął rękopis. Nic nawet nie narzekał. Będę się bardzo dziwnie czuła, jak to zobaczę w druku. Jeśli w ogóle wydrukują.

Pan Poirot wrócił do Syrii prosto z Hassanieh i mniej więcej po tygodniu podróżował Orient Ekspressem, gdzie miał nową przygodę, bo wydarzyło się w tym pociągu morderstwo. Pan Poirot to bardzo mądry człowiek, temu nie zaprzeczam, ale mu nie wybaczę, że mi taki kawał zrobił udając, że mnie podejrzewa. Myśleć, że ja mogę być zamieszana w morderstwo, i że nie jestem prawdziwą pielęgniarką!

Lekarze też tacy bywają. Robią sobie żarciki. Jeszcze jak. I nigdy nie przyjdzie im do głowy, że człowiekowi może być przykro.

Zastanawiam się i zastanawiam nad panią Leidner i jaka ona naprawdę była. Czasem wydaje mi się, że to okropna kobieta, a czasami znów przypominam sobie, jaka była miła dla mnie, jaki miała przyjemny głos, jakie miała śliczne blond włosy i wszystko inne. I tak sobie myślę, że trzeba się bardziej nad nią litować niż obarczać winą.

Dla doktora Leidnera czuję wyłącznie litość. Wiem, że to podwójny morderca! Ale to mi nie robi różnicy. On tak bardzo ją kochał. To straszne, tak kogoś kochać.

W miarę, jak się robię coraz starsza, im więcej poznaję ludzi, im więcej widzę tragedii i chorób, tym bardziej współczuję ludziom. Czasami to naprawdę już nie wiem, co się stało z tymi wszystkimi dobrymi zasadami, w których mnie wychowała ciocia. Była osobą bardzo religijną i bardzo zasadniczą. Znała wszystkie przywary i grzechy naszych sąsiadów. Znała je lepiej niż oni sami...

Ojej! To prawda, co powiedział doktor Reilly. Jak to się robi, żeby przestać pisać? Gdybym mogła znaleźć takie dobre zdanie na zakończenie.

Muszę poprosić doktora Reilly, żeby mi dał jakieś arabskie powiedzenie.

Na przykład takie, jakiego użył pan Poirot:

W imię Allacha Litościwego i Współczującego... Właśnie coś takiego.